



MARTA SYRWID

BOGACTWO

B

Marta Syrwid

Bogactwo

Bogactwo

Copyright © by Marta Syrwid

Skład i korekta: Katarzyna Derda

Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-65074-47-8

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Wszelkie postacie i wydarzenia opisane w powieści są fikcyjne, a ich ewentualne podobieństwo do rzeczywistych jest całkowicie przypadkowe.

Albo i nie.

CZOŁÓWKA

Streszczenie

W dniu 28 lipca w godzinach wieczornych dwudziestopięcioletniej mieszkance Miasta — Pat D. — wbito w ciało szkło, sporo, głęboko: trudno. Sytuacja jest już opanowana, a przynajmniej Pat nie zaczepia ludzi. Kobieta, proszę państwa, będzie żyć, szczęście w nieszczęściu, lub nie będzie żyć. Takie są fakty.

Bohaterowie

Papka, zawierająca m. in. bogactwo Pat i burdel Miasta, leży teraz plackiem i spokojnie czeka. Na więcej zresztą nie może sobie pozwolić: wszystkie dostępne nóżki przeszły już przez maszynkę. Oto więc zmielone: mięso, kości, ludzie z samochodu, Karol, ulice, domy, Pablo, Mikołaj, babcia, Mama i Tata, Grzegorz, Juliusz, mieszkańcy, sklepy, apartamenty i numery, które temu wszystkiemu nadano, żeby był np. porządek. Choć teraz to i tak bez sensu. A także zmielona została cała reszta tzw. świata, jeżeli coś więcej w nim jeszcze jest. Wszystko to zmieszane i na nowo ubite przez Miasto i czas, już się nawet nie klei do palców, tak dobrze wyrobione, rozwałkowane! Oto ciasto.

Bogactwo

Kiedyś wewnątrz pamięci działało drogie cacko, bardzo estetyczne i magazynujące same delikatesy, rafinujące z kurzu i niepotrzebnych słów zdarzenia, diamenciki. Teraz, po odpowiedzialnych za te procesy mechanizmach, które pracowały bez wytchnienia, nie pozostał ani jeden kolorowy drucik. Żadnego układu scalonego, sam sok, zresztą widzą państwo. Wyrwano wszystkie kółeczka i tarcze obrotowe, ząbek w

ząbek. Pozostał jedynie muł, śmieci i trupki pasożytów. Po usunięciu mechanizmu na chwilę zagnieździły się w pamięci robaki, było co jeść. Jednak i one umarły: z głodu lub zatrute, a pamięć poczuła się lepiej. O tyle, o ile. Wspomnienie po drogim cacku pozostało jednak w pamięci. I niełatwo będzie je zniszczyć: przez lata skarb wyłobił odcisk. Na podstawie tego tropu można się domyślać, że pancierz skarbu był obły i podłużny. Gładziutki. Do środka można było dostać się tylko po uprzednim wydobyciu skarbu na powierzchnię. Żeby to zrobić, trzeba było rwać z całej siły, tak, aby pękły wiązania trzymające skarb na miejscu i w ciepełku. Aż poooszy! Trzasnęły w końcu jak gumki recepturki wszystkie te sprężyste żyły i zwoje nerwów, które utrzymywały skarb w ukryciu i spokoju. Lecz to nie koniec. Skarb od momentu wyklucia był zabezpieczony przed obcymi rękami i nie udostępniał swojego wnętrza. Szczęśliwcy mogli najwyżej popatrzeć na zawartość przez przezroczysty pancierz. Drobne tryby w środku obracały przed oczami wybrańców obrazki: wakacje nad morzem, piąte urodziny, nurkowanie z tatusiem, truskawki z bitą śmietaną, babunia, agrest za szybą, spocony Karol, wykończone prezerwatywy (leżące obok kapci), albo usta Alabastrowego Damiana (który bardzo gardzi, a usta tym bardziej). Wszystkie te obrazki miały kolory żywe jak owoce, a czasem nawet melodyjki. Maleńka i misterna maszyna, prezentująca zgromadzone obrazy, wzbogacała przecież własne zbiory o kolejne kartoniki, które bywały też podpisywane dzienną datą. Zabranie skarbu z otuliny pamięci, wyjęcie go na światło i próby wtargnięcia pod pancierz skończyły się śmiercią skarbu. Jednak śmierć została w nim zaprogramowana przed wszystkimi innymi funkcjami i miała zostać uruchomiona tylko w wypadku zagrożenia. A więc stało się i jest, zabezpieczenia dopełniły obowiązków. Skarb mógł wiele przetrwać,

psucie również, lecz do pewnych granic. Z których przekroczeniem Pablo poradził sobie w ciągu dwóch godzin, ale nie tylko on dałby radę. Kiedy narusza się pancerz, każda część skarbu rozpoczyna spalanie. Topnieje i wszystko na nic. Aby jednak przebić osłonę, trzeba uderzać w nią np. młotkiem lub gryźć, lub walić pięścią tak długo, aż skarb przestanie rytmicznie dudnić i migotać, a mechanizm zazgrzyta i stanie. Kiedy światło gaśnie, należy kontynuować bicie, aby wgłębienia zamieniły się w dziury, a dziury w drzazgi. W tym czasie spalają się wszystkie bogactwa zapisane na małych tarczach zegarowych i w cyfrowych licznikach. Na koniec pozostaje trochę popiołu stopionego z plastikiem. Wśród ruin stygnie więc taki sztuczny kamień o nieregularnych kształtach, ale nieprzypominający nic, co istnieje. Nawet ci o wielkiej wyobraźni nie widzą w nim niczego, co jest im znane lub podobne do. Można wrzucić rybkom do akwarium, można. A Pablo np. wyrzucił do kosza te wszystkie paragony z klubów, koszulę i całą swoją bieliznę, taki się jakiś czuł śmierdzący, lecz troszkę lepiej. Gdyż nie o małe zyski tu chodzi, ale o zdobycze, które liczy się według malejących bogactw innych. Można je też nazwać upokorzeniem: i to wystarczy.

Miejsce wydarzeń

Miasto zagarnęło historię Pat i nie odda, państwo się nie dziwią, też by państwo chcieli kawałek, chociaż na spróbowanie. A dwa miesiące temu Pat nie zaprzętała sobie głowy bogactwem. Nie miała na to siły, ponieważ zużyła ją na Mikołaja, a on wierzgał i w dodatku był cięższy od Pat o trzydzieści kilogramów. Miasto podebrało więc bogactwo, kiedy Pat była znieczulona, skorzystało z okazji, nie jest w końcu głupie. A Pat nawet nie poczuła, kiedy Miasto na niej usiadło, położyło łapska jak na

swoim i wyjmowało garściami. Miała na głowie co innego. Miasto było jednak podenerwowane, państwo by nie byli, bo to cokolwiek nielegalne lub przynajmniej nieładnie tak postępować. Więc trzęsły mu się ręce, w dodatku: ludzie patrzyli. Miasto nie wzięło więc wszystkiego, zostawiło strzepy i resztki, jakieś drobne, trochę błyskotek, no i oczywiście zostawiło też Pat: dokładnie wyżartą wewnątrz. Brzuch się rozlał na podłogę, ciekło jej z dupy, nie wiadomo właściwie, co tam pękło, przecież w tzw. człowieku działa wiele rzeczy. Działa tak długo, aż sobie przestanie i zgnije. Pat oddała więc bogactwo lub go nie broniła a w zamian dostała ataku śmiechu. Wręcz kilku pod rząd. No to teraz ma. Miasto wchłonęło kradzione bogactwo Pat razem z nieograniczoną ilością rzeczy, które Miasto rozmienia na drobinki. Zmieszało więc opowieść o Pat z tym, co się nawinęło, a następnie Miasto na to napluło i zmełło. Oto powstało gęste ciasto, pełne tego, co akurat wpadło do maszynki, a Miasto ma silne ramię, od wielu lat obraca korbą aż miło. Lecz dłonie jego są pulchne i mleczone. Ludzie również zostali zmieleni (skoro się nawinęli), lecz nie słychać było nawet chrupania ich kości między hałasem tłoków i śrub. Głośniejsz wrzeszczały np. słowa, ale one zawsze są nie do zniesienia. Kolory zostały zmielone po cichu, a budynki zaskakująco szybko wybuchły pyłem, i po wszystkim.

Format

Szanowni państwo, oto ciasto, nie oczekujcie więc nienaruszonych nici (lub oczekujcie i się zasmućcie). Oto wszystko na raz lub kupcie państwo osobno: dom, ulicę, człowieka — i ułóżcie po swojemu. Choć przecież jesteście skąpi i wolicie wszystko w jednym, czysty zysk lub przynajmniej zysk. Szanowni państwo, oto ciasto, a w nim ścinki nerwów

i również żył, które były miękkie, więc łatwo je było Miastu przegryźć. Nie ma jak dobry żart. I zupełnie nie jak w fabule tutaj przecież, i jeszcze dziury. Kto by to wszystko spamiętał. Państwa życie do fabuły również się nie zbliża, no niestety i całe szczęście. W związku z tym państwo niech nie będą tacy śmiali wobec tego ciasta pełnego drobin i Miasta, i ludzi, i ich rachunków oraz problemów ze sobą nawzajem. Zresztą kogo w ogóle państwo obchodzą, oto jest pytanie i to nie jest pytanie. Oto więc ciasto, a teraz ciasto się pokroi, drogie dzieci, mili państwo, na mniejsze kawałki. I każdy z miękkich kawałków się przykryje, nakrochmaloną ścierką dać! Niech spęcznieje w ciemności. Aż urosną z tych kawałków ciasta ciepłe, duże i jasne, w sam raz do pieca.

Odbiorcy

Dziewczyna się nadaje do wszystkiego, czego państwo sobie zażyczą. Ufają państwo więc, że zostanie im pokazane, i miękkimi ruchami głów oświadczają państwo: jesteśmy na tak. No dobrze, dobrze. Jest więc u państwa ciekawość, co tam będzie dalej, poza tym już sobie państwo usiedli. Nic innego zresztą nigdzie nie ma, a tu: będzie. Dzięki czemu będą mieli państwo później nawet co nieco do opowiadania, a niektórzy wręcz: opinię. Wesołych świąt.

BOGACTWO

*

Miasto ucieka ze swoich granic: drogami, drogami przez lasy, za którymi nie ma nic oprócz nazw. One również są przypadkowe, tak jak

ich lokalizacje, lecz bywa, że ulice przecinają się pod kątem prostym — chociaż tyle. Pat zagrzebała się w samym centrum Miasta, znajduje się więc najdalej od granic. Tkwi tu uwiązana do pamięci, która odmierza jej ciemność łyżeczką. Poczekajcie, nie róbcie jej jeszcze zdjęcia, i mama podbiega do Pat trzymającej lalkę na kolanach, łydki i stopy złączone, na bok i w białych rajstopkach. Mama przeczesuje krótkie włosy Pat, a Tata czeka z palcem na srebrnym guziku zenitha. Jest sierpień. Pat z rodziną właśnie wrócili z kościoła i teraz wszyscy czekają, aż babcia zawoła, że pomidorówka gotowa. Tata pstryka kilka razy, bez lampy, bo cząstka słońca wystarczająco silnie przebija spomiędzy dachów podwórka. Pat mruży oczy i patrzy tam, gdzie każe tata: tutaj, uśmiechnij się. Znajdują się państwo przed kamienicą, w której mieszkają dziadkowie Pat. Dziadek Pat patrzy na Pat i swojego syna, ma szare spodnie od garnituru, a kiedy zawieje wiatr, jego uczesane gładko i na bok siwe, cienkie włosy podnoszą się i należy od nowa je porządkować grzebykiem o cienkich zębach. Dziadek zawsze gwizdże przy goleniu, które odbywa się w dużej kuchni, przed rozkładanym lusterkiem, stojącym na blacie maszyny do szycia. Dziadek ma na sobie wtedy biały, bawełniany podkoszulek bez rękawów. Takim widzi go wchodząca do kuchni, obudzona zapachami śniadania Pat. Spomiędzy trących o siebie małych dłoni babci sypie się na pomidory sucha bazylija. Kiedy rodzice zostawiają tu Pat w wakacje, Pat najchętniej spędza popołudnia siadając obok dziadka, który na ławce przed kamienicą pastuje swoje skórzane buty. Pat pomaga dziadkowi, podając mu szczotki, pudełka z pastą i ściereczki. Babcia twierdzi, że Pat się kiedyś zatruje od zapachu pasty do butów, ale nie ma racji. Pat, dlaczego wyjadłaś babci całe colacao i nic nie powiedziałaś? Trzeba było powiedzieć, kochanie, toby babcia dokupiła, i babcia otwiera portmonetkę, żeby wysłać Pat po kolejną torebkę kakao. I kup sobie

jeszcze różka śmietankowego, babcia dokłada dwa złote. Bo się wstydziałam, mówi Pat, i spuszcza główkę, a jej małe stopy w czerwonych sandałkach są spocone i obtarte. Czubki palców poszarzały od kurzu podwórka, gdzie Pat właśnie sto razy przeskoczyła przez skakankę, i teraz w głowie dudni jej serce. I babcia jest tym trochę przejęta: moja jedyna wnusia. Pat idzie z mamą na zakupy i jest piękny czerwiec. Pat, słuchaj, może byśmy się przeszły do tych sklepików z bielizną i zobaczyły, czy są na ciebie jakieś staniki? Pat nie patrzy na mamę, tylko mówi bardzo zwyczajnie: a oczywiście, i wzdycha na koniec zdania. Ma na sobie tenisówki, dzinsy i miękki żółty podkoszulek, pod którym widać jej małe piersi. Mama chyba nie patrzy na Pat, mówi za to sporo. Takie są wygodne, wiesz, miękki ci kupimy albo dwa w różnych kolorach, jakie byś chciała? Zerówki, jest taki rozmiar, a tam są takie miłe ekspedientki, to sobie spokojnie przymierzysz, gdybyś miała problem z zapięciem, to ci pomogę, a ja sobie kupię jakieś majtki.

*

Samochód prawdopodobnie wykorzystał szczelinę między nocą a świtem i wcisnął się w nią zamiast światła — lecz wieczorem nie znika. Dla jego wygody zamknięto nawet ulicę, a jest wielki. Wychodzą z niego ludzie i wszyscy w kamizelkach o tych samych kolorach: srebro i czerń. To srebro odbija światło i puszcza zajączki. Można więc założyć, że są to odłamki luster i wypolerowanej stali, lecz z tej odległości nie jest to pewne. W ciągu dnia ludzie są dokładni i szybcy, z wyjątkiem tych chwil, kiedy siadają zmęczeni na krawężniku lub małych rozkładanych stołkach i wgryzają się w bułki, które są tylko dla nich, codziennie nowe. Wyklada je świeże, choć każdą w folii, miła dziewczyna z kucykiem, pucołowata i ruda. Niskie piramidy kanapek tkwią uszykowane na szerokich białych stołach, a między stosami górują srebrzyste imbryki o małych kurkach, z

których wybija para i herbata. Przez większość dnia ludzie noszą jednak ze sobą lampy na statywach długich jak oni sami. Dźwigają również mikrofony, które zwykle zarzucają na ramiona. Przez większość czasu mikrofony wiszą więc jak długie wędki (lecz miękkie, na końcach szare i futrzane). Jednak od czasu do czasu ludzie ruszają z nimi do biegu, i to w różnych kierunkach, również na siebie, jak rycerze na turnieju. Albo też, pełni napięcia, utrzymują je: uginają wtedy nogi i ściskają statywy w silnych dłoniach, jak wędkarze, wyczuwający ciężar złapanego, ukrytego pod wodą cielska. I mają wtedy rumieńce. Pośród tej bieganiny stoją nieruchomo kamery, niektóre większe od ludzi i piękne, przypominające czarne welociraptory. Mają okrągłe obiektywy, bardziej niż szczęki przypominające otwarte tekturowe pudełka. Kiedy pada deszcz, rozpina się nad nimi daszki i pozwala sunąć po szynach, których trasy są przecież dowolne i zmieniane w zależności od kaprysu. A wszystkie te zabiegi w największej ciszy. Ludzie z samochodu poruszają się tylko po obszarze, który sami dla siebie wydzielili taśmą. Wokół ich twarzy wiją się kabelki: każda głowa otrzymała po jednym i cieniutkim, ale Pat widzi je dobrze. Dzięki nim porozumiewają się między sobą. Wygląda to śmiesznie, ponieważ oczy mają zupełnie gdzie indziej, a wręcz w obłędzie. Okleili tą pasiastą białoczną taśmą domy i drzwi, a także sztachetki ogródków, które (z wyjątkiem sezonu zimowego) są zielonobrazowe, lecz i podgryzione przez koty. Kiedy ludzie spoglądają w górę, Pat się chowa. Wolałaby nie wydawać pochopnych opinii, bo tylko niepotrzebnie się zdenerwuje, lecz prawda jest taka, że ludzie z samochodu, nie dość, że rozpanoszyli się na ulicy, kierują jeszcze lampy w jej okno. Nieraz widziała, jak szybko i w przestkach składali długie statywy mikrofonów, w reakcji na jej ruch, przesunięcie zasłonki. Oczywiście, że próbowała ich zmylić. Zauważyła przecież, że każdy jej ruch powoduje tysiące

nerwowych drgań ludzi pod oknem, i nawet nauczyła się już trochę tym tłumem sterować, lecz nie wychodzi to synchronicznie, bez przesady. Zdarza się też, kiedy Pat nie pokazuje się przez kilka dni, że ludzie z samochodu uruchamiają swoją małą platformę, na której wjeżdżają, by pukać w jej okno. Zwykle nadciągają trójkami i każdy ma w ręku inny rekwizyt: mikrofon, reflektor, kamerę. Ta mała winda brzęczy jak samochodzik wyścigowy na baterie, więc Pat słyszy ją już w okolicach parteru i ma czas, żeby się schować. Jej spryt i strach denerwują ludzi z samochodu i doszło nawet do tego, że zaczęli wychodzić z windy na balkon, żeby jednak sobie pooglądać. Na razie tylko przyciskają nosy i usta do szyb, a dłońmi osłaniają oczy od światła, żeby lepiej widzieć środek gniazda. Zdarzyło się już, że mierzyli okna i sprawdzali wytrzymałość framug. Próbowali je też podważyć. Prawdopodobnie chcą bezgłośnie wyciąć otwory w szybach i nakręcić wreszcie ostatni odcinek, ponieważ gdyby pozwolili trwać nie tylko tej, ale wszystkim historiom, które się toczą i są rejestrowane, przestałyby one mieć sens. Pat nie może usunąć ze swojego ciała tamtych wydarzeń. Są ponumerowane i połączone. A przecież sprząta w Mieszkanu po swojej babci jak szalona. Jak szalona i wyrzuca. Lecz kiedy odrywa od ciała jedno wspomnienie, pozostałe wciąż się trzymają i musiałyby wyrwać od razu cały zwój. Należałoby więc wyciągnąć je wszystkie przez gardło lub z rękawa jak połączone kolorowe chustki, a takie rzeczy nie dzieją się przecież naprawdę, choć dostają oklaski. Pozostają Pat wybielacze, kneblowanie pamięci, ucieczki oraz nadzieja, phi, że kiedy zmieni wszystko nie do poznania, m. in. siebie, w Nową Pat. I pośpi sobie wtedy smacznie, zje i zagoi. Ha, ha. Usuwa więc Pat pozostałości, zachowując równowagę między plądrowaniem Mieszkania i niszczeniem ciała. Wynosi meble po trochu, a w głębokie skaleczenia wsypuje kolorowy pył z

temperowanych kredek oraz kolorowe przyprawy (papryka, szafran, kurkuma). Czernieje więc czerwień, zasklepiając się m. in. na jej piersiach. Serce rośnie. Nowa Pat będzie miała kolorowe blizny jak nikt. To siłą otwarte surowe ciasto zastygnie przecież w końcu przy pomocy czasu. Pat czyści mieszkanie i szoruje, co robi już jakiś czas, tydzień, dwa, miesiące. Elegancko ociera pot oraz usypuje kopiec z płyt (a raczej ich ostrych strzępów), kable znosi ze śmietników Miasta i zużyte baterie, które ciekną klejącym, żółtym sokiem. Sporo styropianu, tektury, również ekrany telewizorów, które rozbija prętami i zabiera w kawałkach, zawinięte w sweter, także druty. Przyciska zbiory do brzucha i biegnie przez Miasto, ale zwykle tylko przez okoliczne dzielnice. Również swoje śliczne sweterki składa na kopiec oraz inne wysokojakościowe materiały miękkie jak skóra i na lepsze okazje, a jedwabną chustką zatyka szparki w stosie. Usypuje kopiec radośnie i rośnie on na jej chwałę, staranna Pat. Opryskuje perfumami i wsadza tam wiele, wiele przedmiotów, bo i długopisy oraz stare aktówki. A wszystko lśni od szkiełek i mieni się o poranku. A ponieważ na zewnątrz czyhają ludzie z samochodu (a nie wiadomo, czy i nie całe Miasto), Pat nie wychodzi w dzień. W dzień Miasto rozprasza swoje ręce i nie kontroluje ich chwytów, co Pat uważa za bezczelne. Ubzdurała sobie, że jest w centrum rozmów i zainteresowania, zupełnie jakby czas nie drożał. Miasto jednak okręca wokół siebie wstęgę nieskończenie ślepych ulic, co huczy i nie jest przyjemne. Pat odnajduje jednak w tym huku wszystkie wypowiedziane przez siebie słowa, jak i przez np. Pabla. Czmycha więc nocą, kiedy Miasto mówi ciszej. Drobnymi krokami przemierza wtedy ciche i rześkie osiedla, aby przerzucać bogactwa, pełna nadziei i nucąc sobie. A bogactwa, składowane przez cały dzień, aż się wysypują z kubłów i miękną. Są piękne i niepotrzebne tam w domkach z białej cegły,

pokrytych falistą blachą. Pat wie, że trzeba je przeszukiwać często, ponieważ śmieci bardzo szybko upodabniają się do siebie: barwą, zapachem i w dotyku. Pat próbuje się więc uspokoić np. tymi spacerami, przecież niejedną dziewczynę obsikano, a ona nawet połknęła. Rzyganie wystarczająco męczy Pat, lecz co w nim najlepsze, pozwala wreszcie zasnąć, nawet obok kibla. Na spacer to już nie. Wyrwa po bogactwie puchnie w Pat, a Pat traci wciąż przez to sporo krwi, nerwów i czasu, a każda z trzech wymienionych substancji nie krzepnie łatwo i żadna z nich nie ma też końca. Można zwariować. Wyrwa pulsuje, dziura rozdarta, na brzegach zasiniona, ropieje, nie mówiąc o dotyku, na który reaguje sykiem. Właściwie to typowa reakcja.

*

Każdy z fragmentów bogactwa pamięci ma numer. Numery są, licząc od jedynki, przyznawane po kolei i na bieżąco. W tej szatni panują jednak reguły i raz przydzielony numer nie może zostać wymieniony na żaden inny. Jeżeli jednak któryś z fragmentów pamięci zniknie (co się nieustannie zdarza), pozostaje po nim pusty hak, który należałoby od czasu do czasu wytrzeć z kurzu, ale kto by o tym pamiętał. Państwo pewnie się domyślają, że numery nadawane fragmentom pamięci są wymysłem ludzi, takich jak ci z samochodu. Ponieważ oni lubią mieć zarejestrowane, włożone do albumu, podpisane i na zawsze lub przynajmniej dopóki nie rozleci się ze starości. I dla wygody, żeby sobie np. ustawić grzbietami na półeczce: no, ale kolekcja! Zwykle jednak losowa kolejność dobierania fragmentów jest tą ulubioną. Lecz łączenie elementów w ciągi to rozrywka przeznaczona wyłącznie dla odważnych lub nudzących się, jeżeli oczywiście potrafią pozbierać myśli w Mieście, które przecież rośnie. Huk Miasta jest jednak mniej denerwujący niż spotkanie samej siebie, np. w autobusie. Pat wychodzi z mieszkania

Drogich rodziców w środku dnia i ubrana, a nawet śliczna, taka śliczniutka i w dodatku piętnastoletnia. Idzie do szkoły oraz jest słońce, które, jak się za chwilę okaże, umie zmylić. I już po kwadransie Pat staje naprzeciwko siebie w sklepiku z gazetami i żąda od siebie siedem dwadzieścia, a to jeszcze nie koniec, to dopiero. Kupuje i bilet, i gazetę, starając się nie dotknąć dłoni, która podaje jej resztę, zresztą w kolejce stoi jeszcze kilkoro ludzi i wszyscy oni mają czarne plamy pod paznokciami. Następnie Pat przechodzi przez ulicę, i kiedy już myśli, że jest bezpieczna, na chodniku z dala, z dala idąc przed siebie, o, wtedy właśnie potrąca jej ramię jej ramię jej ramię jej ramię. To nie ja, powtarza Pat, ale odwraca się za siebie, żeby jeszcze sprawdzić. Tymczasem potrącona również odwróciła głowę i ma złe oczy. Lecz wcale nie są one czerwone, jak państwo być może sobie wyobrażają, ani np. świecące. Wystarczy, że również należą do Pat, tak jak i cała twarz, która na szczęście się oddala i wsiada do tramwaju. Pat natomiast musi sobie usiąść w parku. Nieco odetchnąć, rozczapierzone dłonie kładzie na kolanach. Trzyma je tam, palce na miejscu, żeby nie uciekły, ma je więc na oku. Całe szczęście nikt nie pyta, czy wszystko w porządku, bo paznokcie ma Pat długie i pomyśl, jak ich użyć na buzi. O tym też nie powinna myśleć. Najgorzej jest jednak, kiedy musi długo w ciszy i wśród innych osób przebywać obok siebie, która siedzi obok i głupio się uśmiecha. Popatruje na Pat ta druga, nie otwiera ust, tylko kąciki jej drżą. Aż Pat zbierają się łzy w oczach, co to będzie, maleństwo. W kolejce do lekarza siedzi więc obok siebie, a łydki uciska skurcz. Aż tamta Pat się przesiada za róg korytarza i Pat nie musi już jej widzieć. Chociaż kto ją zapewni, że tamta nie wygląda ukradkiem i nie obserwuje jej: no, ale dosyć tego. Następny! Udawanie miłej pani domu z wiklinowym koszem smakołyków pozwala Pat umykać, jeżeli spotyka siebie. Może udawać, że

jest kimś innym, i wtedy ukryty pozostaje fakt, że są dwie, co za bajzel. Pat przybiera więc dla niepoznaki np. twarz swojej mamy, Mamy Drogiej. Jest ufarbowana na rudo, choć jest to odcień sosu do spaghetti z rdzą, a włosy wcale się nie błyszczą. Ma też worki pod oczami, wypełnione snem, który trzeba wycisnąć stamtąd masażem i winem. Jaka jestem padnięta, zwykła w tej roli mówić Pat. Mój Boże, zaraz umrę. Ma też Pat wtedy wyciągnięte płatki ucha od kolczyków z szafirami, lecz jej dłonie są pomarszczone od prania. Mama Droga przecież prała pieluchy i zmywała sterty naczyń, zanim stała się pachnąca, wystarczająco bogata i z dorosłym dzieckiem. Lecz nadal za mało śpi, mimo że kupiła termoplastyczną poduszkę, która potrafi zdziałać cuda. Pat wraca do domu całkiem pijana i ma szesnaście lat, o piątej rano tym bardziej. Mama Droga wreszcie może iść spać, lecz zdąży skomentować tę sytuację słowami „dzieci są głupie”. Państwu się podoba. Jest to ulubiony dowcip Mamy Drogiej, która na dodatek uważa go za uniwersalny (i się nie myli). Pat wypija pół butelki wody mineralnej i śpi do trzynastej, ach, nie napisze już klasówki z angielskiego. Państwo są pobłażliwi. Pat lubi się wzruszać cudzą niedolą, np. „więzionych w klatkach chorych na downa z miasteczka zarośniętego łysymi drzewami”, o czym właśnie czyta w Internecie, i popłakawszy się, idzie wykąpać ciało. W kąpieli mówi sobie: „nie należy temu wszystkiemu wierzyć ” + aromaterapia i po godzinie jest już z Pat dobrze, prawie tak dobrze jak z państwem.

*

Zanim przed oknami stanął samochód, Pat z okien widziała Miasto. Teraz Miasto jest wrześniowe, ale wiadomo to tylko dzięki cyfrom, które wybijają głębokie pieczęcie, np. w kalendarzu. Trwa Pora Deszczowa i czas wciąż różnie na skróty, co go obchodzi atmosfera. Różnie do przodu i przez pamięć, przez pamięć, wciąż tamtędy zawraca, krążąc jak opętany.

Pewne cechy Miasta nie zmieniają się jednak, nawet z pogodą. Przykładowo: Miasto jest miękkie i ciepłe, gęste i jakby z proszku, i wciąż kipi, nawet pod deszczem, a w żarze tym bardziej. Pat przypuszcza, że Miasto powstało po zmieszaniu ludzi z wrzątkiem. Gorąc panuje w Mieście. Zapasy tlenu Miasto uwalnia stopniowo, są cenne, ledwo, ledwo starczą. Mieszka tu przecież kilkaset tysięcy lub milionów i wszyscy chcieliby sobie pooddychać, i w dodatku: ciągle. Na co dzień jednak cierpliwie ciekną chodnikami i nie protestują, potykając się. Widzą przecież, że są w Mieście również inne problemy, np. wszystko tu pęka od spodu i również pęka cały czas, zastawiając pułapki. Chodniki i schody ulegają wypiętrzeniu, poręcze uginają się, lecz jest to w gruncie rzeczy mniej niebezpieczne niż ukryte w głębinach kałuż szkło i szczury. Pat stara się być jednak grzeczna, więc nakłada opaskę na włoski i kapcie wsuwa na stopy, a następnie, dzień po dniu, przy pomocy ciągłego ruchu i sprzątanania zdziera wszystkie nawierzchnie, do czysta, aż natrafi na kamień. Paznokcie trą więc między innymi o tynk i prześwitujące gdzieś tam cegły, dźwięki tego są suche. Mieszkanie Pat właśnie wynajęło jej usługi i jest całkiem zadowolone. Pat natomiast starannie dociska klamki i nie pozwala przestrzeni się mnożyć. Przez okna lepiej w ogóle nie wyglądać. Ma dwadzieścia pięć lat i jest bogatą bezrobotną, służącą Mieszkania i służącą ciała i pamięci, całuję twoją dłoń, madame. A chłopcy i ludzie z samochodu (kto wie, kto jeszcze?) pukają w ciągu dnia do okien i drzwi. Jedyne, co Pat robi dla siebie, to potajemnie sprawdzanie, czy wciąż ma puls i czy serce stuka w ciepłe. Jego stukot zlewa się z bębnieniem w szyby i drzwi: palców i pięści. Pat czeka wciąż na wybuch popiołu, którym jest jej ciało (dość stara informacja). Cierpliwa jak nigdy, wyczekuje też narodzin Nowej Pat. Miasto uwalnia się jak pęczniejąca fasola, a Pat przeszukuje codziennie jego miękkie

archiwa. Wszędzie tam jest już jej bogactwo i burdel. Pat zadaje podchwytliwe pytania, jak blisko pod oknem może być ta kelnerka, która się do niej uśmiechała, przynosząc tacę drinków. I barman, któremu opowiadano o tej z długimi blond włosami, co w warkoczu przyszła i już była dobra. I kto jeszcze widział film z kamer rozpiętych w rogach sufitu w Stali. Może i nie widać jej twarzy, ale z pewnością są to jej spodnie. 7496 wyświetleń, stan na dziś lecz czy masz skończone osiemnaście lat? (Tak/Nie). Pablo wydłubał z Pat bogactwo i je połknął, nie zaszkodziło mu, lecz ostatecznie się go pozbył. Wciąż jest przecież zaskakująco promienny i ma piękną cerę na jednym z nowych zdjęć, które Pat znalazła w internecie po dwóch godzinach poszukiwań. Pat przygląda się mu, powiększa, można by pomyśleć, że się zakochała. Jak on lekko trzyma kieliszek szampana i ma loczki! Do tej pory Pat w ogóle nie pamiętała, że Pablo miał loczki. Zapisuje zdjęcie w folderze Pablo i tłucze w komputer młotkiem, rytmicznie i długo, następnie również pięścią, i skacze po nim, aż ten całkiem się rozlatuje. Niektóre błyszczące części komputera Pat układa właśnie na kopcu Mikołaja. Lecz resztę zostawia przezornie dla Karola, on przecież tak lubi komputery. Chowa części do reklamówki i szczelnie ją zakleja, żeby nikt się do niej nie dostał, nie ukradł, nie wyniósł stąd i przed czasem. Od dwóch miesięcy Miasto i widzowie szepczą o wydarzeniach 28 lipca i ten szept tłoczy swój ciężki oddech w kark, w uszy Pat, aż napina bębenki, a Pat boi się, boi się, boi się (ależ koszmary). Usypuje jednak kopiec ze śmieci i dba. Podlewa zapachami, a także sprzęta wokół niego. W Mieszkaniu tymczasem porządek i tylko stos ściąga agresywne muchy: rozłazą się. Zostawiają za sobą trop cienkich nóżek, kiedy Pat śpi. Po ścianach też i schodzą we włosy, następnie: dotykają powiek, jest tego pewna, to one ją budzą. Co noc Pat otwiera oczy i widzi uciekające owady, i mimo że nic już nie

swędzi, nie chce dłużej spać. Idzie sprawdzić, czy drzwi od Pokoju Pierwszego są zamknięte. Są, ale muchy z kopca rosnącego w Pokoju Pierwszym wydostają się, być może przez dziurkę od klucza. Wisi tam w środku ich czarny kłęb i trudno cokolwiek zza niego dostrzec, jednak nie są za głośno. A w tym czasie Miasto szepcze o Pat, która wesoło i ze śmiechem chciała sobie iść potańczyć mimo posiniaczonych nóg i pleców, a wszystko to dwa miesiące temu. Czy ktoś z państwa nie ma może ochoty na drinka?

*

Ale jeżeli drinki, to w takim razie w Kuchni, która znajduje się po przeciwległej stronie. Trzeba przejść przez całe Mieszkanie, a ma ono trzy pokoje i dwa długie korytarze, się państwo nachodzą. Kuchnię ma Mieszkanie przestronną i jasną, choć z widokiem na śmietnik. Ale zacznijmy stąd, gdzie państwo wytarli buty, od głowy Mieszkania. I zamknęli też państwo za sobą. Przedpokój jest więc karkiem i piersią. Drzwi do Pokojów Pierwszego i Drugiego wiszą u jego ramion, spore łapska. Przejście do Pokoju Trzeciego znajduje się z kolei w samym pępku Mieszkania, na końcu Przedpokoju, tam jest najciemniej. Drzwi do Pokoju Trzeciego wycięte w podbrzuszu Mieszkania są dwuskrzydłowe i ciężkie. Za nimi przeogromny Pokój Trzeci, szeroki jak całe Mieszkanie, z lewej strony obciążony Małym Balkonem (biją tam o siebie skrzydła gołębi), lecz po prawej stronie też ma okna. Pokój tkwi między Przedpokojem a Drugim Korytarzem, którego koniuszek stanowi Ukryte Wyjście, wykute w Spiżarence. Za metalowymi i grubymi drzwiami umieszczonymi na tyłach Spiżarenki znajdują się schodzące ostro w dół, wąskie i mroźne schodki, ale tylko na podwórko, do śmietnika. Cykl życia Mieszkania można więc zamknąć, choć ten okrąg nie jest używany. Metalowe drzwi są bowiem zaryglowane i zastawione dżemami, które

zostały jeszcze po babci. Pat ma jednak klucz, może je otworzyć, np. zbiec w dół i zapaść się pod ziemię. Tak jakby te drzwi służyły wyłącznie wychodzeniu, pozbywaniu się siebie z miejsca, chociaż przecież babcię wyniesiono drzwiami wejściowymi, które mogą państwo nazywać Drzwiami Głównymi. Lecz spokojnie: Mieszkanie przede wszystkim ma to, co znajduje się na wierzchu. Z Pokoju Trzeciego można więc dostać się i do Kuchni, i do Łazienki, które tak jak Pokoje, Pierwszy i Drugi, na ramionach Przedpokoju rozkładają się po obu stronach Drugiego Korytarza. Rozwalone na boki: ciężkie nogi. Układ pomieszczeń w Mieszkaniu został więc pomyślany na wzór piątki z kostki do gry. Pomiędzy oczkami są, co prawda, wspomniane drzwi i wąskie, ciemne, długie przesmyki, ale z wysokości niezbyt je widać. Jeżeli weźmie się jednak lupę i przypatrzy, wyraźnie odznaczają się na konturach Pokojów wejścia/przejścia/wyjścia i wszystkie mają wysokie progi, są stare. Wielokrotnie malowano je białą farbą, a klamki drzwi mają ciężkie, wytarte i luźne. Wciąż wystarczają one jednak swoim zamkom. W Mieszkaniu biel oblała zresztą wszystko i nawet kurz jest tu wypłowiały. Pokój Trzeci za to — najbardziej przestronny i jasny. Do niego też przytwierdzono kamienny Mały Balkon, przez który usiłują wejść do środka ludzie z samochodu, a Pat na przykład łapie tam gołębice. Korzysta z głupoty i łakomstwa ptaków i ma w tym już wielką wprawę. Na parapecie przy Małym Balkonie przygotowała Pat dla celów łowieckich stosik uprasowanych i czyściutkich płóciennych torebek, aby gołębice tak od razu się nie udusiły, ale o tym w kolejnych odcinkach. Zanim jednak lupa zostanie odłożona, można jeszcze państwu pokazać Drugi Korytarz, będący lustrzanym odbiciem Przedpokoju. Oto z niego przejście do przestronnych Łazienki i Kuchni. Lecz naprawdę więcej już nie można państwu w tej chwili powiedzieć, chwileczkę, państwo chcieli się

przecież napić, no to tutaj są szklanki i kieliszki. Niech się państwo czują. A w szkole Pat patrzy na Karola ukradkiem, w tych wszystkich korytarzach i na boisku zawsze rozpoznaje go z daleka. Karol ma kilku kolegów z innych klas. Śmieją się i pokazują ofiary palcami, Karol często zgina się od dowcipów, ale nie oszukuje śmiechem. Jest kolorem opiętym przez kontury ciała. Bije w oczy fakturą swoich ubrań i gładką skórą. Zdrowy i bogatszy, ma grube, mocne zęby, nie ma alergii i myszek na skórze. Lśni: i to ten połysk odbił się na taśmie pamięci. Pat poznaje Karola Złotego i staje się jego dziewczyną pod rękę i pod spód, i pod warunkiem: że Karol nie udaje, że ślepie lub najadł się psychotropów, które regularnie kradnie swojej sterylnej matce. Matka za to cały dzień tapiruje włosy lub pali w oknie papierosa w fifce, a nawet nie ma prawa do zasiłku. Karol wydaje się głupi, czyta tylko fantastykę, nosi obrączkę na serdecznym lewej dłoni. Pat nie wie, czy lewa, czy prawa. Ale opowiada koleżance w autobusie, że na lewej. Karol jest niski, krótko ostrzyżony i bardzo przystojny. Typ do reklamy okularów (państwo wiedzą swoje). Ma duże brązowe oczy. Pat opowiada to koleżance zapamiętanej jeszcze z przedszkola, spotkały się po latach w akordeonowym przegubie autobusu. Koleżanka nadal ma warkoczyki, złą wymowę i nosi niebieskie niemieckie adidasy. Pat opowiada jej na ucho o Karolu. Karol wydaje się bardzo czysty i bogaty. Nosi ładne bluzy i ładne luźne spodnie, często pociera opuszki gładkich palców. (Każdy musi przez to przejść — państwo rozumieją, całe szczęście Pat w ciągu kilku następnych lat skrzepnie humor — aż popęka). Karol ma niski głos, szybkie, gwałtowne ruchy, jakby szamotał się z powietrzem. Przez cały ubiegły rok Pat po cichutku przemierzała za nim schody, trzymając zimne palce ściśnięte w pięści. Jednak: raz, dwa, dzwonek dzwoni, dzieci do klas, co za brednie. Pat miała wówczas, jak państwo oceniają, głowę

wypraną do czysta. Zgadza się, miała piętnaście lat i na marginesach w zeszytach zapisywała daty tego stanu, a następnie obliczała niewiadomą lub uzupełniała luki, co jej nie zawsze wychodziło. Pat jedzie starym, głośnym autobusem. Koleżanka wysiada wcześniej, opowieść o Karolu się kończy, Pat jedzie aż na pętlę. Ma obcisłą, czarną sukienkę bez pleców, w uszach drobne, okrągłe kolczyki z cyrkoniami, ściska w palcach wąską torebeczkę. Restaurację wynajęto dla dzieci na obrzeżach Miasta, Pat już wysiada i jest chłodno. Klekot starych drzwi autobusu, spiczaste szpilki, Pat idzie do swojej klasy, cześć, cześć, cześć. Chłopcy są w garniturach, śnieg już spadł i pada. Pat nie czuje zimna, ale ma od niego dreszcze. Do Pat podchodzi twarz Karola. Masz, tu woda jest w sprajcie, gaś, maleńka, pragnienie. Karol śmieje się parą spomiędzy warg w sferę ciepła Pat, aż do kości stóp przesuwa się przez Pat ciepła wstążka. Pat uśmiecha się więc (no nie) i tkwi, a klatka piersiowa zapada się głęboko. Pat nie jest na nic gotowa, jednak wykonuje podstawowe czynności: prostuje plecy, włosy przerzuca palcami, oblizuje usta. Szykuj się, bo maszeruje na ciebie, złotko, stado marzeń, zostałaś wybrana lub tylko przyszła na ciebie kolej, powtarza Pat, i jest nawet najszczęśliwsza. A jednak dzieje się i zrobię wszystko, deklaruje podekscytowana dziewczynka, a państwo powtarzają zgodnie: jakże ci współczujemy, Pat. Pat oblizuje szminkę wargą o wargę, a nawet przeciąga językiem po końcach zębów, żeby nie zostawić resztek, i może się całować. (Popraw sobie kokardę pod szyją, Pat, i daj podrapać za uchem, koteczku, państwo krzyżują ramiona). Karol kładzie rękę między jej nogami, a Pat patrzy w jego błyszczącą twarz, daj się skusić. Ta skóra smakuje alkoholem, który pachnie, i cierpnie od niej język. Muszą jednak biec. Zaczyna się! Ależ to będzie bal. Albo i nie. Błyszcząca muzyka dobiega do nich, aż razi, również drżenie powiek i ziemi. Spiesz się, trzymaj się, biegnij,

biegnijtrzymajmniem nietrzymajsię — woła Karol, a echo nawleka te słowa na ich dźwięk (więc państwo mają rację: jest to nieznośne). Już z daleka widać wysokie okna wielkiej restauracji. Ochroniarze są wielcy i grubi, grubymi palcami przesuwają zdyszane dzieci po kątach. A z wysokości widzą państwo główki, które odnalazły wyjście z labiryntu drewnianych ławek. Prześcigają się więc dzieci w drodze do wejścia, krzycząc i tupiąc, zaraz rozpoczną noc i wszystko. Tymczasem wokół nich Miasto nie śpi.

*

Jest ono zabytkowe. Wielu tu turystów, więc więcej ludzi, jeszcze więcej, zagęszcza się dym w płucach. Niedaleko jest wszak uzdrowisko ciał, co ciągnie. Rozrywka podświetla województwo. Migoce więc powietrze i ma częściej smak helu, te balony ze śmiechem, który Miasto puszcza w obieg, te balony pękają przecież całkiem nisko, niedaleko centrum. Miasto ma (dwadzieścia) dwie galerie handlowe i jeżeli powstanie trzecia (albo dwudziesta czwarta), to połączą się pod ziemią i będą mieć usta szersze niż kontur Miasta. Ich fundamenty utworzą podziemną sieć z drobnych kanałów parkingów. I nie powstrzyma się już kłaczy plakatów. I nie ukryje zawstydzonych ludzi przebranych za maskotki, chodzących z megafonami roznoszącymi pogłos bogactwa. Bogactwa, którego (nawet jeżeli się go nie kupi) skrawki za darmo rozdadzą lub w cenie chleba. Kolczyki przecenione pięć razy to jeden cheeseburger, więc za dziesięć złotych możesz nie tylko zjeść obiad, ale spędzić czas na każdym pięttrze, używając obfitości. I ją dzielić. Również trzymać zakup. Oraz pojechać lustrzaną windą (drzwi otwierają się na twój widok, a nie wszystkie mają klamki). Krajobraz w Mieście ugina się pod ciężarem tego, co ludzie niosą, strachu przed zimnem i wiatrem, Miasto udaje przecież, że jest młode, dopiero się rozwija i nie nosi czapki.

Zatoki Miasta również są zapchane, ptaki nad nimi skrzeczą. A Miasto się kuli, stare kobiety się kulą, ludzie w autach się kulą: podnoszą oczy w górę i czekają na zielone. A w załamaniach przystanków cisną się ci, którzy czekają na autobus. A on chłapie. Lecz latem, kiedy powietrze zaparza się pod przykryciem, aż naciągnie, podnoszą głowy, o! Podnoszą, choć pot ściąga w dół. Dyszą i pozwalają rozlewać się energii słońca pod wachlarzami cienia i w mrożonych szklankach. Czują tylko przyjemność, która pieści im ciepłą skórę, mokrą skórę pod pachami i mokre języki na których musują ostatnie bąbelki wody. Otwierają kanały w ciałach i wysączają z siebie resztki tego, co zjedli i co było dość trujące, żeby się tego pozbyć. Miasto ma też balkony z daszkami lub bez, ale taśmowo przymocowane do bloków, jak wypustki kół obrotowych. Okna błyszczą tylko przez chwilę, jeżeli poruszy się ich szkłem. Mieszkańcy piorą firanki przed świętami kościelnymi, papierem toaletowym wycierają myte okna, co skrzypi. Nie należy zapominać o daszkach z dłoni pod słońce i pierwszych zgniłych liściach. I restauracje pełne balonów upchanych pod sufitami. Ich marmurowe stoliki spokojnie stoją na marmurowych podłogach i czekają na gości. Oraz: oto restauracje nowe, Miasto też je ma. I jest tam pusto, a talerze są prostokątne. Bary mleczne również, gdzie strach wejść, kucharki rumiane, zmęczone i spocone są pierogi, przewalają się przez gardła, odbija się państwu i bulgoce. Są bary wegetariańskie, pełne grubego plastiku i chrupkiej sałaty, skrzypiących krzesel (wiara w zdrowie). Kebaby, sos w świetle nocy, zapiekanki z dworca, elektryczne światła, brązowy dym, długa guma stopionego sera. Oraz tłuste jądło w drewnie i wydrążonym chlebie, chlapiące barszcze, a policzki nadziane mięsem. („Ale się najadłem! ”). Te teatry. Kina. I sale prywatne, takie jak ta, z której Pat nie będzie umiała uciec. To już prawie dwa miesiące, od kiedy Pat nie wychodzi z Mieszkania. Wymyka się

jedynie każdej nocy do ciepłych śmietników, które obradzają. Zawsze można coś uszczknąć stamtąd i wzbogacić kolekcję, i tak już imponującą stosem w Pokoju Pierwszym. Przy okazji nocnych wycieczek wyrzuca rzeczy, które stanowią część jej dotychczasowej pamięci. Należy je usunąć, gdyż mogą wypuszczać korzenie zachłannie szukające przestrzeni. Pat wynosi więc śmieci i przynosi sobie przeróżne skarby, również codziennego użytku, typu: bułka. Wkrótce nic już nie będzie do niej należało, również ciało, obce, stanie się wtedy jakże wygodne. Puste i tępe, no dobrze: czasami jednak głodne. I wreszcie trochę spokoju. Gospodyni Pat sprząta, pierze, trze lustra do gorąca. Wszystkie dostępne ścierki rozpadły się już ze zmęczenia, więc Pat wyciera skórą powierzchnie odkażone domestosem, trze udami lub się turla, cha, cha. Obtacza swoje ciało w pianie, co za smakołyk, a ono syczy: Pat wyciera usta.

*

Dzięki przeróżnym zabiegom Pat jest jednak dość świeża, przyznajcie państwo, a to bywa u kobiet cenione. Cenione przez chłopców, którzy pilnują. Robią to za pomocą swoich wysokich wymagań i plotkując o dziewczętach. I żeby zawsze były nieskazitelne, to dla chłopców ważne, ponieważ wtedy nie jest im dziewcząt żal, a wręcz są z siebie dumni: w związku z taką czy inną. Karol i Pat dobiegają i wydechają z siebie mrok i kłęby ciepła, mgła gryzie ich po policzkach. Zostają sekundy, aby się nie spóźnić, więc przedzierają się przez fioletowoczerwone zasieki światła i pomiędzy kolumnami. Gęsia skóra, lecz i uśmiech. Pat i Karol dotykają swoich ramion, a plamy światła wsuwają się na ich palce: ależ ślicznie. Brną do przodu, a bramki przy wejściu mają niebieskie strzałki, jak w hipermarketach. Pat pokazuje Karolowi, on jednak ma swoje zdanie, a głos ma twardy. Przecież tak jest wszędzie, np. w Hiszpanii i w ogóle. Nie

byłaś nigdy w hiszpańskiej dyskotecie? Karol wzrusza ramionami, staje za Pat, łapie ją za biodra i popycha. Pat wiedziała, Karol ma pieniądze na głupoty. Hiszpania i laski bez majtek pod mini, poza tym niejedno wie. Pat brała już jednak dużo większe tabletki, żeby zbić gorączkę, więc nie zwraca uwagi na historie Karola, które słyszy. Dwa lata temu się bujałem po imprezach dla vipów w Hiszpanii. Z innymi dzieciakami ludzi od funduszy argentyńskich, piramid i innej sraki. Karol mocno popycha Pat do przodu, tłum jest gorący i śliski. Pat wyciera z tłumy dłonie, w ściany i przed siebie. Dookoła złoto prześwituje przez czerni, a fragmenty twarzy spomiędzy ubrań. Błyszczą się. Witam liceum sto pięć! Czy dobrze się bawicie? Nie słyszę! Głos Tamtej rozlega się ze sceny, obiega klub i powraca ze zdwojoną siłą, żeby rozwiać jej włosy i śmiech. Karol przepycha się za Pat, wkłada język do jej ucha. W Hiszpanii nie ma takiej wiochy jak tu. Ochrona nie śmierdzi i pod lokiem stoją, wiesz, murzyńscy dilerzy, stoją więc i jak masz Kartę Klubową Vip, to dostajesz, no od nich za darmo, właściwie co chcesz, ale hasz. Ja, generalnie, to tylko to, bo wiesz, po co mi inne. Tu Karol wzrusza ramionami i zapala papierosa, a Pat opiera się zgiętą nogą o ścianę. Chwileczkę skrzypi jej obcas i to jest ten moment, w którym oboje chcą zagrać w filmie. Oraz Karol kontynuuje. Stał tam murzyn i długim paznokciem dzielił kosteczki haszu, Karol pokazuje, ruszając pięknym palcem, jakby groził Pat. A tu Tamta, jakaś cipa woskowa, co za gówno, ja za to płacę, za wstęp, trzeba się najebać, by ją znieść, masz na sobie majtki, Pat? No więc masz, Pat, to znaczy, jakie masz? A tu jest internet, wiesz, kamery, i Karol sam sprawdza dłonią krój. Pat odwraca głowę od Karola, bo w jego oczach zauważa sklezione kulki nerwów, przepalane korki, które grzechoczą, chociaż wszystko dookoła działa: żeby zagłuszyć niebezpieczeństwa. „Więc oni nas filmują do internetu, to jest w cenie i zajebiście też,

wszędzie monitoring i możesz tańczyć, a potem ściągnąć zdjęcie swojej zabawy”. Siedzą już przy stoliku, a Karol ma zimne wargi i obejmuje nimi brzeg ucha Pat. To jest ściema z tym pośpiechem, już godzinę tej obory, maleńka, tego gnoju, a nadal wchodzą, wychodzą, o, z taksówek przynoszą wódkę, z taksówek tam, o. I Karol przestaje mówić. Wreszcie przestaje mówić i państwo też mają go z głowy.

*

Pod wieczór ludzie wchodzą do wielkiego samochodu, z którego co noc dobiegają dwa hałasy. Pierwszy rozlega się około dziewiętnastej i z pewnością należy do ludzi, ponieważ jest nieregularny, ma wystrzępione kontury i nigdy nie wiadomo, kiedy się skończy. Brzmi jak wypowiedane naraz we wszystkich językach te same słowa. Można bowiem wyczuć w nim jeden ton tej samej informacji, jednak nigdy nie jest on taki sam (a przynajmniej się stara). Drugi hałas nie jest ludzki i nic nie zakłóca jego dźwięku. Ma on zawsze ten sam kształt: długiego, lśniącego pręta. Jest to pisk o wyraźnym, głośnym początku i takim samym końcu. Jest ucinany pół godziny po starcie i tej reguły przestrzega się co do sekundy. Sekunda to najmniejsza jednostka, którą Pat może dokładnie sprawdzić, nasłuchując pisku. Podejrzewa jednak, że tę dokładność można mnożyć w nieskończoność. Dzielić na coraz cieńsze nici, których Pat nie chce sobie nawet wyobrażać. Porcja czasu, pożerana przez pisk, jest prawdopodobnie cyfrowo zapisana i może kręcić się w kółko. Całe szczęście pisk cichnie o dwudziestą czwartą, a przynajmniej nie da się go wtedy usłyszeć ponad powierzchnią dźwięków wyłaniających się przez nieszczelne lub nawet otwarte okna. Po północy zawisają nad ulicą westchnienia, szum dotyków i ciche warczenie, ktoś gwizdże przez zęby. Są one do siebie bardzo podobne i mieszczą się w szepcie, więc można ich w ogóle nie wyłapać. Pisk więc albo milknie, albo dobrze udaje. Mimo

wszystko nikt z mieszkańców okolicznych domów nie skarży się na hałas z samochodu. Czy mają coś na sumieniu lub w pamięci i sądzą, że powinni wobec tego znosić to tak, jak znoszą kolce? A kolce wbijają się przecież coraz głębiej w codzienność mieszkańców i rozpoławiają jej czas, robią to uparcie i regularnie zadomowiając się w czarnych, płaskich, szerokokatnych donicach. Być może z tego powodu mieszkańcy okolicznych mieszkań rozważają przy wspólnych kolacjach, czy by nie zostawić dla kolca miejsca również przy stole, a może nawet spanko! Nie wszyscy przyzwyczaili się jeszcze do kolców, lecz to uczucie zaczyna dominować i wkrótce obejmie każdego, co przewidują prognozy i botanicy. Wszak ci pogodzeni i przyzwyczajeni do kolca (który wkrada się zwykle od strony szyb) podlewają go ulubionymi napojami, przełykaną śliną, ale też łzami. Łzy trzymają dla niego niczym specjalne odżywki, a kiedy czują się gotowi, leją mu ich bez umiaru. A on pije. Kolec potrafi wypuścić nawet do pięciuset pędów, a każdy jest inny: za takie pakiety się dodatkowo płaci. Sam kolec tak naprawdę wymaga tylko prądu i metalowej rurki, o którą może się oprzeć. Jeżeli zostaje mu to zapewnione, sam doskonale zajmuje się sobą, i nawet tu i ówdzie przytyje ze szczęścia, lecz oczywiście nie pogardzi człowiekiem. Ach ta Pat! Jakże trudna jej sytuacja obecna i życiowa. Ludzie z samochodu zagląдают do niej, za nią, a oczy im rosną: na zdrowie. Pat natomiast sobie wrywa włosy z głowy, coś się bowiem schyla, pyta: czy krzywdę masz w ciele, Pat? Ona raczej: nie wiem, ale skłania się na: tak. I ona sobie z tym „nie daje rady” od dwóch miesięcy, usuwa więc z siebie resztki pamięci i staje się człowiekiem następnym, bez wspomnień. Ale za to z rozległymi nieużytkami, ze wspaniałym widokiem pod nogami. Lecz nie jest to łatwe, jeszcze czego, bo pamięć też ma coś do powiedzenia, zwłaszcza że wciąż przebywa za plecami Pat i obsiada tam wszystko. Wykradziono, co

prawda, najdelikatniejsze mięso, ale to nie znaczy, że nic w jego miejscu nie urośnie. I to dopiero będzie coś. Pat wyrzuca jednak rzeczy z Mieszkania: bo jak to? Czeka ją jasna przyszłość, pusta jak należy, mięso do kości oskrobać. Trzeba te resztki materiałów powyrzucać, na co to trzymać, myśli sobie pedantyczna Pat. I pakuje wszystkie ścinki z maszyny babci do worka na śmieci. A maszynę wystawia na balkon. Gdyby nie ludzie czatujący pod oknami, wypchnęłaby ją przez barierkę. Ale jest całkiem miła i ostrożna, tego nie robi: proszę bardzo. Na ciele Pat oznaki grzechu: rosną znamiona. Jest wybrykiem natury w tym Mieście lub po prostu naturą wśród przyjemnych mieszkańców, a nawet dla swojej mamusi, której by o „takich” rzeczach nigdy nie powiedziała. Pat założy więc pończoszki, aby Karol, który ją tu odwiedzi, był zadowolony. Pończochy mają kilka pasów wąskich gumek, żeby się dobrze trzymały na udzie i stawiały jako taki opór dłoniom Karola, który je sobie zroluje, wedle uznania. Pat się może założyć, że tak będzie, ale nie ma z kim. Rozmyśla więc Pat o tym, że niedługo odbędzie się w Mieszkanii pasowanie Karola na zwycięzcę lub mężczyznę, a nawet obu. O, Karol będzie mógł wycierać się w koło np. ze szczęścia, lecz do czasu, Pat uśmiecha się i wkłada szpileczki, całkiem, całkiem. Lecz do czasu, wszak Pokoje Drugi i Trzeci wciąż stoją puste i zjadłyby. Nikt nie ma prawa Pat zabronić, działa całkiem legalnie, przecież tutaj właśnie mieszka i czuje się jak u siebie. Maszyna do szycia na balkonie zwabia gołębie, moszczące sobie wokół niej wielkie, brudne gniazdo.

*

Miasto szepcze, gdyż mieszkańcy wiedzą, komentują i kłapią. Wzięli Pat na języki, słowa zaś unoszą się nad rozmawiającymi i ciążą. Mieszkańcy dziobią swoje miękkie ramiona spiczastymi palcami, a następnie obracają się do siebie twarzami, aby w parach opowiadać o

życiu. I bywa, że zasłaniają wtedy usta. Karol Złoty jest piękny, a Pat musi przyznać, że denerwuje ją jego twarz, piękniejsza od jej własnej. Jednak Pat nie daje po sobie nic poznać, a Karol niczego nie podejrzewa i kupuje jej czasem sukienki, wypowiadając pełnymi wargami słowa, które nie są może cenne, ale ładnie wyglądają. Karol chce, żeby Pat poznała jego kolegów, a więc Pat poznaje m. in. Białasa, który ma kluczyki od auta i auto. Ukradł je i polubił, przemalował na srebrnozłotofioletowo i w płomienie. Jeździ nim nocami najszybciej jak się da i z kolegami, lecz tylko po osiedlu starych domków jednorodzinnych (ma taką ochotę). A Pat na tylnym siedzeniu bawi się świetnie, ponieważ jej dzielnica od dawna jest za stara na takie rozrywki. I za droga. Pod bluzą z grubej, mięsistej bawełny Karol okazuje się zastraszoną skurwysynem. Głaszcze nos Pat i drżą mu ręce (podpatrzył to na filmach). Udaje, że nażarł się kradzionego relanium, i aby rozgrzać mięśnie dłoni, napina stawy, trzymając Pat za brodę. A teraz, o, proszę, i też dla zabawy, podcina jej nogi, żeby mógł ją złapać: niech zobaczy, co by zrobiła bez niego. Mało brakuje, a Pat odgryzłaby sobie język. W Karolu tkwią też szczypcy, które kąsają Pat, przywołując do porządku. Kładź się! Karol boi się, że Pat mu ucieknie, więc sponsoruje jej bilety autobusowe i rozrywki (chcesz jeszcze jedną kawę?). W zamian za swoją dobroć ma (oczywiście) żądania. Przyjeźdź do mnie, zostań u mnie, mówię do ciebie, to jest wiesz związek, słuchaj mnie! I weź mnie za rękę, dlaczego nigdy mnie nie bierzesz za rękę! Pat (potrząsa nią), kurwa mać, patrz na mnie! Karol daje więc Pat ramię i swój męski (dostał na gwiazdkę) zapach oraz głaszcze jej włosy, a Pat ma gęsią skórkę. Oprócz odruchów Karol tępi również zapach Pat. Jego męski zapach jest gorzki i silny, ma drzazgi cedru i tłumi nawet zapach wspólnego potu. Zabiera jej kontury, zagarniając ją ramieniem, a usta ma codziennie tak samo mocno

nasączone kawą. Pierwsza szminka Pat, zamiast wsiąkać w skórę Karola, wchłania tę kawę i ciemnieje, roztarta za granicą warg.

*

Miasto jest słabo umięśnione i występuje już z brzegów. Beładnie rozlewa się jego gruba skóra, bulwary, podściółka trawników, jego miękkie ścięgna, klomby i okrągłaki. Ciężko i lepko rozdymają się jego rotundy. Niezgrabnie i blade, jak wielka kurwa, puchną te tarasy pulchne i złote, koryto rzeki lśni. A Pat ma u siebie w oknie taras widokowy, wyczyszczony domestosem i skórą, biały jak kość. Natomiast ludzie z samochodu rozkołysali się na gałęziach wokół Mieszkania i wyciągają do Pat swoje kamery i mikrofony. Miasto wygląda zza ich głów i mimo że przejęło już bogactwo Pat + VAT, wciąż mu się opłaca brać dalej, a ilość drobinek, które mrowią się w Mieście, i tak już od dawna nie mieści się w cyfrach i arkuszach. Jest to mnogość ponad miarę, której Miasto nie zna, zresztą wcale a wcale nie musi. Więc rośnie i rośnie, czego się można po nim spodziewać. W uszach Pat pękają już bębenki od naporu Miasta. Słyszy też głosy lęgnące się w że kąty pokojów wybrzuszą się — rozpiera je ciekawość. Choć Pat ma też podejrzenie, że to Mikołaj demoluje Mieszkanie, domagając się zainteresowania (typowe). Mimo że ostatnio nie bywał specjalnie żywy. Pat sprząta więc wokół pamięci tak, jakby oprawiała ją w szkło, żeby o niej zapomnieć: jeszcze czego. Żeby ją schować w antyramie, zapiąć klipsami i potraktować jako przeszłość lub reprodukcję, którą nawet mogłaby celebrować (ale ona rośnie). Pamięć jednak posiada oczy i cielsko, które pęcznieje, codziennie przerasta samą siebie. W Mieście za to rozlega się echo wstydu Pat i wciąż dalej (rośnie). Wszyscy wiedzą! Pamięć wciąż robi swoje, Pat nic nie poradzi. Pamięć więc: patrzy nieustannie i raczej z góry lub przynajmniej ma taki wyraz twarzy, co państwa bawi. Pat natomiast: na kolana!

I sprząta dookoła pamięci, udając, że jej nie widzi. Za dużo tego dobrego, doprawdy, mają państwo dosyć. Skoro tak, niech państwo tylko jeszcze popatrzą w tę stronę i będą mogli państwo przerzucić kartkę. Oto czyściutki Pokój Pierwszy, w którym aktualnie leży wielka, tłusta, naga pamięć, brzydka i lśniąca. Pat na kolanach szoruje podłogę i piany tu w bród. Pod ścianą tymczasem stos śmieci sięgający prawie pod sufit, no i: pełno much. Estetycznemu Mikołajowi by się to nie spodobało, państwo w to nie wątpią. Ale on akurat nie może tego zobaczyć z państwa perspektywy.

*

Przechylcie, szanowni państwo, główki i spójrzcie na Pat: całkiem ładna i pokieraszowana. Porobiło się tak z Pat, może nie od razu, ale mniej więcej od czasu, kiedy taka fresh (jak mówił Pablo) i śliczna dała z siebie zrobić lalkę do wsadzania palców. Próżnia ta piszczy, przesuniecie państwo mokrym palcem po brzegu kieliszka. Niestety, klujące się szaleństwo w Pat i tym podobne sprawy akurat się nie nadają na odcinek dla państwa, ponieważ dzieje się to w środku, a tam słabo widać, właściwie to nie ma nic do oglądania. Można za to obserwować objawy, zawsze to jakieś urozmaicenie. Zwłaszcza jeżeli samemu ma się wszystkie zęby zdrowe. Karol dobrze udaje, że nic a nic go nie porusza w jego twardym ciele. Nie boję się, w ogóle, czego tu się bać, dobrze się bawię, Pat, co taka spięta, maleńka, no, kładź się. Zarzuca jednak na Pat lasso skręcone z nici strachu, które naprężają się w Karolu po cichu. Schwytaną Pat okręca następnie na palcu jak rewolwer lub kluczyki od auta. Karol opowiada Pat o przeszłości i to go wzrusza. W domu Karola były więc według niego: chleb, pierogi, kompot i krochmalona pościel. Wszystko to pachniało naraz i stwarzało dzieciństwo, aż chciałoby się wrócić (lecz po chwili nie). Karol miał osiem lat, rower i uczył się słów

polских, angielskich i francuskich, aby w przyszłości na wiele sposobów opowiadać o swojej przeszłości. Już wtedy ćwiczył odmianę czasowników i do tej pory jest w tym dobry. Jego mama spędza szare życie w ogrodzie i w kuchni lub poza domem, lecz wtedy wygląda całkiem inaczej i jak kolorowa bibuła. Karol pamięta popołudnie, w którym doszukuje się wszelkich przykrości. Jest więc takie popołudnie w pamięci Karola, kiedy Karol idzie w podartych trampkach za mamą, która jest szybsza. Następnie ona patrzy na niego z wysoka, w otoczeniu wysokich półek z butami. Karol przymierza nowe tenisówki, takie, jakie chciał, tylko już się nie drzyj, a mama kieruje otwartą, rozczapierzoną dłoń na głowę Karola i klepie kilkakrotnie, aż łupie, no, pokaż mi natychmiast, gdzie masz palec, mówię do ciebie, gdzie masz palec? No i ma na tej dłoni pierścionki. Kiedy Karol mówi, Karol mówi, proszę państwa: on mówi. Mówi więc do Pat (nisko): jesteś pierwszą dziewczyną, której pozwoliłem dotknąć mojego łóżka. Pat natomiast musi podziękować mu za te słowa. Po pierwsze: uwagą i wdzięcznością. Po drugie: słowami, których Karol oczekuje. Kiedy zadaję ci pytanie, to się odpowiada, Pat, o czym myślisz? Powiedz mi. Bo byłby Karol zraniony, gdyby Pat nie doceniała jego szczerości, szorstkości, herbaty z cytryną. Pat postanawia raz złamać kodeks, więc nie odpowiada i w ogóle patrzy gdzie indziej. Całe szczęście są w parku i siedzą. Karol jest zaniepokojony. Zamiast mówić, wstaje z ławki, żeby kopnąć w nią raz i z całej siły, a potem już rytmicznie w deskę obok Pat. Obok Pat, która wstaje, no ładnie. Ławka chwieje się, lecz trwają: dyskusja i dezorientacja Karola. Pizdo, chcesz wszystko zniszczyć?! Zadyszka zwilża mu usta, więc wyciera je rękawem tak, jak nauczyli go aktorzy, dopóki Pat nie mówi: przestań. Następnie Pat zabiera torebkę i odchodzi szybko, ale kołysząc biodrami (żeby sobie popatrzeć), w związku z tym Karol wykopuje kosz

na śmieci hen na trawnik, a ludzie się gapią. Pierwszy punkt zwrotny osiągnął właściwą temperaturę, więc aby ją utrzymać, Karol przewraca również ławkę. Krzyczy do ludzi: spierdalać, i rusza do biegu, start! Zdziwiony jest jednak faktem, że nie słyszy żadnej rytmicznej muzyki. W swoich drogich letnich butach, o które dba, pocierając zwilżoną ściereczką (niczym innym, aby nie zranić), biegnie za Pat, ale jej już nie ma. Ponieważ rola Pat zakłada ucieczkę i oczekiwanie w milczeniu, aż Karol odnajdzie ją w którymś z autobusów/sklepów Miasta lub w szybie kawiarni, do której i tak za chwilę mieli iść, aby rozłożyć śliczne ciała w blasku szklanek (trzymając się za ręce). Pat spełnia tę mapę zachowań, więc pół godziny później mogą już cieszyć się, że znają wzory narracyjne (wzorowi uczniowie) i umieją je stosować w zadaniach.

*

Pat nie jest jednak jedyną zabawką Miasta, państwo wybaczą. Miasto z ilością swoich cacek sobie przecież nie radzi, aż nie może oddychać, a ludzie też by przecież chcieli pełną piersią. Co mu tam jakaś Pat. Miasto zabija więc mieszkańców, czasami, lecz najwyżej kilkoro. Napuszcza ich na siebie, żeby już nie oddychali więcej i zostawili trochę świeżego powietrza. No i przy okazji Miasto ma ubaw. Małe szczęścia. W końcu to Miasto jest tym większym zawodnikiem i zwykle łaskawym dla ludzi: a może nie? Więc gdyby Miasto rzeczywiście i nieustannie pamiętało o Pat, powiedziałoby najwyżej, że poprzewracało jej się w dupie, może strąciłoby Pat z okna, choć niekoniecznie. Aktualnie Miasto jest zajęte swoim rozrodem i szarą krwią, którą rozlewa, żeby wypić od nowa. Co mu tam jakaś Pat, skoro np. chodniki wciąż pękają i spijają, co spadnie. A Miasto spieszy się, spieszy, wszędzie go pełno, ma wiele planów, wciąż zbierają się nad nim chmury. Pat realizuje punkty, które ma spisane na kartce. Następnie skreśla jeden po drugim, wypełniając obowiązki z

piąstką przy piersi. Moja wina — jak bardzo jej siebie żal. Tymczasem czyści paznokciem umoczone w wybielaczu zakamarki, tam, gdzie nie sięga szczotka do kibla. Żeby sobie jednak nie przypominać. Pamięć zaś sika obok i robi to na stojąco, a jej piersi, widać to z dołu, są pięknie zaokrąglone. Tych wszystkich spojrzeń nie wolno liczyć, ponieważ taki rachunek kończy się szaleństwem: nie ma za co dziękować. Pat zaś kurczy się i rozpada, bladziutka. Niszczy też swój głos i nawet zapiekły się jej nieużywane wargi. W środku tej muszli miękkie mięso, zęby i perła: krzyk jest cenny i rośnie pilnie strzeżony. Tymczasem coraz więcej pęcherzy na ciele Pat: a jakże! Pat przekłuwana te pęcherze (igłą odkażoną wrzątkiem) i czyści, czyści Mieszkanie. Wdycha opary z wyżeranych chemią rur (żeby woda czysto spływała). Co za ubaw, niejednen z Panów właśnie uderza dłonią o udo: no proszę! A Panie roześmiane zasłaniają usta: nie wiadomo, czy im coś nie weszło w zęby, kiedy smakowały bogactwa. Wiele Pań jeszcze nie wstawiło świeżej piątki, i to też może być przyczyna nieustannego zasłaniania uśmiechu, na niczym się ich nie złapie. Tymczasem dziury są również u Pat, lecz w dłoniach, gdyż zęby ma wciąż na miejscu. Pat pełna marzeń robi więc z siebie cyrk, tymczasem mieszkańcy Miasta patrzą, patrzą, patrzą, chcą patrzeć (się najeść). Chcą palcami podbierać wyciekłe i krystaliczne obrazy, przedstawiające Pat w różnych okolicznościach, nawet jeżeli zostaną plamy na spodniach. Więc Pat wciela się w rolę np. Szarej Dziewczyny. Szara chodzi w dresach bawełnianych (szarych), (różowej) podkoszulce obcisłej i z (białą) opaską na włosach. Pat jest blondynką o stalowych oczach, chociaż powinna mieć w tej chwili niebieskie i nieprzytomne oczy dziecka. I zamawia tortillę, pije piwo z butelki, ma maseczkę na twarzy i ogląda dramaty miłosne, zgłaszając smutne piosenki. Choć to wszystko udawane i ze śmietnika. Pilota trzyma w ręce niedbale opartej

o kolano, wzrusza się i je lody prosto z kubelka, bo jest nieszczęśliwa, ale taka, ta Szara, przy okazji, taka piękna. Pokazowo niechlujna, chociaż majtki założyła najdroższe. Dba też, żeby kucyk niedbale przewiązany (szarą) gumką nie opadł. W razie czego jej sfilmowana postać może zostać wklejona do innego serialu. Obca opowieść weźmie wtedy Szarą w swoje palce i pozwoli jej dusić się w dłoniach piszących dużo lepsze historie, niż Pat potrafiłaby wymyślić w planach swoich dni. I Pat się ukryje w tej Szarej: w sam raz. Można też zostać przemiłą Opaloną Dziewczyną, która np. lubi sport i kremy soft. Lubi też ona odżywiać ciało i się perfumować, nosi miękkie swetry i skórzane, piękne buty, a jej okulary przeciwsłoneczne z pewnością mają filtr wyższy niż tani. Karmi więc skórę ta Opalona u koleżanek kosmetyczek, śpi dziewięć godzin na dobę, ćwiczy przez sześćdziesiąt minut dziennie tenisa lub popływa, lub sobie pojedzie na snowboard. Miksuje koktajle ze świeżo obdartych ze skóry warzyw oraz owoców i pije, ponieważ tak zaleca się na życie do śmierci. Lecz czasem spoko: zje na imprezie z innymi, słonecznymi znajomymi, pizzę lub kiełbachę, gdyż są na grillu. Bawią się pysznie w ogrodzie przy domu o białych ścianach sięgających do nieba, a dach jest czarny i lśni, siadamy na plastikowym krześle. Dziewczyna ta jest przemiła przez cały czas, nawet kiedy nakłada na twarz plasterki ogórka. Włosy opina pasem frotté i staje się na chwilę miękkim, nakremowanym mięsem higienicznym, ponieważ jest to miłe, więc czemu miałyby w samej sobie być nieszczęśliwa. Jej włosy lśnią witaminą E, jej paznokcie wybijają się ponad palce, z Opalonymi Rodzicami jedzie do Malezji, gdzie wypoczywają i są rodziną. Paznokcie to osobna sprawa: są świeżo spiłowane, jeszcze pachną zdartą kością, palce lizać. Musi być piękna na wszelki wypadek, chociaż i tak urodzi niedługo dziecko, które ją zmęczy jak nikt w życiu, i nigdy więcej. Dziecko to albo będzie piękne i

również Opalone, albo będzie miało np. wadę rozwojową, i jeżeli tak, to śmiertelną, męczącą, bez nadziei. Ależ nam przykro. Pojawienie się tragedii zależy bowiem od tego, jak długo panuje w Opalonej Rodzinie dobra passa. Im dłużej trwają bez zakłóceń, tym prawdopodobieństwo tragedii jest większe, ponieważ nic tak państwa nie cieszy jak wypadki losowe. Zadba się więc o to, aby spokój Opalonej Rodziny eksplodował, i zrobię to kiedyś Ja. Tymczasem mam inne sprawy na głowie, np. Pat. Ja Zastrzegam jednak, że jeżeli Opalona Rodzina w państwa myślach i obserwacjach nie istnieje, nie będę w stanie wysadzić jej w powietrze. Lecz znam takich rodzin kilka, a więc szanse są spore, że jednak i państwo się na nich poznali. Też przecież, proszę państwa, lubię fajerwerki: czemu nie. I drżenie w nocy w tłumie i od wystrzałów, kiedy wybuchają. Jednak: dość już o mnie. Oto zmrużone oczy Karola i Pat naprzeciwko wschodu/zachodu słońca, a pod nosami rosną im balony z gumy do żucia. Ich wyciągnięte do promieni stopy, uśmiechy w okularach, odbite i wykrzywione, wszystko przed nimi. Piasek gilgocze w butach, a także prezentują wszystkie inne zachowania słodkich osób, np.: dotyk. Wyglądają jak plażowicze, co za para! Uff! Pat wprawdzie próbuje rozganiać wzbijające się wokół nich mydliny, lecz co ona może tą małą dłonią, a nawet jeżeliby się jej udało, i tak pozostaje tzw. miłość. Bogactwa tyle, że nie mieszczą go w sobie. A więc pokazują się, co następuje m. in. poprzez: wspólne spędzanie i przynależne do tego obiekty oraz publiczność.

Stanowią z wierzchu jedno ciało, ekskluzywne, pierwszy model koncernu I LOVE YOU, sygnowany ich mocnymi włosami i zgodnym śmiechem o fakturze wybuchu. Ponieważ są marką, im dłużej działają na rynku, tym dłużej ich kupują, więcej i drożej, akurat tak, ale traf. A oni zgarniają bogactwo odsetek i nie wiedzą, co z nimi robić. Dochody

płacone są im w podziwieniu. „Tak ze sobą ślicznie wyglądacie, zazdroszczę wam”. To jest przyczyną ich dumy i doprawdy, co jeszcze powstrzymuje ich przed podaniem sobie dłoni, w sensie: gratulacje. Karol czasami udaje, że traci wzrok i o tym mówi, a więc również żąda, a Pat powinna być i jest ciepłą mamusią. Mój jedyny ratunek to miłość do ciebie, kupię ci białego psa, chcesz, kochanie? Mam alergię na psy, odpowiada Pat, patrząc przez okno na odjeżdżające autobusy. W tym czasie Karol wierzy w: ich jasny dom i bogatą przyszłość, bawi się ciężką zapalniczką lub telefonem i bardzo słabo widzi. W pokoju obok (ponieważ Karol ma dwa pokoje, a nawet swoje piętro) rozbrzmiewa superekstra komputer, czarny, błyszczący, śliski oraz pełen cali. Karol dotyka go, stosując różnorodne i wyrefinowane kombinacje (dodatkowo: tu nie wolno jeść!). Pat może się tylko domyślać, lecz lepiej nie, że dla Matki Złotej Karol kąpie się przy otwartych drzwiach, a jego „wszystkie dziwki” w dumnych historiach powstają z rozdarcia Złotej na „te lateksowe szmaty” (których nigdy nie kochałem, a ciebie kocham, Pat). Matka Złota zostawia na plecach Karola wielkie ślady ust (owalne) i paznokci (podłużne). Pat jednak nie pyta, czy go boli. Pat w ogóle o nic nie pyta, więc Karol opowiada „swojej ślicznej” dziewczynie o problemach z kasą na nowe spodnie i krąży łakomie wokół tematu szlafroków swojej matki, jej pomarańczowych szminek, wreszcie: ramion matki, piegowatych, i ja mam to po niej, patrz, Pat. A następnie Karol zdejmuje koszulkę, tak sobie zdejmuje i nie nakłada z powrotem, bo Karolowi zawsze jest za gorąco, natomiast pod tą koszulką pełno pokrzyw. Pat wyczuwa w Karolu kłamstwo, ale demaskowanie nie byłoby przyjemne, tak jak wetknięcie sztywnych palców w usta chłopca. Pat siedzi więc w pokoju Karola i obserwuje go, a on mówi. Pat ma ciepłe skarpetki na lśniących nogach, więc Karol mógłby mieć przynajmniej dobry humor. Ale jest zbyt

czysty i przewrażliwiony jak na swoją opowieść o dziwkach z hiszpańskich dyskotek: jesteś zazdrosna? Następnie: rozkleja się spektakularnie, ponieważ rodzice mają długi, mama na psychotropach, ale go kochają (państwo oddychają z ulgą). Pat wywraca oczami, Karol jednak jest smutnawy. Tata Złoty haruje, bo Mama Złota się wkopała z funduszami argentyńskimi. Szef przytulił kilkadziesiąt tysięcy, a ją zastraszają oszukani klienci. Karol nie ma co prawda kataru, lecz oczy jego są zaczerwienione. Pat sznuruje w końcu trampki i zamiast się odezwać, wychodzi z pokoju Karola. Jak już państwo wiedzą, Pat dobrze wygląda obok Karola i nawzajem. Mimo wszystko: ubrania się niszczą, choć Karol lubi Hollywood i nie wierzy w całkowite zniszczenie. O jego słabościach nie świadczy przecież fakt, że kupił Pat złoty łańcuszek, który następnie zakłada jej w restauracji, przy słabym oświetleniu (i dlatego tyle to trwa). Karol wyraża również podczas tej czynności marzenie: kiedyś ci kupię z białego złota i wszystko. Pat napina mięśnie szyi. Jak widać, od zestawu, który Pat i Karol tworzą, nie należy spodziewać się czegoś więcej niż wątlých szwów (lecz jeżeli się szanuje, to owszem, nawet dwa sezony można pochodzić).

*

Tymczasem ludzie z samochodu siedzą Pat na karku, zagląдают przez szyby, nadgryzają Pat i sączą na nią światło z tych wszystkich lamp. Z wnętrzości przecież wróżono, a Pat była szabrowana: w sam raz. Pozostał jej jedynie język w ustach, jako taki. Ciąg dalszy nastąpi. A dookoła Pat porządek zakłócony tylko jednym dniem wakacji od listy obowiązków. A dookoła niej porządek zakłócony tylko jednym dniem wakacji, o którym przecież zapomni bardzo szybko, tak się stara. To nic wielkiego, że się dała rozebrać w Stali, jeszcze jej skórę rozerwie jakieś dziecko i to dopiero będzie, rozciągnie jak słabą bawełnę. A poza tym

strupy już zeszyły i zarosło, co też ta Pat wyprawia? W podróż do śmietników Pat ubiera się pięknie, jak zwykle, a jest tam błoto. Elegancko stawia stopy na stopniach, krocząc przez klatkę (schodową). Niesie sześćdziesięciolitrowy wór wypełniony niepotrzebnymi rzeczami, do śmieci. Przyniesie stamtąd co niemiara. Pat powraca już ze śmietników i wysypuje skórki od jabłek na podłogę, bardzo mało dziś zebrała, da się je upiec. Podczas wycieczki Pat znowu słyszała wrzaski niespokojnego Miasta, aż musiała schować się w krzakach i przeczekać pochód mieszkańców. Łaskotali oni Miasto, aż się wściekło. Mieszkańcy byli lekcy i uśmiechali się (świeciły im się oczy) oraz wysocy, młodzi i bardzo piękni, choć to może tylko nasycone kolory ich ubrań i rumiana skóra. A także to, że byli tknięci snem, a więc raczej łagodni. Kamery wciąż pracują, parują, prują za Pat, a Pat jest akurat zajęta plonami ze śmietnika. Zanurza dłonie i przesypuje skórki od jabłek, a gdzieś tam trafiają się tłusciutkie pestki. W tej sytuacji jakże jest Pat czysta, kto by pomyślał.

*

Ludzie z samochodu są tu również po to, aby pilnować doskonałej jakości obrazu i wyraźnego koloru, który jest systematycznie wyciskany z siebie, aż pryska i spływa po ciele Pat, tak jak i gęsia skórka. Ciało Pat nigdy nie było więc tak żywe jak na ekranach, niech państwo zobaczą: tylko teraz. Ludzie z samochodu łapią obrazy w sieć, od tego są, jednak nawet oni wstrzymują czasem oddech. Pat leży jak moneta na łóżku Karola, kiedy Karol zdejmuje jej majtki. Masz błonę dziewiczą w kształcie półksiężyca. Następnie chłopiec idzie umyć twarz z płaczu, Pat patrzy na jego plecy (zagojone). I kapie krew. Ta krew jednak wysycha bardzo szybko, i to by było na tyle. Leżą więc dzieciaki i zamykają oczy. Odczytują swoje ciała, ich palce są zaopatrzone w wiedzę i kompetencje,

poznali już język oraz podstawy programowania. Karol chwytając Pat za ramiona, jakby ją sadzał na krześle. Żeby się uspokoiła, na pewno nie jest za mała. Żadna nie jest, co ty! A więc leż spokojnie. Pat odwraca głowę i Karol podziwia profil, odciskający się w kocu (który Karol przecież wygładził przed przyjściem Pat). Tymczasem jednak niech się państwo nie rozpraszają byle czym, gdyż właśnie Karol wciska się kilka razy i chyba mu się udało, co pozostawia na jego twarzy wyraz zadowolenia. Wie Karol jednak, że nie może się uśmiechnąć, ponieważ Pat drżą pachwiny, i przecież jest dobrze wychowany i posiada jakąś empatię. Pat natomiast zdrętwiała i jest wobec siebie ostrożna, jakby pękło jej ścięgno. Jednak wcale nie brakuje jej powietrza, państwo nie są zaniepokojeni. Pat musi tylko rozgrzać resztę ciała na nowo (przełyka pierwszą ciepłą ślinę). W ciele odmarza spokój. A przecież Pat nie myśli teraz o takich rzeczach jak ta, że bardzo jest na razie do niczego jako dziewczyna, co Karol odnotował we wnioskach jako pierwsze. Karol jednak z godnością odsuwa wnioski na bok i stara się o nich nie myśleć, ponieważ oto został wtajemniczony w Pat i cieszy go, że z tej okazji dostał w rączki coś, za co sobie weźmie odpowiedzialność. Karol puszcza więc ramiona Pat, na których również zostawia ślady, i wychodzi z pokoju (po jakiejś chusteczki). Schodzi na dół, a jego dom spuchł ciszą, żeby lepiej słyszeć każde drgnięcie ciała Pat. Ta cisza w przepastnym domu Karola odbija się od Pat. Pat chce teraz głośno oddychać, a może nawet kołysać się na łóżku jak znane jej i państwu z opowieści/filmów sieroty. Lecz leży spokojnie i nie daje po sobie poznać. A może jej się nawet nie chce? Aktualnie Pat opadła z rąk, co państwo ze zrozumieniem, no tak. Słysząc aż ciężki oddech Karola schodzącego ze schodów, przecież się zmęczył. Pat podnosi się i (też) nie chce patrzeć. Wyciąga swoje majtki z za łóżka, brudne od kurzu: Karol sprzątnął tylko po

wierzchu. Pat nakłada majtki, patrząc na półkę z Kingiem i Sapkowskim. Czyta tytuł jednej z książek. W kółko. Nakłada i dopiero przez materiał dotyka krwi, której nie jest dużo. Dociska materiał majtek. Jest śliski i ma koronkę po bokach oraz granatowy (a więc nie będzie widać). Na palcach nic nie zostaje. Dopiero teraz Pat patrzy na krocze. Tylko trochę, jakby zabiła komara. Karol natomiast woła, czy zrobić Pat herbaty. Pat zasłania małe piersi, jasne włoski na nich stanęły dęba. Karol nigdy nie wyrzuci hantli. Turlają się spod jego łóżka i jeżeli Pat ma dosyć dobrego humoru, klęka na parkiecie, schylając się po nie, i tak nie może ich unieść. W tym czasie Karol zastanawia się, czy można ją namówić na zrobienie laski. Ale jeszcze nie teraz. Dopiero od dwóch tygodni jest świeża jak ledwo żyjąca ryba przed Bożym Narodzeniem. Pogada z nią o tym w wakacje, za niecały tydzień, wszystko zorganizował i ma ochotę zacierać ręce, jednak to byłoby już naprawdę obrzydliwe.

*

Miasto przecież oddycha, a raczej ziejże, również cebulą, a jakże. Jednak mięsem przede wszystkim, a jego kanały parują, co doskonale widać ciemną zimową nocą. Myśli Miasta są więc śmierdzące, lecz przynajmniej przetrawione, i roznoszą się wraz z wiatrem i ludźmi. Nie można złapać ich w balon, zawiązać i roztrzaskać poza granicami na zawsze, ponieważ powrócą i będą jeszcze gorsze, wszak się spocą długą drogą. Nie można ich też skierować na żadne tory: jeszcze czego, i się kłębią. Pat otwiera okno, wacha ciężki zapach Miasta, hałas nie daje za wygraną. Godzina piętnasta puszcza hamulce i spada na Miasto. Kiedy tylko Pat otwiera okno, czeka już na nią powietrze przepalone słońcem i płonąca benzyna. Można czuć się bezpiecznie, jednak ludzie z samochodu od razu wyciągają ręce i chwytają Pat za koszulkę, aż drą. Prują wszystkie szwy. Pat zamyka więc okno, zaraz zerwie zasłony, które

trzeba uprać. Ubłocone wczoraj szpilki zostawiły na podłodze ziemię i wilgoć, doskonale! Pat bezgłośnie przenosi metalowe krzesło pod okno. Staje na nim, zdejmuje zasłonkę, rzuca ją niedbale tam, gdzie nabrudziła szpilkami. Odtąd musi trzymać się z dala od okna. Schodzi z krzesła, ciało ma nagie (całkiem), więc piersi uderzają swoim ciężarem, ciężkie powieki. Dynda sznurek tamponu, nogi rozstawione, sine i ładniutkie, natomiast Pat wyciera w zasłonki mokre stopy i ze złością. Potem kopie kłęb w kierunku łazienki. Suną jak po szkle, ponieważ Pat ma nowe panele, które codziennie wyciera na kolanach. Żeby w momentach kulminacyjnych, gdy odwiedzi ją (wreszcie) Karol lub (kiedyś) Grzegorz, móc zainscenizować reklamę boskiego zapachu. W reklamie tej łopocą białe koszule i bije nuta serca, a w dodatku lśnią: kropelki, atłas, flakonik, nie za dużo tego dla państwa? Ależ skąd. Pat więc biegnie przez biel, stopy czyściutkie, aż chce się polizać, panele ma wszak czystsze niż usta, tak zawzięcie szoruje. Zachwyciliby się taką (nieskazitelną) Pat Karol i Mikołaj. Ci, którzy wolą aranżację. Obaj przecież kolekcjonują na kwadratowych regałach książki wypełnione krojami czcionek. To znaczy: Mikołaj przestał dwa miesiące temu. Pat brudzi białą zasłonkę, wycierając w nią makijaż. Dobrze widać, jak niemożliwie czerwone usta ma ta Pat. Przesuwa też policzkiem z pudru i różu po materiale, aż jest zadowolona. Plama mocna. Poprawnie schyla się (żeby kręgosłup starczył jej do późnej śmierci) i zdejmuje pantofelki. Zrzuca materiał, sika na niego. Można przyznać jej za usta nawet osiem na dziesięć, bo jednak ma dziecko ułamany ząbek, lecz za przebojowość w tej sytuacji dyszka, i Pat przechodzi do następnej rundy, choć wcale nie chce. Zasłony dokopuje do łazienki, pluje na nie. Następnie składa w kostkę i wsadza delikatnie do bębna pralki. Białe ręczniki i białą pościel też. Nastawia najwyższą temperaturę. Ubrudziła dziś wszystkie ręczniki

krwią tylko po to, żeby je uprać. Żeby mogła zobaczyć, że ją sprąta. Serce może w końcu ukryć pod językiem i ssać, chociaż ono uderza coraz głośniej, mimo szczęk. Państwo pytają: czy to na pewno jej krew? Pośpiech nie jest wskazany. Pat teraz sobie popłacze. Jednak delikatnie i w rękaw. Ale zaraz ma pomysł, że nie, że może w ogóle dać spokój i roześmiać się do gromadki znajomych, którzy wyciągną ręce i pogłaszczą Pat po kolanach, po piersiach, po plecach i po włosach. Kiedy będzie już lśniła dzięki ich dłoniom, zapomni o wszystkim. Po co płakać, no po co płakać, skoro nie ma ten płacz żadnego zastosowania ani z niego tym bardziej przyjemności? Po co płakać, wszak mogą nadejść takie godziny, że nie będzie Pat o niczym pamiętać: tylko tęcza i bańki mydlane. Bańki jak głębokie hamaki, w których można kołysać się do snu. A Pat będzie śmiać się najgłośniej, jak się da. Tak to sobie myśli Pat i przeczesuje włosy paluszkami, błoga i jak kwiatusek śliczna. No nie, państwo nie dadzą się nabrać. To nie Pat, to znów ta Opalona Dziewczyna. A więc Pat wraca do siebie, zwłaszcza że wcale nie jest ubrana w pastelowe kolory ani tym bardziej opalona. I bardzo to śmiesznie wygląda, przynajmniej na początku, kiedy uderza czołem o podłogę, ale tylko w dywanik łazienkowy. Państwo są proszeni o ciszę. Metoda Pat jest opcją najcichszą: w ścianę nie będzie przecież uderzać, żeby nie pobrudzić, w drzwi też nie, o nie, bo za dużo hałasu. Więc Pat uderza czołem o mięciutki dywanik i jest to jedyna czynność, której nie zapisuje w planie dnia. No! Wreszcie zachowuje się jak prawdziwa Pat.

*

Są wciąż w Mieście mieszkania bardzo stare, chociaż wiele z im podobnych opadło wojną w ziemię. Spalono ich tapety w kwiaty i słowiki, ponieważ to miasto sto lat temu posiadało sklepy z materiałami luksusowymi, miało kupców, lecz nie tylko. Również popiersia ich

dziadków, grubych i nie, i twarze o oczach liczące pieniądze, i kobiety w rękawiczkach. Posiadało drobne szpilki w małych sklepach i słoje pralin w wielkich cukierniach, wymalowanych bielą i różem, wyłożonych żółtymi płytkami podłogowymi. Na zewnątrz sklepów kostka drewniana, zalana asfaltem po wojnie, pięćdziesiąt lat później wyłania się plamami. Wyciągają ją na wierzch ciężarówki, które dudniąc kołami, rozdmuchują kurz, co miesza w powietrzu. Oto napar z Miasta, wywar z brudnego piasku i spalanego potu. Pat powinna robić z niego okłady, żeby odtwarzać wszystkie wspomnienia o spędzonych w Mieście godzinach. Teraz te wspomnienia są rozrzedzane przez wstyd, który trwa już dwa miesiące. I nie wypuszcza Pat dalej niż na śmietnik. W wannie spokojna mętna woda, żel pod prysznic i zgolone włosy, dziś Karol zaproponuje Pat niedaleką, lecz piękną wycieczkę, uszykował się, a Ojciec Złoty wyraził zgodę. Zawsze przed przyjściem Pat Karol bierze kąpiel i pachnie dla swojej maleńkiej Pat, a od jakiegoś czasu również zamyka się w łazience. Zdarza mu się wtedy wrzeszczeć w ręcznik, kiedy słyszy klapki Matki Złotej, snujące się w tę i z powrotem pod drzwiami łazienki. Złota nic nie mówi, tylko czeka na odpowiedni moment, żeby się wślizgnąć do Karola. Jednak odpowiedni czas z pewnością nie jest wtedy, gdy Ojciec Złoty siedzi w piwnicy nad technicznymi rysunkami rur i sprzęgła lub czegokolwiek, za co otrzymuje pieniądze na drobiazgi i jedzenie. Pat nie potrafi odgadnąć, kiedy Karol ścina włosy, ponieważ za każdym razem są tej samej długości, szorstkie i błyszczące. Policzki Karola w palcach okazują się śliskie i grube jak kredowy papier, chociaż nie powinno to niczego sugerować. Karol obejmuje Pat ramionami, zachodząc od tyłu: no i co jeszcze, pytają państwo rozbawieni. Leżą na łóżku Karola, a Matka Złota podsłuchuje ich z kuchni, jednak usłyszą, jeżeli będzie się skradać. Opowiadają sobie po seksie po lekcjach (w piątce), różne miłe wizje, m.

in. że zamieszkają w białoszklanym domu, a Karol zarobi fortunę na projektowaniu kolorów, ponieważ od zawsze lubi komputery i obrazki. Maleńka Pat nie przewiduje jeszcze, że przyszłość wydarzy jej się po kryjomu i wciąż pozostanie miejsce w jej brzegach. Karol za to wie, że będzie tak, jak mówi, chyba że Pat nie chce. Pat słyszy od niego niejedno. Że Karol ma, o, przerost mięśnia sercowego, a Pat nie wyobraża sobie, kiedy mógł to wyhodować. Karol opowiada więc barwne historie o tym, że bierze sterydy i chodzi na siłownię w garażu kolegi, Białasa, który ma dwadzieścia siedem lat, konsolę, przerwaną zawodówkę i wspomniane płomienne auto. Karol namówił również swojego ojca, Ojca Złotego (mężczyzna mężczyznę), aby wynając dla Pat i Karola drewniany domek pośród drzew. Będzie bezpiecznie, ponieważ ogrodzenie jest wysokie. Czerń z tęczęwek Ojca Złotego rozlewa się pod oczy. Ojciec Złoty śpi cztery godziny na dobę, którą ma do dyspozycji każdego, kto płaci. Bogactwo usług w jednym człowieku, żeby tylko zdążyć z zamówieniami oraz wygrzebać rodzinę Złotych z dołu pożyczek. Chociaż na tyle, aby ziemia nie wsypywała się w usta. Karol współczuje tacie, ale żąda drogich t-shirtów. Przyzwyczał się do bogactwa z dzieciństwa. Przecież to nie jego wina, że Matka Złota zastawiła każde krzesło, żeby spłacić oszukanych klientów. A Złota wciąż, niech państwo zauważą, pachnie drogimi perfumami, kiedy gotuje gołąbki, kołyszając się na obcasach pierzastych kłapek (które stukają!). Ojciec Złoty wiezie więc dzieci czterdzieści kilometrów za Miasto.

Bogactwo

Bogactwo tej opowieści wciąż przetacza się po Mieście, wysypane kruszyny i również spore kawałki. W tym czasie i krew na nie skapnie z

czyjegoś nosa i na chodnik, czemu nie. Lecz i bogactwo ma na Miasto wpływ, zgadzają się państwo? Np. zapach tego bogactwa tkwi w tych wszystkich płaczach, piwach i deszczach, które płyną przez Miasto, bulgoczą, pienią się i wreszcie parują. A potem krążą i krążą, ależ tak, wokół Pat.

I zbierają się chmury nad Miastem. Pat oszukuje przecież pamięć i wszystkich dookoła, wciela twarz w nowe role, ała. A dziś Pat zagra również wobec Karola, dla którego nadszedł czas odwiedzin. Ale to jeszcze trochę czasu, całe szczęście Pat zdąży upiec ciasto. Dziś odbędzie się bowiem całowanie z Karolem. Następnie on posadzi Pat np. na szafce i będzie rozbierał, a do jej zadań będzie należało: rozpuścić włosy, uśmiechać się (lecz nie: śmiać). Opcjonalnie: wsadzenie kciuka za pasek spodni, otwarte usta (lecz wilgotne). Przede wszystkim jednak: czekać. Pat brzydka i Pat brudna, i Pat naga, zaraz, za chwileczkę, o, już jej nie ma. Zaraz, za chwileczkę, o, już jest. Już się stała przemiłą gospodynią, zbliżenie na twarz pełną mleka i drożdży. Wspaniale ucieka między płomieniami państwa spojrzeń. Ucieka i oto wybiega do państwa jej nowa twarz, wielka, kremowa, pucółowata. Jest to twarz gospodarnej Rumianej Dziewczyny, która postanowiła upiec ciasto, laj, laj. Dziewczyna ta porzuca więc niedorzeczne, ach, jak mogła być tak głupia, porzuca imaginacje, otrzepuje się, wstaje z podłogi i rozmasowuje czoło, już dobrze. Będzie teraz piec, o, proszę, jak rękawicę bokserską szybkim ruchem nakłada grubą kuchenną osłonę. Rumiana ma spocone plecy po tym strachu, który jej przygryzł wargę w grymasie, kiedy musiała przeczekać najazd kamer na okno, wyszarpywanie bluzki i skrzypienie szyby pod palcami ludzi z samochodu. Ale to nie była ona, ona ma teraz włos pszeniczny i podbrzusze jak bułeczka, daj polizać, i tak jej wygodnie ze sobą, że nie da się tego znieść. Jeszcze nie zauważyła, że wciąż chodzi

jak szalona, przygryziona warga puchnie sobie, no, nieźle to wygląda. Z taką oto skurczoną brodą wesoło odgarnia kosmyk włosów z czoła i już zawiązuje fartuch, szklankami odmierza w kuchni swojej metalowej. Oto skórki zdarte z jabłek, oczywiście należałoby je wyrzucić, panno Rumiana! Jednak co za piękny skręt i jak długie spirale (ciążący na nich miąższ ciemnieje). Obierki skurczyły się i ściągnęły muchy (z których niejedną już Rumiana rozgniotła), lecz niech państwo nie będą tacy drobiazgowi. Czy to są właśnie jej umiejętności hobbystyczne, czy tak spędza wolny czas, szykując wypieki? Czy używa do ciasta żywego owocu, ażeby puścić sok, zapytałoby wiele gospodyń domowych. No, pokaż państwu, słoneczko, nie trzeba się wstydzić. Lecz ona na to: nie i spierdalajcie, i znika Rumiana, a na jej miejscu znowu ta brzydka, historyczna Pat, gorzki żal, bo zapowiadała się przecież taka ładna pogoda. Jednak była leciutko tylko wyprowadzona z równowagi, ta Rumiana, nie ma tu żadnej Pat, tak jej się tylko wyrwało. Rumiana podnosi więc swoje gładkie czoło bez śladu zastanowienia i wnet promyki zza firan wpadają, no, wreszcie jakaś pomyślność. I już Rumianej oko błękitne błyszczy, państwo są proszeni wymiotować do przygotowanych torebek. Tymczasem ciasto czeka na swój piec, już, moje słodkie, Rumiana się cacka, jest taka miła, to całkiem nie Pat. To w ogóle inna opowieść, to opowieść o oleju kujawskim. Rumiana tymczasem noskiem dotyka torebeczki z cukrem i znów przemyka przez jej buziulkę grymas należący do Pat. Wyczuwa, jakby ludzie z samochodu maczali palce w tym cukrze waniliowym, z pewnością. Rumiana podejrzliwie spogląda do torebeczki, jednak chwilę później otrzepuje dłonie i powraca do sympatycznych prac domowych, mąka wzbija się we włosy, chi, chi. Szał łakoci, zapach rumowy, fartuch w niebieskobiałą kratkę. Dekoruje skórkami ciasto, piecze Rumiana panna placek

owocowy i włączyła sobie radyjko, jest jej cudownie. Nie, no nie. Skorupki brzegiem ręki do śmietnika i oto, co tam widzi. Odpadki! Resztki mięsa, waciki, pióra, butle po wybielaczu. Ma już plan, klaszcze aż! Ma już plan, co zrobić z czasem, aby wykorzystać go podwójnie, kiedy ciasto wstawi do piekarnika. Pójdzie wnet wyrzucić śmieci. Jak wspaniale zagospodaruje czas, mogąc się cieszyć użytecznością sprzętów kuchennych, takich jak: pralka, kuchenka. Tyle kobieta może dzięki temu zrobić, nic nie robiąc, większa wydajność. Aż Rumiana podskakuje na palcach, o mało się nie wywróci. O, i rodzynki, dobre to na pracę jelit. Rumianą coś boli w twarzy, co to może być? Dotyka z zaniepokojeniem swojego podbródka, zapomniałam odstresować buzię, ona wciąż jak u chorej, natychmiast bądź przyjemna, na zdrowie. Wyciąga więc Rumiana wargę spod zębów i oto już jest piękną kobietką o perłowych paznokciach, i szykuje tu państwu ciasto, jakie aromatyczne. Rumiana oddziela żółtka od białek, miesza, uff, mąkę dosypuje i dmucha w nią, a chmura zapachu, much i pyłu brudzi jej twarz, a ona ociera brzegiem dłoni policzki i taka jest słodka. Oblizuje palec, mniem, wsypuje cukier, jakby lała wodę, i miesza. Margarynę wkraja, ciężką kostkę wrzuca i rozdrabnia nożem, stuka w stół. Ustawiając piekarnik, nuci razem z radiem, ptaków świergot rozlega się za oknem, nie wiadomo, czy to nie ludzie z samochodu, lecz brzmi wiarygodnie, co tam. Zmechacony kardigan Rumiana narzuca na ramiona, napiją się państwo kakao? Brakuje tylko kota, który wygrzewałby się w słońcu, może jeszcze małe dziecko? Dziecko, raz! W skarpetkach niech stanie w progu kuchni i niech ma pytające oczy. Niech gryzie paluszek i poliki ma umazane kremem czekoladowym, bo to psotnik i wyjadł. I jest to chłopiec, ponieważ Karol np. chciałby chłopca, a dziś przychodzi Karol. A Karol lubi Pat w przebraniu młodej mężatki, z włosami spiętymi kokardą. Rumiana opiera

dłonie na biodrach. Ciasto rośnie w formie, a Pat, spoglądając na zegar, planuje: na jak długo będzie mogła uciec stąd, robiąc makijaż i dobierając bieliznę przed przyjściem Karola, oraz czy dać mu ciasto palcami czy z ust do ust: ileż obowiązków, doprawdy. Rumiana schudła, zbladła i jest to, co widać, taka sobie Pat, której zostało kilka godzin. Słyszy, jak pralka wiruje odkażone wrzątkiem ręczniki pełne krwi i zasłony pełne szminki. Pat przygląda się opakowaniu z polewą do ciasta. Lukier najpierw: stygnie, następnie: ładnie wygląda, później: się kruszy, na koniec: jest brudem. Pat patrzy pod nogi, ciągnie wzrokiem po swoich stópkach, kolanach, udach, brzuchu i piersiach, nosie. Więc teraz jest brudem, który trzeba zebrać w garść i wyrzucić. To by było na tyle, na temat wyrobów cukierniczych.

*

Stare drewniane wieszaki, zdobione obcymi nazwiskami właścicieli sklepów i ornamentem wstążek i kapeluszy, czekają teraz, aż ktoś wyciągnie je spod politurowanych łóżek, na których poumierzały wszystkie już prababki w Mieście. I zanieś do lokalnego muzeum, gdzie pachnie kawą i lakierem do włosów, pastą do podłogi, gdzie siedzi portier przy małym telewizorze, z kanapką. A może tylko rozwiązuje krzyżówki lub stawia pasjansa na komputerze. Uśmiecha się również do zwiedzających, ponieważ nie zna ich języka. A bilet kosztuje euro lub cztery złote. Przy wejściach do starych sklepów (teraz sprzedających zamki do drzwi, plastikowe wiadra, ceraty, klamerki do prania, lejki i szczotki ryżowe) widać również napisy w obcym języku. Wyglądają, jakby zapinały na sobie brunatny płaszcz, schowane w pęknięciach tynku, obserwują szaleństwa plakatów, zmywanych deszczem i poranną wilgocią. Płachty papierów ciężko uderzają na wietrze, a ich kolory namakają powoli i rozstępują się. Te strzępy, wciąż rozkrzyżowane na

bilbordach, są nocą podświetlane, dopóki ktoś nie przypomni sobie, żeby je zedrzyć. Do tego czasu oświetla się je, a one nie rzucają nawet cienia. Niebo wchłania poświatę reflektorów. Podobnie zresztą jak hałas, zapach i wszystkie inne sprawy Miasta, nad którym niebo wisi z litości, osłaniając je przed czernią. Niebo zamyka w swoim sklepieniu pianę Miasta i wycisza jego szal. A Miasto nie zdaje sobie sprawy, że są od niego czarniejsze dziury, czyhające tuż za niebem. Zresztą państwa również bardziej obchodzi prognoza pogody. I nawet jeżeli Miasto może być z domu rosyjskie albo niemieckie, dwa miesiące temu na Pat osiadły drażniące, ciężkie zapachy, które nie należą do nikogo znajomego i z Miastem też niewiele je łączy. Ale być może coś je łączy z Pablem. Pogoda okazuje się piękna, a droga jest gładka. Dookoła niej wzbija się puch łąk, auto śmiga po gorącym asfalcie, a słońce gna wraz z samochodem i błyszczy w karoserii. W środku panuje milczenie lub trzyzdaniowe dialogi, ktoś zawsze odchodzi bez odpowiedzi i raczej nie ma dokąd. Zaczyna się las. Ojciec Żłoty jest bardzo sprawny w kierowaniu pojazdem i gładko bierze drogę pod sobą. Karol kibicuje mu podczas wyprzedzania. Lepiej, że zajmują się zdobywaniem, myśli Pat, niż mieliby oglądać mnie i okolicę. Lecz Karol i jego tata i tak uważają, że co ona jeszcze może mieć do ukrycia, ta urocza Pat? I rzeczywiście, nie ma więcej nic tajemniczego, gdyż mężczyźni na bieżąco wymieniają wiedzę i doświadczenia, od tego one są. Pat wie, że Karol powiedział Ojcu Żłotemu, jaką bieliznę nosi Pat, a tym samym: co też zabiera na wakacje z jego synem. Ponieważ Karol uwielbia oraz podziwia Ojca Żłotego, często z nim rozmawia i o wszystkim. A gdyby tylko miał więcej czasu, może i zapłakałby nad losem tego (państwo oglądają właśnie w planie wielkim starą, szorstką twarz) zaharowanego mężczyzny. Mężczyźni Żłoci, syci tym zadowoleniem, patrzą przed siebie, znają okolicę, nie ma się czego bać, są tu prawie jak

na swoim. A pamiętasz, synek, jak żeśmy tu jeździli na ryby? Pat wygląda, jakby z okazji tych wakacji miała się zaraz zrzygać przez okno.

*

Fanaberie, doprawdy, to po co jedzie, jak jej się tak nie podoba, krzyczą państwo, i są poruszeni, a nawet wstają z miejsc, lecz nigdzie stąd państwo nie pójdą. Pat odkręca kran w kuchni i skupia się na zmywaniu naczyń lepkich od ciasta. Kolejność jednak uspokaja. Różaniec obowiązków domowych (boi się przerwać). Szoruje też nieużywaną patelnię, aż w gąbce robią się otwory. Słychać dygotanie pieca z łazienki, są tu wysokie sufity, babcia poszła do nieba pajęczyn. Unosi się pewnie teraz kilkanaście centymetrów pod sufitem i rozkłada swoje kruche ramiona. Odruchowo napina stopy na palcach, żeby dosięgnąć buzi Pat, moja wnusia. Kiedy całowała Pat w policzek na powitanie, Pat i tak musiała się schylać. Pat zakręca kran, a piana osiada i pęka cichutko. Pat ma w piersiach ciężką wodę i wciąż szoruje te naczynia, zmywa, och, zmywa sobie dziewczyna, czego od niej państwo chcą? A szkło pęka, Pat rozgniała je palcem w drobinki. Trzaska wesoło, lecą czerwone iskry, a czy pamiętasz Pat, co miałaś dwa miesiące temu na plecach, pokazać ci? Jeszcze nie teraz, ale zaraz. Czas na reklamy: czy państwa proszek poradzi sobie z takimi dziurami? Moczy ręce. Są mokre. Wypłukuje pianę z naczyń. Wyciera ręce. Są suche. Pat zaczyna płakać, a pamięć w śmiech. Fale tego śmiechu uderzają o brzegi kuchni. Ludzie z samochodu wkładają palce w mury domu i drażąc, wypychają śrubki ze ścian, spoiwo pomiędzy cegieł, no oczywiście. A Pat wciąż płacze, oto dla państwa Pat gra rolę Malutkiej Smutnej, którą wykorzystał okropnie zły i starszy pan. Tak wyszło. Wsadza dłonie pod strumień parującej wody z kranu, ale nie schodzi, choć trze. Rozwiera się skóra i trochę plami, lecz zaraz ścieka i ani śladu. Za chwilę uda się panna Malutka do łazienki, aby pędzelkami i

gąbeczką i cóż jeszcze: grzebykiem, nałożyć makijaż. Zakręcić włosy lokówką nie zaszkodzi. Będzie miała problem z zapięciem suwaka w sukience i wpijającymi się w udo gumkami w pończochach. Dziękuję za uwagę, dziękuję, że mogę zająć się wyglądem, zamiast np. pamięcią i rachunkami. W urodzie zawsze można coś poprawić, nieustająca wycieczka w przepaść. W ten sposób zapomni bohaterka o pannie Malutkiej. Zamiast niej dla państwa ukłoni się Pat. Znowu we własnej osobie.

*

Tymczasem ciało to (przecież) aż za dużo, a jednak dźwigają je państwo w najlepsze, obchodząc na okrągło kolejne urodziny. Zdarza się również, że wyliczane są z ich dat wydarzenia typu przyszłość. To znaczy: przyszłość, oprócz starości, której lepiej nie być takim pewnym, wyłącznie dla świętego spokoju. Należy się nią martwić, gdy przyjdzie czas, tymczasem on jeszcze nie nadszedł. Wszystkich państwa interesuje bardziej miłość i takie tam: uczucia. Znowu one! Lecz również zdrowie i finanse: no dobrze. Pat jest całkowicie zdana na Karola, być może za dziesięć lat mogłaby wybuchnąć śmiechem, lecz teraz raczej się boi. Karol oto złożył ją jak zabawkę w częściach, według instrukcji, i korzysta jak umie. Główkę ma Pat zgodliwą i owalną, podobnie jak ciało, oraz myśli sobie wiele, że np. należy sporo przejść w uśmiechu i rozkroku, aby następnie móc korzystać z bogactwa doświadczeń i uwolnić się. Niczego już się nie powinnam obawiać, jeżeli przeczołgam się przez etapy: cierpliwości, komentarzy, ruchów, gestów, min i sugestii, a tych jest pod dostatkiem. Karol cieszy Ojca Złotego, a Pat jest przecież dopiero drugą, skoro tak, to czemu nie? Ojciec Złoty uśmiecha się do Pat, ponieważ syn uścisnął mu rękę. Ojciec Złoty mógłby jeszcze o Pat powiedzieć, co następuje (gdyby w ogóle został zapytany): a, ta Pat, no, to taka miła

blondyneczka. Zgnieciony nad ranem sen rozdyma się teraz w zapuchniętych powiekach Ojca Złotego, a pan Złoty, dodać można, zrealizował już jedno zamówienie zanim państwo zjedli śniadanie. Sen ma teraz dużo miejsca, Ojciec Złoty tłumi ziewanie. Pat podróżuje natomiast wypoczęta i młodziutka na wakacje ze swoim chłopcem i nie odzywa się. Wie, że tylko od Karola nie będzie czuć potu, kiedy dojadą wreszcie do Mleczna. A jej pocą się nawet piersi. Wczoraj wieczorem wszystko zgoła. W domku śmierdzi stęchlą wodą, powietrze jest rzadkie, rozmrożone po zimie. Pat otwiera lodówkę turystyczną, tłumi jej tłusty zapach arbuzem, serkami topionymi, cytrynami, kukurydzą w kolbach i pomidorami: gną się półki. Safari koc, wersalka, cerata oraz — proszę: o! (ojcu strzyka w plecach) telewizor (Ojciec Złoty poklepuje telewizor jak psa), niestety odbierają tylko jedynekę i dwójkę, ale przecież macie co robić. Ojciec Złoty chciałby puścić oko, ale się powstrzymuje. Poza tym pięknie tu. No, jezioro, pomost, las przecież, więc co myślicie, podoba się? Ojciec Złoty nawet się do Pat nie odwraca. Pat uśmiecha się pod kolor swojej sukienki, różowobiałoczarnej. Skoro Pat nie płaci i ma tylko dokładać się do jedzenia, to jest tu przepięknie i domek jest jak z bajki, proszę pana, i Pat patrzy przemiło w oczy Ojca Złotego, a Karol myje ręce, bo przecież będzie jej pomagał siekać i szykować obiady. Oczywiście chciałby też w kuchni posadzić ją na stole: trzeba wykorzystać okazję, żeby mieli co wspominać. Po jedzeniu trzeba iść asfaltową drogą pół godziny. W tamtych sklepach Karol jednak nie będzie kupował prezerwatyw, ponieważ ma zapas na udane dziesięć dni oraz na wszelki wypadek. Dwadzieścia jeden. Ojciec Złoty jest dumny (że ma tak mądre dziecko), kiedy Karol opowiada mu o tym przy furtce. Prostuje też plecy i unosi wyżej brodę. Za chwilę słyszą z ogródka głos Pat (ci mężczyźni znają się od piętnastu lat) i o mało nie wybuchają

śmiechem. Zachowują jednak milczenie i sumienie. Ojciec Złoty klepie Syna Złotego po plecach (co widzi Pat) i odjeżdża. Oto przed nią mężczyźni Złoci, obaj spod silnej dłoni Matki Złotej zostawiającej gdzieś ślady paznokciami. Pat wychodzi właśnie z domku uśmiechnięta i po skronie zatopiona w strachu przed Karolem. Dziękuję panu i panu do widzenia, być może nawet mruga jej nerwowo powieka, ale kto by to brał na poważnie w takim słońcu.

*

Pod wieczór w piątek z Miasta wysypują się ludzie i samochody. Ich gorące ruchy, szemranie, ich zapaszki przebijają powietrze tak jak światełka mieszkań i reflektory, które są białe, czerwone, zielone, żółte, a wyjątkowo nawet srebrne. Wszystko to, co magazynuje się w Mieście podczas pięciu dni intensywnego dreptania w miejscu, wylewa się właśnie teraz. Mieszkańcy biorą oddech i są doprawdy wykończeni. Ciężki i mięsisty kawał Miasta rozwarstwia się, krew w nim blednie, a ludzie, nie zważając na to, histerycznie pchają się na wolność i świeże powietrze. Są one następnie zachłannie pożerane i wypijane do dna, tak że ludzie nie mogą się potem ruszyć. Nic dziwnego, w końcu wolność i powietrze są w zestawie, z którego nic się nie może zmarnować — tego nauczyły mieszkańców ubiegłe lata i oszczędne matki. Kiedy mieszkańcy przetrawią już obżarstwo, zapadają w sen, i jest on dla nich twardy. W tym czasie Miasto wywiesza flagi poniedziałku, a kiedy tylko zaświta, śmieje się, wstawaj, szkoda czasu, aksamitnym głosem i trzymając za brzuch. Ludzie są więc znów wściekli, lecz także skłonni do wszystkiego, a wręcz uwierzyliby, że wszystko będzie dobrze. Tymczasem ludzie z samochodu rozkręcili się na dobre. Chwytają głos Pat i bezczelnie się skradają. Myślą, że Pat nic nie wie. Co to, to nie. Zaraz tu przyjdą, lecz Pat jest przygotowana. Ucieka, ucieka, no i gdzie niby pobiegnie? Do pokoju?

A może zamknie się w łazience. To już doprawdy przesada. Pat zamyka drzwi ekipie przed nosami i trzyma z całych sił. Zostali w kuchni. Lecz pamięć im pomaga i razem z nimi szarpie klamkę, napiera na drzwi. Pat puszcza w końcu, słabiutka, i odchodzi w korytarz Mieszkania. Pamięć tymczasem znów sunie za nią z lodowatą cierpliwością i obiektywem, kto by pomyślał, że ma tyle siły w rękach: stój, bo strzelam! Pat jednak chciałaby się ukryć, schronić, przytulić: ojej. Kładzie się więc w Pokoju Pierwszym, tuż obok Mikołaja, odgarniając uskładane rzeczy na bok. Mój kochany, i głaszcz go po włoskach. Tu się nie dostaną, nie znajdą nas tu. Nie znajdą nas tu, i Pat wtula głowę w Mikołaja ramię, odpoczywają sobie. Ludzie z samochodu nie wywleką jej stąd, nie pociągną za włosy po schodach, bum, bum, ależ to by dało efekty dźwiękowe. Echo poniosłoby się po klatce schodowej, jeszcze czego! Po mojej śmierci co najwyżej, wygraża piąstką Pat, zaszyta w kopcu obok Mikołaja. Zresztą Mikołaj nie stawia oporu. Żeby jej głowa uderzała o kamienne stopnie, chciałoby się. A następnie: o chodnik, krawężnik, asfalt i jeszcze tłum ludzi, żeby się przypatrywał, bum, bum, bo co dzieje się na żywo, lepiej widzieć na żywo niż po wszystkim, nie ma to jak zapach. Krew pojawiłaby się najpierw z tyłu, kap, plamki, kap, plamy, włosy, skóra, o! Pat na to jednak nie pozwoli! A widownia, ciekawska i żadna, zaczęłaby, na przemian, okładać Pat pustymi szklanymi butelkami i np. zawodzeniem. Ależ przestańcie, ależ tak, ależ nie, wypierdalaj, zabaw nas, itp. Wcisnęliby jej kapsle w ciało, a potem posmarowali maścią rozgrzewającą, co jeszcze, masz, kochaniutka, bandaż, masz za swoje. Lecz właśnie na to nie pozwoli Pat. Leży sobie więc teraz Pat w ciemnym pokoju, obok Mikołaja, którego stosunek do całej tej sytuacji jest cokolwiek chłodny. Pat ma zaś wszystko obmyślane: ludzie z samochodu się tu nie dostaną, choćby szarpali klamki wszystkich okien i naraz.

Kopiec tylko trochę trzeszczy. Chociaż oddech Mikołaja wciąż jak żywy, czyżby to był jego oddech, czyżby to były jednak szybkie muchy. Te muchy. Nie jest więc Pat całkiem bezpieczna w swojej fortecy. Skulona rozgląda się teraz na boki, a pamięć do niej mówi wprost, rozwierając wysuszone oczy. Jaka jesteś głupia Pat, jak po wierzchu przeżywasz, to dlatego tak sprzątasz. I Pat od razu ma się gorzej. Zaraz pęknie w tym swoim ślicznym mieszkanku, nie pomogę ci. Nieładnie, Pat, wszyscy patrzą i spodziewasz się, że powiedzą to, czego się spodziewasz, rzeczywiście: bardzo mądrze. No to powiedz, pamiętasz, że Pablo wsadził ci pięść w cipę, czy nie za bardzo pamiętasz? Pat zrywa się, zakrywa Mikołaja i ucieka, musi się ukryć, przyniosła przecież ze śmietnika coś jeszcze, musi się ukryć. Oto z zawiniątka zrobionego ze swetra wyjmuje zużyte waciki i resztki kosmetyków. A ciasto wciąż rozpiera się w żarze i zaczyna pachnieć. Zasnęte i brudne waciki wysypują się na dłonie, bogate wzornictwo i duży wybór. Uzbierała je na śmietnikach, żeby napluć, rozmiękczyć i wetrzeć w siebie. Obłożyć się cudzą ropą i krwią ze skaleczonych pryszczycy, lecz w prezencie nieco makijażu też, czemu nie, a wręcz: bardzo dobrze. Oby tak dalej. Ze ścian wysuwają się opuszki palców, ludzie z samochodu znaleźli sposób, żeby się wdrzeć. Lecz tylko ich dłonie zdołały wykluć się spod farby i biją oklaski, na zachętę. Pokaż, pokaż nam się, a Pat tymczasem zamienia się w kolejną postać, maskując swoje usta, plamy na ciele i głębokie bruzdy. I już po chwili Pat łeb podnosi łysawy. Burczy coś pod nosem, no tak, państwo przecież widzą: to z pewnością nie jest Pat. A tu nikt inny tylko Wariatka, zdecydowanie Wariatka Żółtawa, nawet przy tym potargana. Jak tak można, wrzeszczy, nie wpuszczę, nie wyjdę, nie zniosę tego i nie dam się wam przekabacić! Dobrze sobie. I oto widzi swoje palce o zgrubiałych stawach, jednak pierścionki zapewne się zmieszczą. Oto

starucha, której krzyk jest przekonujący, aż państwo brzydzą się, no to: na zdrowie! Bogactwo moje, moje nagromadzone ilości, moje posiadłości! A głos ma duszonej kury, mięśnie na nogach struktury są rzadkiej, a żyły rozlane pod skórą i miękko tu. Żółtawa jest oto nową atrakcją, która rozwleczone pończochy za sobą ciągnie, i w dodatku na czworaka, wacha waciki, a dłonie ma czyste, zniszczone i połamane. No i co jeszcze? Wciąga w nos duszny puder z wacików i głęboko rozdziera sine usta, aż mieni się ze środka zieleń. Wrzeszczy: nie oddam! I choć przydałby jej się makijaż, nie będzie dla ludzi z samochodu przebierać się za małpę, przecież. Okręca się za to Żółtawa wokoło siebie, kołuje i potyka, niech państwo patrzają, wywraca się wreszcie i zdycha. Wygląda, drodzy państwo, jak mucha, ciężka, tłusta i na grzbiecie, nie klaszczcie mi, precz! A ludzie z samochodu powspinali się na ściany za oknami i sięgają tu wzrokiem, kamerami i mikrofonami, jakby wyciągali teleskopowe ręce, i pukają paluszkami: kto tam? A usta Żółtawej luźno są upięte na dziąsłach, zęby ledwie gdzieniegdzie i maleńkie. Język niewiele daje do zrozumienia, lecz spektakl jest poruszający, to dopiero odcinek, państwo zamarli. Staruchy usta to przecież przegniłe rusztowanie, luźna szczęka, lepiej niech państwo nie patrzają na szyję. Żółtawa schyla cielsko, a plecy ma wypukłe. Spod warstw wełny wystają jej cienkie ręce i pękate biodra, a to wszystko omotane krwiobiegiem, który prześwituje i jest chłodny. Jednak cwanie spod czoła uśmiecha się Żółtawa do obiektywów za oknami: zaraz wam zwieję, ja wam dam skurwysyny! Ten się śmieje, kto się śmieje. Po chwili jednak Żółtawa spływa pod nogi Pat ciurkiem, aż Pat zimno w mokre stopy. Ukryć się nie da, że to Pat, tylko że tym razem poszczana. Ciche kamery wiedzą swoje i wszystko mają nagrane. Pat jest przecież jeszcze całkiem młoda, ale co z tego. Ludzie z samochodu gryzą zapałki i są cierpliwi oraz zasobni w ręce i wzrok, a Pat sobie może sobie

udawać, co jej się podoba. Podnosi się Pat z podłogi, rumieńce pękają w policzkach: na zdrowie! No, nie udało się przebiec na drugą stronę tej historii.

*

A Miasto pędzi łodygami wzdłuż kanałów podziemnych. Wytryska chodnikiem na oceanach rond. Nadyma brzuch granic. Zostali więc wreszcie pod pełnym słońcem, a radość pęka w szwach, lecz nigdzie stąd się nie ruszy. Mogliby usmarować się piaskiem i kremem z filtrem, tylko trzeba umyć ręce przed jedzeniem. Karol rozbierze Pat za chwilę, czekając jednak, aż sama zdejmie mu koszulkę, chce być grzeczny i nie pozwoli jej się ubrać przez cały dzień: no ale po co? No, powiedz mi, po co, wstydzisz się tu kogoś? Karol zostawia włączony telewizor, żeby nie było słyhać (sąsiedzi wszak zrywają u siebie agrest). Pat patrzy więc na wyblakłe postacie przebijające przez śnieg na ekranie. W tym czasie Karol próbuje do skutku, ponieważ nie wierzy, że jeszcze coś może mu stać na przeszkodzie, wszystko zostało przecież wyrównane. Dlatego też Pat się nie ubiera i dyszy, a Karol jest pewny. Żyły występują na jego ramionach bez umiaru, a uśmiech to swoją drogą. Przynosi nawet pepsi z kuchni i szykuje lód. Wyjmuje go z tacki twardniejącymi od mrozu palcami, ponieważ opiekuje się Pat, a następnie oblizuje opuszki. Pat leży w mokrej pościeli, wersalka skrzypi przy każdym ruchu, strzykają kości. Krztusi Pat dym papierosa, którym się poczęstowała (tak jej ładnie Karol wysunął z pudełka, prawdziwy mężczyzna). Nie czuje się upoważniona, żeby powiedzieć Karolowi, że nadal jest za mała i zaciśnięta jak pięść. Chce uciec ze sponsorowanych wakacji, ale przecież nie pieszo, jak w ogóle mogłaby? Karol goniłby ją do przystanku, szarpnął za ramię, pociągnął w tył, a na wysypanej żwirem ścieżce, wśród innych zachwyconych sobą domków letniskowych, kopnąłby z pewnością czyjaś

furtkę. Zabrałyby Pat plecak, portfel, wszystko, ale przecież nie obraziłby się, gdyż „to do niego nie podobne”. Jak mogłaby od niego uciec? „Co ty sobie wyobrażasz, mój ojciec za to płaci! ”. A przecież w zamian Karol prosi tylko, żeby Pat zrobiła mu laskę, i to tylko co drugi dzień (i przestrzega zasad), oraz dba, żeby jej też było przyjemnie. Pat natomiast chce popłakać się jak dziewczynka i wzbudzić w nim litość albo odrazę. A jednak zdobywanie doświadczeń jest dużo bardziej męczące niż ich posiadanie, tak myśli Pat, wolałaby więcej się sama na sobie nie dowiadywać. Chociaż (co państwo już wiedzą) pamięć też wykańcza i właśnie to robi, na co państwo patrzą. Powraca bowiem kamera we wspomnienia Pat, barwne i zabawne, a na dodatek błyszczą im się uda. Pat chce zawinąć się w siebie, żeby Karol nie mógł rozpiąć się nad nią na ramionach, Karol jednak czuje się wyzwany na pojedynek: skończę to, co zacząłem. Więc Pat podnosi się na łokciach, mięśnie jej pleców krzepną, a za karkiem Karola, schylonym w nią, Pat widzi okno domku zapchane po szybę agrestem. Przy pomocy poślinionych palców Karol zabezpiecza miejsce, gdzie planuje mieć same miłe uczucia. Kiedy wysychają, pluje tam, żeby nie dotykać brudnymi dłońmi do swoich ust. Miłe uczucia zresztą otrzymuje, jeszcze by nie, kiedy w końcu udaje mu się wcisnąć, ponieważ potem to już jakoś idzie i nie ma w tym momencie państwu nic więcej do powiedzenia. Lecz do Pat miałby prośbę. Karol podchodzi do Pat w bokserkach i ma piękne ciało, zwłaszcza w lipcu, gdy się patrzy z dołu i przed obiadem. Mógłbym się w tobie jeszcze raz zakochać, jak tak siedzisz skulona w skarpetkach, maleńka, i pijesz pepsi. Proszę, wiesz, wczoraj mi nie robiłaś laski, zrób dziś, umawialiśmy się przecież, że co drugi dzień.

*

Czas w życiu nadaje się jednak tylko do gromadzenia, żeby potem

sobie go powtarzać (lecz tylko w odcinkach), powtarzać i umrzeć. Ciąg dalszy czasu następuje za to szybciej, niż państwo myślą (ponieważ jest szybszy). Bogactwa zgromadzonego materiału wspomnień są wielkie i nigdy nie wiadomo, co wylosują państwo z nich po ciemku i nagle. Nie uda się państwu oszukać. Pat wyjmuje ciasto, zdejmuje fartuch i pozostaje naga, a nie ma dokąd uciec. Więc pójdzie do najciemniejszego miejsca w Mieszkaniu. Powinna teraz rozpocząć przygotowania do przyjścia Karola, tj. te pończochy i dolepione rzęsy. Pat wychodzi z kuchni. W wąskim korytarzu rękaw zaczepia o klamkę drzwi łazienki. Domyka. Następnie, niech państwo spojrzą, pokój przejściowy, Pokój Trzeci. Biały stolik na jednej nodze, o, i szyba, na której ślad warg, jest brudna, jednak: co to za problem. Pat postanawia umyć wszystkie okna. Przechodzi między fotelami. Ściany są oklejone przez splądrowane szafy. Duszo jej, zatrzymuje się, zgina kolano, podnosi podeszwy kapci. Zbielały pył, kurz i zmieszane z nim okruchy, nitki, wbita w podeszwę pinezka. Wraca się do łazienki. Zamyka za sobą drzwi na zasuwkę, nikt się nie dostanie, poza wszechmocną ekipą. Pat układa na podłodze pasy papieru toaletowego, co za pedanteria. Opłukuje podeszwy, wyciera je do sucha. Próbuje palcem, czy z pewnością. Patrzy na brudną wodę i wyrywa pinezkę, którą przez chwilę ma ochotę połknąć, żeby się jej pozbyć. Myje ręce. Jest szesnasta czterdzieści. Idzie spać.

*

Państwo za to są bezlitośni i najedzeni oraz uznają zachowania Pat za niesmaczne. Dosyć tego! Rytmicznie i zniecierpliwione uderzają państwa podeszwy o ziemię, aż ona drży lub przynajmniej mogłaby. Nie drży, sprawdzają państwo, patrząc pod nogi. Nie drży. Są państwo całe szczęście za ciężcy, dzięki czemu ją państwo przytrzymują i nawet uderzając w ziemię jak szaleni, nie są państwo w stanie jej poruszyć. A

czasem byście państwo chcieli, co? Nie za dużo tych życzeń. Lecz w tym temacie koniec, gdyby państwo mieli wątpliwości, ile mogą, ile sobie naprawdę mogą. Pat za to ma inne fanaberie niż państwo: ależ różnorodność! Pat by chciała jakieś nowe życie, nową twarz, nową tzw. tożsamość, i dopiero po wszystkim: nową pamięć lub chociaż cudzą. W każdym razie nie tę śmierdzącą kurwę, co na wszystkim zostawia ślady palców. I w dodatku Pat by chciała wszystko to jak najszybciej, bo zwariuje, czy to jest szantaż? (Państwo są ubawieni). No, nie ma tak dobrze, a wręcz: nie ma tak wcale. Weź się, Pat, może naprawdę wyśpij, może ci przejdzie, mówią państwo, i są z siebie dumni. Miesiąc później u Karola, we wnętrzach kilkupiętrowego domu, przetrzebionego przez długi, lecz pełnego Matki Złotej, Pat, jak to ona, wybucha histerycznym śmiechem za każdym razem, kiedy Karol próbuje z nią rozmawiać na poważnie. Lub Pat ziewa. Słupki wiarygodności opadają, lecz wciąż jest gorąco: piękny koniec sierpnia. Jest wieczór i Karol zacina się, krojąc chleb. Na palcu dyndają skóra i kawałek mięsa. Otrzepuje więc kruszyny na podłogę, niech matka wreszcie ruszy dupę. Następnie wciska chleb w krew i daje życie informacji, która trafi w wiele miejsc, ale najpierw do Pat. Trzeba Pat poinformować o ranach, bo chyba Pat wciąż nie wierzy, że Karol ma ciężkie życie i ciężką krew. Oraz posiada Karol inne schorzenia, o których zaraz opowie swojej kochanej dziewczynie, przy okazji. Karol ma już wtedy Pat prawie rok (kromka nasiąka) oraz zdjęcia z zakończonych pysznie wakacji w Wiośnie. Które sobie wywołał i wpiął szpilkami w tapetę na ścianie przy komputerze. O boże, o boże, i co jeszcze przyjdzie państwu przetrwać w obliczu tych dzieci. Karol dzwoni więc do Pat, żeby się poskarżyć. Lecz ona zachowuje się tak, jakby utraciła talent do płaczu z powodu jego krzywd. Karol aż zaniemówił, zdumiony i ranny, jednak otrząsa się z niemiłego wrażenia i rozpoczyna

walkę. Zmieniłaś się, nie kochasz mnie już, maleńka? Boję się, że tracę wzrok. To dlatego się pociąłem, wiesz? W tym miejscu słyszą państwo, i Karol też — ciszę na linii. Czyżby Pat śmiała się w pieść? Karol jednak mówi dalej. Mam (westchnięcie), wiesz, problemy jakieś, z pamięcią, wiesz? Tak leżałem dziś, wiesz, przytulony do ściany, no wiem, jak to brzmi, ale coś się ze mną dzieje, czuję to, wiesz, znowu zabrałem matce tabsy. Tu ciszę napina wdech Pat, co nie jest dla Karola przyjemne. Boję się, Pat, boję się. Kiedy Pat już opanowuje śmiech i może powrócić do telefonu, tężeje w niej łód, bo jednak dosyć tego. Pat wie, że Karol zacznie na nią krzyczeć, gdyż panika jest jego ulubioną rozrywką, traktujesz mnie jak śmiecia! Już mu się łamie głos, głos. Chce mu się płakać, lecz umie, no przecież, się powstrzymać. Ktoś tu musi być mężczyzną. Przyjechać do ciebie? Pat, po roku uprawiania zgody i wyrozumiałości, przytuleń i obietnic, rezygnuje wreszcie z posady drugiej mamusi Karola, wersj mniej agresywnej, a można nawet powiedzieć: poddanej. Sami państwo widzą. Od tej chwili Karol zacznie mówić o niej źle: zmieniłaś się. Tak, tak, znamy to, państwo ziewają, z doświadczenia. Przewidują państwo również zakończenie pt. „Żyli długo i gdzie indziej”, i tym razem mają państwo rację, państwo są niebywale zdolni. Pat, zachowujesz się, kurwa, jak ty się zachowujesz, nie poznaję cię. Nie, no wiesz, nie żałuję w ogóle, tego, że się rozstaliśmy, ponieważ się okazało, właśnie to się okazało, że nigdy mnie nie rozumiałaś. Wykorzystywałaś mnie! Zniszczyłaś też, i o to ci chodziło?! A na dodatek jesteś brzydka jak śmierć, czego ci życzę. Tak, o to mi chodziło. Pat kończy i jedzie do Karola, żeby uwolnić uwięzowanego psa, lecz po drodze kupi mu plastry i chciał też draże czekoladowe, bo rzuca palenie. No to państwo się uśmiali. Pat ostentacyjnie odsuwa się od Karola, jest nim zniecierpliwiona, a z niego bije gorączka. Lecz Pat ani drgnie. Jest późno,

gasną sygnalizacje na osiedlu Karola. Wilgoć i chłód wyostrzają zapachy ziemi rozkopanej pod fundamenty domków jednorodzinnych. Te zapachy wpadają do pokoju, a dzieci mają wakacje i prześwitujące podkoszulki: w sam raz. Spierdalaj, przecież to oczywiste, nie wiem już, jak ci to inaczej powiedzieć. I pomyśl sobie, że i tak masz właściwie szczęście, bo mówię ci to osobiście, chcesz? Oddam ci nawet, o, te perfumy, zobacz sobie, nawet ich nie rozpakowałam, więc masz, masz, i Pat wciska w brzuch Karola tekturowe pudełeczko, które lśni, i Pat ma to wreszcie za sobą. Nie patrzy jednak w górę, gdzie twarz Karola jest dość stała. Pat nie patrzy w górę i siedzi, lecz uciekłaby. Siedzi i czeka, natomiast państwo liczą wzorki na tapecie w pokoju Karola, bo doprawdy trwa to wszystko za długo. Karol wciąż nie porusza się w ciemności (gwiazda wieczoru), stojąc ze szklanką, w której przyniósł Pat mrożoną herbatę. Wchodził z nią po schodach, jaśniejac i bez wątpliwości, natomiast Pat podejmowała decyzję. Lód topnieje przy ogrzanym brzegu szklanki. Lecz i on robi to po cichutku. Co to ma znaczyć? Karol wciąż nie poruszył się, więc nadal nie wszedł w cień. Pat próbuje opanować śmiech, mógłby chlusnąć jej w twarz tym lodem, wtedy by dopiero było jak w filmie. Wreszcie Karol odstawia jednak szklankę, bo nigdy nic nie wiadomo. Co to ma znaczyć, Pat?! I Karol jest zdenerwowany, lecz jak zwykle umie zachować się w takiej sytuacji. Możliwe są więc: płacz, kolana, rozbiegany wzrok, lecz zaczyna skromnie, od: drżenia głosu i dłoni, a serce mu kołacze, i to być może na razie wystarczy. Tak przynajmniej sądzi Karol. Co za panika w oczach Karola, mruga, mruga, żeby wsiąkły łzy, dopóki nie jest dla nich za późno. Pat to cieszy i nie boi się śmiać, skoro już raz pozwoliła sobie, to czemu nie kolejny? Wstaje z łóżka i za każdym razem, kiedy spogląda na Karola, zakładając ubrania i trampki, śmieje się w płacz. Śmiech obejmuje ją

swoimi wielkimi, czułymi łapami, które delikatnie naciskają na ciało Pat giligili. Tym bardziej że Karol jest bardzo poważny i nawet nosi okulary. Pat wybiega z pokoju, z domu, z ogródka Karola, jakby wychodziła z wody. Otrzepuje się, i lecą Dookoła te wszystkie ciepłe iskry, które ich grzały, które ich kłuły (i co jeszcze? — pytają Państwo zniesmaczeni). Na przystanku w światłach nadjeżdżającego autobusu Pat widzi przyklejone do jej spodni nitki z koszulki Karola. Wyrzuca je w trawę, ale dla pewności przeciera dłonią kark, szyję, policzki, wreszcie czoło. Wsiada i przesuwając wewnątrz dłoni po rurkach przy kasowniku. Później robi to samo na pustym siedzeniu. Autobus też jest pusty, bierze zakręt i wyjeżdża z pętli. Udaje czy naprawdę? Karol nie wie, co się dzieje, chociaż zza okna słyszy ostatni haust śmiechu Pat i suche uderzenia podeszw. Przeczuwa tylko, że za dużo jej opowiedział. Oto stoi teraz w świetle lampeczki biurkowej, smutny chłopiec z wiśniowym sercem. Ach, jak wysoko w związku z utratą Pat, lecz przede wszystkim czasu i dobrego humoru, ach, jak wysoko podnosi Karol Żłoty głowę, a niebo opada na jego tęczę. Chmury toczą się przez gładkie czoło, szlachetny młodzieniec, dumny i porzucony: dość tego. Poza tym: nie tylko odejście Pat ze środka serduszka spowodowało niekonieczny humor. A może Karol ma stłuczone kolano? Oczywiście, że życie Karola nie jest łatwe, wręcz powiedziałby Karol, że jest dużo cięższe niż życie innych, ale on o tym nie mówi przecież głośno. Ponieważ jest skromny i nie będzie się użalał, woli kopnąć, a następnie na nowo uklepać w sobie krawędzie, które będą proste i ostre jak w świeżych ścianach.

*

W Mieście jest też kilka pokoleń bloków. Są te najstarsze, ocieźnięte i potężne. Rozkraczają się między podwórkami, gdzie wiatr kręci piszczącą karuzelą, a mieszkańcy tych bloków resztkami sił pchają

ciężkie drzwi na sprężynę próbując dostać się do ciemnego korytarza i skrzynek pocztowych ledwo trzymających się ścian. Te bloki wybudowano chwileczkę po wojnie, ich starość pokazują pieluchy wyrzucane na klatki schodowe: robią pod siebie i nikt po nich nie sprząta. Ich starość to też miejsce, które zajmują w mieście, blisko centrum. Ale już bez światłości neonów starego kina Kalifornia i masztu stacji benzynowej. Ulice, przy których stoją, są oświetlane witrynami sklepów i oknami mieszkań, latarnie stoją rzadko. Ich światło jest więc ochroną przed wbitym latem nożem w brzuch. Dla zabawy, ponieważ jest ciemno oraz tłum, przyjechała na koncert Tamta i kiełbasa smaży się w piekle. Latarnie są też ochroną przed mrozem i nocą, które pozwalają na dużo więcej. Na przykład: trzydziestoletniego Jacka P. znaleziono w grudniu, w kącie nieczynnego przystanku, bez świateł i kiosku. Z wyciętą nerką Jacek P. siedział całkiem jak pijany, gdyż schylony, lecz martwy. Pod kurtką ukrywał lśniące jelita i skute lodem usta. Stare, ciężkie bloki są teraz remontowane. Dla studentów lub młodych małżeństw. Każdy z symetrycznie rozmieszczonych na piętrach lokali staje się błyszczącym od środka domczkiem, wyłożonym gresem, białą fugą i wysadzonym kranikami. Drobne halogeny rozkładają się tam jak owoce w błyszczących misach i czekają razem z łózkami o stalowych stelażach. Na nowych lokatorów, którzy co najwyżej dwa lata będą tu spać. Później mocni właściciele podniosą czynsz i będzie to całkiem zwyczajne z ich strony. A właściciele wydają się nieśmiertelni, wciąż ich stać na całkiem nowym życiu. I rodzą się, i rodzą. Ale są też bloki następnego pokolenia, i to są właśnie bloki najwyższe i dziurawe, mimo że młodsze, już bezzębne. W tych blokach windy mijają się z zsypanymi. Tekturowe drzwi do mieszkania, wymienione na antywłamaniowe są oznaką, że z tego mieszkania nikt już nie ucieknie. Zainwestowano w te drzwi wszystkie

oszczędności, których i tak nie starczyłoby na mieszkanie gdzie indziej. W tych blokach trzeba też zatykać dziury, które robią się na wylot, które robią się na okrągło w rogach mieszkań. Od ciężarówek pod oknem, strzelających iskrami spod ciężkich kół. Iskry te pełzną wzdłuż ulicy, aż natrafiają na blok i wspinają się po nim, rozłupując ściany na kawałeczki: codzienne trzęsienie ziemi. Rysy na ścianach rosną powoli, lecz systematycznie jak kwiaty doniczkowe. W blokach najmniejszych mieszkań Miasta podczas ulewy należy tamować soki puszczające spod parapetów, ale bywają tam też miłe chwile, państwo czują ulgę. Można przecież wystawić za barierkę balkonu packę na muchy i łapać nią reklamówki: wiatr szaleje wszak w śmietnikach, aż blachy biją na alarm. Puste kubeczki po jogurtach przetaczają się wtedy po chodnikach, a reklamówki wzbijają do nieba, o, właśnie. Blok ten, jak państwo widzą, ma wymalowanego niedźwiedzia trzymającego baryłkę miodu. Niedźwiedź siedzi na słowie Niedźwiedzie i można w tej sprawie jedynie się cieszyć, że kolor spłukuje pogoda. À propos zwierząt: z wysokości jedenastego piętra widać tu również ogród zoologiczny czy raczej minizoo na obrzeżach Miasta, a nie trzymają przecież żyraf. Do wyremontowanego Mieszkania kupiono m. in. proste regały, metalowe. Wytłumiają tylko Pokój Pierwszy. Sapią więc z trzech ścian, a pod oknem stoi jednoosobowe łóżko. Nowe, stelaż również ze stali, bez barierek, z twardym materacem. Na nim Pat śpi, ma kaloryfer za plecami, a pościel jest biała w niebieskie kropki. Pat pierze pościel raz w tygodniu w dziewięćdziesięciu stopniach i prasuje, aż parzy. Utwardza rogi i kanty. Powinna zapakować w tę pościel siebie i wyrzucić na śmieci, jak krzyczy ktoś z państwa, lecz: prosi się o ciszę. Na razie Pat pozbyła się wszystkich książek i drobiazgów, a więc regały stoją dziurawe i chybcą się. Stos kabelek, połamanych układów scalonych, płyt oraz styropianu

pośrodku dumny i niski, lecz okrywa, co trzeba. Pamięć przedziera się do snu, a następnie: chwyta i nadgryza jego miękki język. Miasto jest zaangażowane i stoi pod oknami Pat, sporo ludzi również przechadza się i tupie. Te ich odgłosy są koncentrowane w głośnikach i stamtąd wysyłane do uszu Pat, świeże kolce stukają w szyby, kiedy zawieje wiatr. A uszy Pat jak muszle zagarniają w swoje gładkie wnętrza cały ten strach, stukot, szepty i szmer kamer sunących po szynach. A samochody również tędy przejeżdżają, co państwo myślicie, i nie odmówią sobie syren. W Mieście nieustannie włączają się też budziki, lecz Pat w najlepsze okrywa się kołderką i musi sobie odsapnąć, każdy z tych budzików wygrywa inny sygnał. Kołdra spada z nóg Pat, Pat przewraca się, budzi i nawet gdyby chciała jeszcze uciec w zgrzany sen, i tak pamięć już wyciąga po nią długie palce, daj mi się, weź mnie na ręce. Pamięć zaczepia (zbliżenie) opuszki na powiekach Pat i rozwiera je. Popatrzą sobie na siebie i tym razem, a Pat nie wyjdzie stąd. O nie. Pat próbuje ciągnąć pamięć za włosy, jednak pamięć już chyba przestały boleć takie zabawy i nie zaczną. Przypomnij sobie 180, 177, 174 i 2 też, ale zabawa! Tu masz jeszcze, Pat, dobrze zatemperowane ostrze, łap! Zimne, więc przyłóż do piekących miejsc i zaraz ci przejdzie, a państwo sobie zobaczą coś ciekawego, albo i nie. Pat kurczy stopy, zatyka dłonią usta, zgarnia prześcieradło pod siebie. Tymczasem głowy pamięci odrastają i wszystkie zioną. A w nich pełno oczu, które się napatrzyły, i język, jeden dla wszystkich. Język Pabla, ciepły i mokry, toczący spod siebie komplementy (z nich również nich przecież pociekło). Dzwoni telefon i pamięć puszcza, a Pat może się zerwać. To jednak miłe, że życie mnoży się wokół przez nieskończoną liczbę i odciąga uwagę. Pat wyskakuje więc z łóżka i na bosaka. Przebiega przez duszne powietrze zebrane dookoła stosu, szuka telefonu, ale już za późno. Nieodebrane: Karol.

Karol spóźnia się piętnaście minut, dzwonił, żeby to powiedzieć, Pat natomiast zasnęła. Karol zaraz nadejdzie, a Pat jest za wcześnie naga, nie może mu się tak pokazać, bo jego oczy będą zadowolone tylko, jeżeli jego ręce ją rozbiorą. Karol wierzy przecież, np. w telewizję. Państwo o mało nie mdleją wszyscy naraz, lecz bądźcie pobłażliwi i siedźcie.

*

A dookoła budynków, wzniesień i rond są przecież ludzie, ludzie również wewnątrz i pod. Chodzą i nie tylko, i pod górkę też, i zbiegają. Statystyki są przerażające. Posiadają rzeczy oraz mnożą je lub tracą na czyjąś korzyść, co za różnica. A liczby ich oczu, niech państwo pomyślą, jeżeli każdy ma dwoje oczu, to ile oczu porusza się dookoła w sumie, w przybliżeniu, a te oczy są wilgotne. Liczby, liczby, ile jest kamyków w chodniku, a więc: ile popiołu, który można liczyć na szczypty, na gramy, na smugi. Pat odsuwa od siebie wszystko. Ta przekładnia rzeczy na liczby ciężkim ramieniem uderza w głowę Pat. Ból od tego uderzenia dochodzi aż do nóg, gdy w kucki i w kącie Pat znosi to, aż zniesie. I się znów pięknie wyprostuje, jak przystało na człowieka. Miasto zaś krzyczy, drze w powietrze, a z powstałych dziur uderzają pisk i zimna woda. Miasto również ma coś do powiedzenia: dzień dobry. Jest błoną słowa nałożoną na rosnące wciąż liczby, wystarczy. Natomiast pierwsze, co się okazuje o Grzegorzu Duszy, brzmi niezbyt lub wcale. Dusza jest modelem kosmetyków dla mężczyzn i reklamuje własne wygodne ciało, a przy okazji ma pokój wyłożony lustrami i lampkami choinkowymi. Przeciął w ich zwoju odpowiedni kabelek i przestały mrugać, dzięki czemu nie doprowadzają go do szału i mogą zastępować wszystkie inne źródła światła. Oryginalnym rysem w jego charakterze są również upodobania kulinarne, jednak jeszcze nie teraz. Rolety w kawalerce Grzegorza Duszy są szare, a meble mają kolor kamienia, na pulpicie swojego komputera

trzyma Księgę Prawa w wordzie oraz foldery ze zdjęciami. Są one jednak na hasło i Pat nigdy tam nie zajrzy (państwo natomiast w swoim czasie). Monitor jest ogromny i opleciony lampkami, w ich poświacie przepięknie doprawdy wyziera z ekranu twarz Duszy, a wyraz jej jest złowieszczy. Na dodatek twarz ta sfotografowana została nad świeczką. Lecz Pat śmieje się tylko za plecami Duszy, a wręcz za drzwiami. W swojej sterylnej grocie Dusza medytuje i hoduje rzeżuchę, a także piecze ciastka i wyciera kurze. Pat natomiast upija się u niego słodkimi alkoholami, o które troszczy się on, i zawsze coś nowego. Aż Pat mogłaby zaklaskać, siedząc nago i po turecku. Lecz bez przesady, połów się. Obrządek jest bowiem dla Duszy stylem życia, nie ma szans. Pat musi się położyć i być dotykana, lizana, karmiona i upijana oraz ma mruczeć i tracić oddech, jak przykazano w regułach. Ponieważ to jest przyjemne i rozluźnia oraz jest przeżyciem. Grzegorz Dusza bierze więc dżem z karamboli i wkłada Pat małe porcje do ust, brudzi jej to brodę. Następnie Dusza zlizuje. Pat słyszy w tym czasie odjeżdżające spod bloku stare autobusy, ciągnące swoje ogony do centrum, oraz samochodową lodziarnię, która na klaksonie wygrywa melodyjkę niosącą się echem wśród bloków. Grzegorz Dusza zamyka Pat powieki, silnie dociskając je do gałek, Pat aż się wzdryga. Kiedy Pat leży nago, lampki rzucają złocistoczerwoną łunę na jej ciało, a ciepło rozchodzi się od przełyku po stopy. Grzegorz Dusza jest na piątym roku homeopatii i piecze ciasteczka ze spermą (własną) i ziołami (ze sklepu internetowego). Robi Pat masaż pleców, po którym onanizuje się nad jej pośladkami. W tym czasie Pat kładzie dłonie pod brodę, pociera o siebie stopami i patrzy na konstrukcję z ich ciał, która odbija się w lustrach. Wyglądają jak wielki, ciemnoczerwony potwór i albo ją to śmieszy, albo Pat zasypia. Dusza jest szczupły i wysoki, a jego usta są naprawdę ładne i w kolorze świni. Zbiera spermę z pleców Pat

płytką łyżeczką do odmierzania syropu, a później miesza z cynamonem, specjalną mąką z dzikich zbóż i przepiórczym jajem oraz ziołami ze srebrnej torebki. Następnie lepią ciasteczka o nieregularnych kształtach i rzucają — plask! — na blachę. W kawalerce Duszy meble są jak z gazet, a więc można mieć wątpliwości, co do wnętrza szafek. Pat czuje się tu jak tania plomba. Następnie kruszą wszędzie, lecz Grzegorz Dusza zawsze pieczołowicie odkurza po wyjściu Pat. Również rogi pod sufitem i wycieraczkę, a jego odkurzacz jest ekologiczny i nie robi hałasu.

Bogactwo

Miasto nie musiało nawet specjalnie rozdrabniać bogactwa historii, aby je zemleć, zatrzeć i połknąć. Bogactwo historii składało się bowiem m. in. z: dyplomów szkolnych, wakacji, tatusia i mamusi, piłki plażowej, jazdy na rowerze i takich tam, pierogów z owocami. Było nanizane na daty i imiona, wystarczyło tylko przegryźć sznurki i żyłki i się rozsypało, bęc. A Miasto zawsze miało mocne zęby i długi język, Pablo również. Wszystkie zawarte w bogactwie informacje i wspomnienia miały już więc kształt odcinków, nie można jednak pamiętać wszystkiego i ciągle, no właśnie. Brakowało wielu danych i zawsze będzie. Żadne archiwum nie potrafiłoby pomóc. Większość zwykle pozostaje niesfilmowana i niezapisana, wręcz: niezauważona, a przecież nie kryje się w zakamarkach. Nawet te z odcinków przeszłości, które miały się dobrze, miały również dziury. Puste miejsca gotowe wprost na kosmetyki lub colę, Miasto już sobie coś tam wklepie lub wleje, o to się państwo nie muszą martwić. Opowieści zostały więc połączone z rzeczami przelewającymi się przez Miasto, m. in. z: ludźmi. I teraz ich cząsteczki wędrują, siedząc ludziom na karkach jak roześmiane dzieci, lub łopocą

na wietrze, gdziekolwiek i całą dobę. Również tynk na budynkach mieni się bogactwem, historiami, historiami, niech państwo zerkną. Tymczasem nad Miastem zbierają się chmury. Wyłącza więc telefon, ekran ciemnieje. Następnie Pat przechodzi przez wyziębiony Przedpokój, zostały tu pusty wieszak i lustro. Pat przysłuchuje się swoim krokom, uważając, aby nie naruszyć spokojnych pokładów ciszy. Pat przypomina sobie o tamponie, kiedy kroi ciasto długim nożem, przesuwając ostrzem po blasze, bolą państwa zęby. Będzie mogła wejść w rolę Pani Domowej, jeżeli zmartwiszę rysami na formie. Obejrzy wtedy w katalogu odpowiedni dział i palcem (manicure francuski, kolor: brzoskwinia w śmietanie) wskaże: o, ta blacha odpowiednia jest do ciast marzeń, być może upiekę w niej i chleb, biszkopt, a forma jest z atestem i dodają spieniacz do mleka, więc zacznę spieniać mleko. Karola wciąż nie ma, Pat wyciera tłuste palce w skórę brzucha, jakieś okruszki. Upycha kilka w pępku, może sobie Karol je zliże, albo i nie. Karol nigdy nie przytulił się do matki, o czym opowiadał Pat, żeby pochwalić się problemem, może chciałby, albo i nie. Karol prześlizgnie się po niej, zabierając zapach domu, to znaczy: duszonej wątróbki i płynu do mycia naczyń. W łazience Pat wyjmuje biały tampon, od dwóch miesięcy nie ma okresu. W dwa palce bierze też kostkę pumeksu, ponieważ zauważa nowe pęknięcia na brzegach zębów, które wciąż zgrzytają, dopóki ich się siłą nie rozłączy. Siły Pat wyczerpały się już w innych sytuacjach, i nie chcą się odnowić. Natomiast zęby straszą w szeregu igieł, czy państwu jest w ogóle żal, ulga zaciskania szczęk nie jest za darmo, Lecz przynajmniej Pat nic nie mówi, a to jest z kolei dobre na gardło. Pat ukrywa białe tampony przed państwem, zaciska w pięściach i wyprawia różne rzeczy. Gdyż wystarczy schwytać gołębia z parapetu, oczywiście w gumowych rękawicach, i do bawełnianego worka. A następnie ubić na sok. Oto przed państwem Pat,

absolwentka realistyki, wierzy mocno w skurcze podbrzusza i wolno skapujące skrzepy skóry i krwi. Weź, kochanie, tabletkę, jak radzą miłsze kobiety spośród państwa, lecz się nie przemęcz. Bardzo cichutko i tylko kilku mężczyzn zza okna ją podgląda, i natychmiast opanowują oni swą okropną reakcję, niemal dominację, ha, ha. Pat drętwieje i popłakuje, chlup, wypada z niej kawałek mięsa bez kości. No, z pewnością. Nic z niej nie wypada, znów jej się wydaje. Nic z niej wypaść nie mogło, bo by państwo zobaczyli, a państwo nie widzą. A by sobie państwo zerknęli, prawda, do syta. Niestety przed państwem tylko kafelki. I Pat na tych kafelkach, łydki jej wręcz oklapły i odbijają swoje łuki ciepłem na zimnej podłodze, a także pupcia. Nic z tego nie będzie: państwo pozostają dość obojętni, nie ma tu żadnej krwi. Nic się tu nie rusza, chociaż gołe i trochę przecież mogłoby. Skurcz w Pat natomiast obejmuje m. in. pęcherz i albo się Pat zsika, albo weźmie ketonal, wybór należy do niej. Zgarnia więc Pat nogi pod brzuch i podnosi ciało, a ono grymasi. Należy uspokoić państwa: krew zaraz wypłynie (po cichu i po ciepłu), lecz w tym celu trzeba się udać do pokoju przejściowego, czyli do Pokoju Trzeciego. Pat powraca do Pokoju Trzeciego. Przed nią jeszcze Przedpokój i Pokoje, Pierwszy i Drugi, za nią: Łazienka, Kuchnia i Ukryte Wyjście. Klęka jednak w kącie Pokoju Trzeciego, nadal z pięścią pełną białej waty i jak najdalej od okien. Wyjmuje kawałki dość obficie spryskane krwią i coś śmierdzi, to płócienna torba puszcza soki. Macza w śliskich strzępach tampon, a on rozkwita. Czego ta Pat nie potrafi swoimi silnymi paluszkami, państwo nawet by i zwymiotowali, lecz tego się nie robi w towarzystwie. Następnie: Pat wsadza tampon pełen ptasiej krwi i głęboko. Bogata w dowody kobiety, kołysze się, co byłoby ładne, gdyby wciąż była ładna. Tryumfalnie podchodzi pod okno. Otwiera je szeroko i staje przed Miastem. Pat, wciąż ta sama figura wpisana w to samo koło

kobiety. Trochę jest, co prawda, ta kobieta w Pat poszarpana i beznadziejna, ale dobrze już. Nie czepiajmy się. Zakłada Pat włosy za uszko, a herbatkę pije jaśminową. Promień zmęczonego słońeczka jak paluszek po jej policzku, uśmiechnij się, piękny wieczór, tylko się nie zakrztuś. Następnie tampon Pat wyjmuje i wyrzuca. Leci on aż na ulicę, światła z okolicznych okien i neonów na niego padają. No proszę.

*

Tymczasem dzień jest wciąż zajęty sobą i nawet się nie obejrzy, aż zapadnie, a co dopiero ma zwracać uwagę na Pat. Pat może więc sobie nawet wyrzucić również bombę i jak najdalej, i to też zostanie ledwo odnotowane, zwłaszcza pod wieczór. Będzie miało to wydarzenie widzów lub ofiary, obie odpowiedzi mogą być poprawne, lecz należy kończyć już ten temat, bo Miasto ma przecież ważniejsze sprawy. Chodzą jego ulicami panie i panowie zamiatający na boki śmieci po ludziach, czasie i ziemi. Taka pani lub taki pan przejdą nad ranem pod oknem Pat i lekką miotłą z metalowymi zębami zgarną tampon, dawno już wtedy szcerniały i w piasku, co być może nie będzie miłe, lecz rozjechane gołębie również się odkleja od wielu ulic Miasta, i to codziennie. Piórka ich wirują w powietrzu i trafiają m. in. do jesiennych bukietów układanych przez przedszkolaków. Grzegorz Dusza traktuje Pat jak małą dziewczynkę, która ma już jednak piersi, do których on mruczy, zakłada jej serwetkę pod brodę i głaszcze po głowie. Dusza nie ma włosów na klatce piersiowej, a jego ciało jest zamrożonym mlekiem: liź. Mieszka na drodze między kinem a mieszkaniem Pat i jej Rodziców Drogich. A więc Pat chodzi do jego kawalerki na dwie (trzy) godziny dwa razy w tygodniu i podczas festiwali filmowych (wtedy nawet codziennie). On się nią opiekuje i włącza pokaz slajdów ze swoich wycieczek do Azji i Afryki. Ponieważ Grzegorz Dusza lubi się włóczyć w obcych miastach i „te ciasne

uliczki...”. Ponieważ to go uwalnia i/lub oczyszcza. Co za dureń. Kiedy w tle migoczą slajdy, Grzegorz Dusza pogardliwie odrzuca loki i z założonymi rękami patrzy w zasłonięte okna. Planuje kolejną podróż, z której przywiezie korzenie i kamienie, wodę i „wrażenia”. Daje Pat ser tofu i wino lub np. miesza jej wódkę w wydrążonych melonach, leje likier w ten sposób, żeby Pat mogła łapać go po kropli, strużka z brody. Kroci jej marakuję i rozdrabnia oliwki, gniotąc je w pięści. Rozciera później tę papkę palcem i: poczuj, jak pachnie. Dżem z karamboli podaje na łyżeczce. Pat kładzie mu się na rękach i obiecuje na uszko, że będzie cichutko. Grzegorz niesie ją przez pokój w kierunku łóżka obstawionego podgrzewaczami do czajniczków z hipermarketu. Pat przypuszcza, że te swoje wycieczki po produkty Dusza wymazuje z pamięci, ponieważ zakupy w wielkich sklepach zaburzają filozofię jego życia: on sobie nie pozwala na takie rzeczy. Światło neonu B. SHOP przebija jednak przez rolety w jego pokoju i to wprawia Grzegorza Duszę w zakłopotanie. W prostym świecie Grzegorza Duszy: świecie wysokich świec i uczt z okazji przesilenia wiosennego, nie ma już miejsca na inne paranoje. Razem z Juliuszem Kwiatkiem zamawiają pizzę i idą na wódkę do pubu studenckiego Dragon. Rozmawiają tam o możliwościach używania krwi do drinków: i czyjej. Chichoczą cicho i raczej znudzeni, a także nie wiedząc, czy by rzeczywiście nie wypróbować tego i owego. Mają chude nogi w prostych sztruksach. Pat natomiast odpoczywa przy Grzegorzu Duszy od swoich maleńkich sobowtórów, które czasem krzyczą jej imię jej głosem z aut i zza regałów w sklepie. Zmykają jednak tak szybko, że dostrzega tylko podobieństwo płaszczy. Opowieściom Duszy o fazach Księżyca i ich wpływie na siłę orgazmów Pat poświęca wiele ze swojej mimiki i nawet słuchu, co chłopiec uważa za oddanie. Grzegorz Dusza dostrzega na piersiach Pat jasne włoski. Prowadzi więc Pat za rękę do

kuchni, gdzie wyciąga z szuflady płaską, szeroką puszkę. O, proszę, wyjmuję z niej pęsetę, błysk. Kładzie pęsetę w czystym, suchym zlewie i oblewa ją wrzątkiem, buch! Wyciera do czysta ściereczką, a Pat przypomina sobie, że tata uczył ją gasić świeczkę palcem, kiedy miała sześć lat, nie bój się. Będę ci robił zdjęcia, Dusza gładzi Pat swoją kościstą, wklęsłą i zimną dłonią. Po policzku, chociaż przesuwając palce również na kark i oswaja ją ciężarem ręki. Musisz mieć nieskazitelne piersi, światło mi się dobrze rozłoży, jak wyrwę ci wszystko, oraz waży pierś Pat trzema palcami. Pat dostaje gęziej skórki, a Dusza pokazuje palcem miejsce, od którego rozpocznie wyrywanie. Całuje Pat, ona stoi na palcach, ciepłe stopy zostawiają ślady na podłodze z wielkich szarych płytek. Pat jest mokra od zimna i dreszczy. Grzegorz Dusza odrywa się od Pat nagle i szybkim krokiem idzie odebrać telefon, tak, jutro do niego pójde, mam, teraz nie mogę rozmawiać. Grzegorz Dusza ma miękkie stopy, a Pat nogi cierpną z zimna. Wraca za chłopcem do pokoju, stawia małe kroki. Dusza wyłącza telefon, Pat kładzie się na łóżku. On napina palcami skórę jej piersi i rozpoczyna wyrywanie, mówiłem, że nie będzie bolało. Wrzuca prawie niewidoczne jasne włoski do wosku w świeczce. Dusza wygładza spuchnięte ślady po włoskach swoimi zimnymi palcami, chłód przechodzi Pat przez skórę do żołądka. Grzegorz Dusza nigdy nie zrobiłby nikomu krzywdy, po co. Włoski przecież odrosną, drobniutkie ze słabych cebulek.

Po wyrwaniu włosków Grzegorz Dusza oblizuje zimnym i szorstkim językiem piersi Pat, żeby cię nie bolało. I to jest właśnie najbrzydliwsza część, drodzy państwo. Jest zadowolony ze zdjęć i podaruje je Pat, zaraz

nagra płytę. Dwa dni później ma nawet jeszcze lepszy humor. Dwa dni później ma nawet lepszy humor. Przecież nie tylko na piersiach masz włoski, ty, mały zwierzaczku, daj, wyrwę to i owo na zawsze. Pat zrywa się z łóżka, nakłada stanik, Grzegorz Dusza cofa ją szarpnięciem, siadaj, no, gdzie?! Siadaj, mówię (jak on to mówi!). Kiedy Pat wciąga majtki, Dusza podnosi jej głowę do góry (kciukiem brodę) i jest już lekko podenerwowany. No, ty, ty, jak ty wyglądasz, wyciera dżem z kącików jej ust i się oblizuje. Pat uparcie ubiera się, kręcąc przecząco głową, jakby wyrwał jej też język. Wychodzi na śnieg, dalej, biegnie do domu, dalej, i piszczy, wiatr formuje kłęby z lodu i uderza. Pat zaciska więc wargi i oczy, piszczy, palce stóp zamarły w twarde mięsień, dalej, minus dwadzieścia stopni, Pat piszczy. Zatyka uszy, biegnie i nie może znieść tych wystrzałów. Pat uciekła, a Grzegorz Dusza stoi i jest rozbity, maleńki. A co tam: otwiera okno i wygląda za nią, lecz tylko pisk grud śniegu daje się we znaki, Dusza chucha w dłonie. Jej już nie ma, zostawiła tylko ślady. Toteż szybko zamyka Dusza, okna ma szczelne, nie będzie się wygłupiał. Pozostaje oto w swoim gabinecie wyłożonym lustrami. Ach, jak wysoko w związku z utratą Pat, lecz przede wszystkim mniemania, czasu i dobrego humoru, ach, jak wysoko podnosi Grzegorz Dusza głowę, a niebo opada na jego tęczę. Chmury toczą się przez gładkie czoło, szlachetny młodzieniec, dumny i porzucony: dość tego. A poza tym nie tylko odejście Pat ze środka serduszka spowodowało niekonieczny humor. A może Grzegorz ma stłuczone kolano? Oczywiście, że życie Grzegorza nie jest łatwe, wręcz powiedziałaby Grzegorz, że jest dużo cięższe niż życie innych, ale on o tym nie mówi przecież głośno. Ponieważ jest skromny i nie będzie się użalał, woli kopnąć, a następnie na nowo uklepać w sobie krawędzie, które będą proste i ostre jak w świeżych ścianach.

*

Są też bloki trzeciego już pokolenia po wojnie, nadal dość młodziutkie i pomarańczowe lub niebieskie. Okrywają je spadziste dachy i ukryte pod blachą strychy, pełne świeżych, mokrych prześcieradeł. To pokolenie bloków przeżywa właśnie pierwszy szok zacieków na swojej urodzie. Niech państwo spojrzą: oto niedawno tryumfujące miss budownictwa. Ich uroda jest teraz odsuwana przez przestrzenie pachnących apartamentów, których piana podchodzi Miastu do gardła. Te trzydziestoletnie ledwie bloki widzą postępujące zmarszczki, od okien po usta klatki schodowej, pogłębiają się bruzdy niezadowolenia, mimiczne rowy na sufitach i wzdłuż ścian. A mieszkańcy wnoszą na piętra gips i rulony tapet, jak najmniej wzorzystych. Żeby zatuszować, a następnie optycznie powiększyć pokój jasnym kolorem (choć niektórzy kopiują szalone wzornictwo klatek schodowych). To mieszkania pełne wnek i białych, ciężkich kaloryferów, rur kiełkujących ze ścian (dają znaki przelewającą się przez nie wodą). Oto mieszkania o srebrnych żaluzjach i białym zlewozmywaku, często obtłuczonym, mieszkania za małe i mieszkania, w których jeszcze nie śmierdzi. Tam urodziły się dorosłe teraz dzieci Miasta. Te dzieci właśnie kupują swoje pierwsze używane samochody, żeby jeździć nimi w kółko po opustoszałych nocą placach Miasta albo np. wyjechać stąd jak najdalej. A na parterach tych bloków rozmnożono sklepiki pełne garsonek, ubranek dla dzieci, jest również jubiler i prywatny gabinet dentystyczny, warzywniaki sprzedają kapustę z beczek. Z okien mieszkań widać również market oraz skup butelek i trawnik. Parkingi podwórkowe, podwórko na ulicy i trzepaki, niech państwo się rozejrzą, a na zakrętach uliczek głębokie kałuże w zapadniętym asfalcie, nieopodal gołębie otrzepują wodę ze skrzydeł. Mieszka tu mało staruszek. Dzieci mają natomiast siebie pod dostatkiem,

a ich podkoszulki z dekoltami wykrojonymi na okrągło zbierają codziennie trawę, pot i katar. Mamy wychylają się z balkonów, żeby dojrzeć synka biegnącego po ubitej ziemi boiska, znad którego rozlegają się okrzyki radości i rozpaczy, córki trzymają się bliżej, chociaż bez przesady. Jest również osiedlowy pub z bambusową roletą, zasłaniającą gościom przechodniów. Wnętrze pomalowano żółcią, która już trochę złązi, a ławy są drewniane, tarcza do darta świeci i gra w kółko, piwo wciąż kosztuje niewiele. Nad wejściem wisi krzyż, a telewizor jest lśniący, z czasem wprowadzą pizzę. Pralka puszcza blokady i piszczy, żeby ją otworzyć, więc krew została wymyta, no wreszcie. Pat nasłuchuje: czyżby Karol dobijał się do drzwi? Cisza spokojnie czeka: jednak nie. Idzie do łazienki. Wyjmuje tam mokre ubrania, uderza w nią wilgoć i chemiczny zapach łąk. Kolejne ręczniki wrzuca do wanny, pościel, ścierkę. Tym razem to Karol! Słysząc kopanie w drzwi wejściowe, Pat odruchowo sprawdza, czy nie włożyła nowego tamponu, powinna być przecież wolna. Karol opiera się o dzwonek i jednocześnie przesuwając szerokimi opuszkami po drzwiach, co skrzypi. Jeszcze nie zaczął krzyczeć, zęby oblizuje powoli. Przed wpuszczeniem Karola Pat musi umyć ręce, już i tak pulchne i miękkie od proszku. Namydla starą szczoteczkę do zębów, czyści paznokcie. Oglądała wczoraj instrukcję mycia rąk w internecie. Lubi używać rzeczy, ręce to też rzeczy. Z innego materiału np. bolą, strzelają w nich kości. Pat patrzy pod światło. Paznokcie już czyste, chociaż nie. Wpuść mnie, umawialiśmy się, wpuuszczaj, no, obiecałaś, że mnie wpuuszczisz, maleńka, no, Pat, Pat, przecież widzę, że jesteś, pali się u ciebie w oknach, otwieraj! Żeby wydłubać resztkę brudu spod paznokcia, Pat wbija w skórę róg saszetki z kremem, kurwa mać. Krew zaschnie i będzie więcej brudu, polewa wodą utlenioną, czemu nie, spirytusem też. Suko, wpuuszczaj mnie — z Karola

rozlega się niepokój i siła, drzwi jednak trzymają się nieźle. Pat trzyma palce pod kranem, zimna woda zwięża naczynia rozdęte krwią. Widzom z kolei, zaraz po rance, pokazuje się detale w twarzy Karola, a są to tym razem: zęby twarde, gładkie i równe, oraz czoło, spocone, lecz nigdy nie miał problemów z cerą. Na mokre dłonie mydło, które Pat spienia i płucze, płucze, trze. Zauważa błysk, nic innego już nie ma w dłoniach. Karol ucichł, co nie znaczy, że nie zagląda przez wizjer. A na Pat właśnie wieszają się ręce, których nie czuje, a jest co. Bo oto obce, czarne od gęstych włosów ręce zawieszają się powoli i stanowczo na jej karku, jak pierzaste boa. Ha, ha. Zsuwają się na piersi, pod piersi, po delikatnym mięsie Pat, a są żylaste, choć nie chude. Napięte, zatrzymują się wreszcie, żeby zawisnąć na talii, koło ratunkowe, tyle że szorstkie. Pat rozpina z trudem zacisk tych palców, ale co z tego: za chwilę znów się splączą. I naprawdę jest państwu przykro, że Pat doszczętnie zwariowała.

*

A trzeźwa pamięć ciągle ma swój dalszy ciąg. Kiedy jednak kawałek pamięci po drodze zdycha, pamięć czuje ulgę: wreszcie ma trochę wolnego czasu i tylko dla siebie. Siedzi sobie, kiwa nóżką i bezmyślnie patrzy i patrzy np. w ścianę, a oczy ma spokojne. Odpręża się i odrywa ten martwy kawałek od siebie, jest delikatna, ale sobie schowa. Ten martwy kawałek jest zwykle jeszcze ciepły i pełen różnych zagadek, które stygną. Następnie pamięć ukrywa zawiniątko głęboko i tylko czasami, raz na kilkanaście lat, przypadkiem na to trafia, szukając czegoś zupełnie innego. Wyjmuje więc znalezisko i rozwija pod światło, jak banknot. Liczy na ukryte oznaczenia. A tam już szczury wygryzły dziury i zapach zupełnie nie ten. I dopiero po dwóch tygodniach od ucieczki Pat z mieszkania Grzegorza Duszy, Dusza podsuwa Pat swojemu koledze, który lubi takie piegowate, masz tu numer pod warunkiem, że mi

wszystko opowiesz. Po dwóch tygodniach od ucieczki Pat z mieszkania Grzegorza Duszy do Pat dzwoni Juliusz Kwiatek: mam czas, jasne. Pat wykonuje obrót i opiera się o Juliusza, który natychmiast dzwoni po taksówkę, kiedy wracają z centrum na peryferie Miasta. Nad ich głowami zielone i czerwone neonki wciąż oplatają latarnie, święci Mikołajowie. A w powietrzu wiszą szpile lodu i para z ust nasącza szaliki. Wciąż panują wielkie mrozy, choć wiosna za miesiąc, lecz Pat już się wtula w Juliusza, a on wielkimi rękawicami obejmuje jej policzki, wydaje się, że to miłe, bo przecież na to wygląda. Kolega Grzegorza jest bardziej elastyczny i nie brzydzi się hipermarketami, studiuje przecież zarządzanie majątkiem rodzowym i ma dom wielki jak kościół. Kiedy Pat wchodzi do jednej z jego trzech klatek schodowych, prowadzącej do skrzydła zajmowanego przez Juliusza, pogłós, ciepło, schody i nic więcej. Jakby cała ta budowla była wytłumiona, nikt ich nie usłyszy, mogą się nawet pozabijać: wolisz wino czy wódkę? Juliusz jednak jest bardzo przyjemnym kolegą, wręcz troskliwym, używa słowa „słodka”, kiedy mówi Pat o niej samej, i doprawdy lepiej, jeżeli piją. Mówi Pat też wiele ciekawszych komplementów, które mają pomóc przede wszystkim jemu, kiedy oboje są już tak pijani i w kompletnej ciszy. Zima dyskretnie osypuje ten dom, stojący na osiedlu między lasem a blaszanym białym magazynem. Słysząc uderzenia śniegu na szybie, Juliusz ma w pokoju piękną drewnianą podłogę, a także zegar w kształcie płyty winylowej, okna są szczelne i wielkie. Juliuszowi bardzo podobają się kości mostka Pat: świeżo upieczona gęś. Wiesz, to przez ten alkohol, Juliusz z blond lokami uśmiecha się nawet i chyli nad Pat oraz ku upadkowi, kiedy próbuje ręką załatwić wszystkie te gorące uczucia, które zastąpili przed chwilą słowami. Gołe, blade ciała w środku zimy, chude, lecz miękkie. Bym się z tobą przespał i czy nie masz nic przeciwko, dolać ci? Jak chcesz, to mam

też szampana. Nie trzeba. Jednocześnie przesuwa Pat pod ścianę, aż Pat zaczyna się śmiać, żeby zaczerpnąć powietrza, i tylko na tyle wystarcza. Następnie leży sobie. Nudzi jej się i nie ukrywa tego, gryzie resztki wykałaczki i zastanawia się, jak to jest mieszkać w tak wielkim domu, którego mieszkańcy nie słyszą się nawzajem, chyba że robią coś rzeczywiście spektakularnego, np. spadają ze schodów. I zaczyna się śmiać, wyobrażając sobie Juliusza z nogą w gipsie. Natomiast Juliusz nie patrzy na Pat, ponieważ sam się stara. Pat jest wszystko jedno, gdzie leży, ślady po Grzegorzcu zeszły z piersi. Wreszcie postanawia pooddychać szybciej, ponieważ trwa to już za długo i robi jej się zimno. Obejmuje Juliusza, a on natychmiast i z ulgą opada na Pat. I choć jest w to państwu trudno uwierzyć, przytula się do niej. Następnie Pat powtarza wszystkie gesty, które wcześniej należały do Juliusza, i traktuje je jak swoje. A więc: Pat odgarnia włosy Juliusza, zakłada mu je za ucho, patrzy chłodno, nie uśmiecha się. Przysuwa go do siebie i narzuca rytm, Juliusz zgadza się, Pat jest silniejsza. Skręca w palcach pęk jego włosów, ciągnie za niego, do tyłu, a Juliusz posłusznie odchyła głowę. Pat całuje jego szyję, na chwilę przestaje, żeby się przyjrzeć. Jakby trzymała zająca za tylne łapy, z dziurą i krwią w futrze, ładnie. Znowu całuje, a Juliusz uśmiecha się, kiedy widzi, że jest podziwiany: oho. Drapie plecy Pat, wygina ramiona, zamyka oczy, ma silny brzuch i wielkie dłonie, które nic nie znaczą, również na skórze Pat. Pat przyciąga Juliusza do siebie, siada na nim i ma jego twarz przy swojej szyi, obejmuje ją dłońmi i siłą podnosi pod swój wzrok. Czyżby trochę płakał, to coś nowego, Pat nic nie mówi, przesuwając spojrzenie od jego oczu do brody i z powrotem: spójrz, jak ty wyglądasz. Pat chce, żeby Juliusz widział jej zdziwienie i niesmak, i nic więcej, a już na pewno nie nowy strach. Bo nowy strach podchodzi właśnie Pat do gardła i usiłuje zająć w jej ciele miejsce, całe wolne. Nie ma miejsca, nie

ma miejsca, nie ma miejsca, a to zdziwienie i niesmak wcale nie są udawane, wcale nie — powtarza Pat w myślach na siłę, na siłę. To prawdziwa pogarda, to prawdziwa pogarda, i Pat śmieje się z Juliusza, również na zewnątrz i głośno. Chociaż w środku te puste, strzeżone przestrzenie zapewniłyby śmiechowi lepszą akustykę. Leżą naprzeciwko siebie i kleją im się blade nogi. Sperma i zapach ściekają, coś jeszcze? W każdym razie byłoby milej je natychmiast z siebie zetrzeć, niestety niezręcznie jest im nawet przełykać ślinę, a co dopiero się ruszyć. Następne miesiące są jednak bardzo poprawne i nie ma żadnych wątpliwości, a ślinę przełykają wraz z wodą z butelki, kiedy tylko podnoszą się z łóżka wykończeni i z zapasem wolnego czasu. Palą też smakowe papierosy, przykryci prześcieradłem, mali, piękni i rumiani, a nawet czasem jedno drugiemu poda wisienkę z ust do ust, pilota, balsam, majtki. Lecz raczej nie mają wspólnych znajomych, oprócz Grzegorza, który wydzwania do Juliusza, i nikt nie odbiera.

*

Są też i całkiem młodziutkie domy, rasowe dzieci Miasta. Niepozorne i ukryte za bankami, obłożone płytami w kolorze kamienia, z ukrytymi kamerami i recepcją, cichą windą i podziemnym parkingiem. A cisza w nich huczy podszyta klimatyzacją, eleganckie klameczki. Wnętrza są głucho po sufity, jakby pod oknami cmentarz zarastał łąką. W drzwiach nie ma wizjerów, lecz oto: ekrany w domofonach oraz segregacja dzięki recepcji. Wpuszczają tu obcych jedynie po uprzednim telefonie: „mają państwo gościa”, nie ma za co. Recepcja jest również punktem przerzutowym życzeń i rozkazów dla obsługi: proszę mi to uprasować, dobrze? Archipelagi apartamentów są solidne i blade, mają jasno wytyczone granice, w których ocierają się o siebie. Grunt to ziemia, która jest droga, darujmy sobie park, wiatr za to nie potrafi tu wtargnąć, więc

brawo. To bogactwo spluwa na boki, jest w końcu znane z ogłoszeń developerskich, miłego dnia. W tych apartamentach ludzie nie zasłaniają okien, a wewnątrz rozkładają się przed oczami, jak wbite na żar jajka. Zmęczenie i zabawa na przemian zapalają się w głowach mieszkańców tych domów, jak halogenki w łazience, ileż błyskotek. Za to śmietnik jest samotny i opuszczony, bez trzepaka, lecz granitowy i ktoś go prawdopodobnie obmyje szlauchem, żeby się troszkę świecił, skoro już jest taki ładny. Mieszkańcy wychodzą z apartamentu do samochodu, a cisza wsysa wszystkie dzień dobry lub robi to wspomniana klimatyzacja. W każdym razie proces ten przebiega dyskretnie. Cisza sygnalizuje bowiem, że sprzęty działają sprawnie, szybko i czysto. Za sprzęty te odpowiadają zresztą cisi tak jak one tzw. ludzie, uwijający się dla dobra mieszkańców. No chyba że już rzeczywiście muszą coś wywiercić. Tutejsza cisza naźarła się tynku i zaschło jej w ustach, wzdycha o wodę, lecz tu jest czysto i nic się nie klei: ani się waż. Na archipelagu apartamentów mają oczywiście co niemiara przydatnych usług i jest to całkiem wygodne, a przede wszystkim pod ręką. Nic wyszukanego, taki sobie ten archipelag, ale ze smakiem przynajmniej został zorganizowany, jak cukierki w szklanej misce, niech sobie leży i się państwo częstujcie. Jest tu dla was wiele usprawnień: np. prywatna pralnia lub Pan Złota Rączka, który nawet bywa niewidzialny. Żeby nikogo nie denerwować, a zwłaszcza siebie samego. Pan Złota Rączka przychodzi, kiedy mieszkania pustoszeją, naprawia i ściera po sobie ślady: butów, ewentualnie zapach. Jest w tym celu zwykle: schylony, a w dłoni trzyma: ścierkę, więc przy podłodze znajdują się wówczas: oczy i szmata. Sto procent poprawnych odpowiedzi, stypendium zostaje przyznane. W czasie kiedy ten Pan po sobie sprząta, mieszkańcy przebywają (również) w pracy, ponieważ z czegoś muszą przecież żyć i się cieszyć, i się trzeba wreszcie od nich

odczepić. Państwo tak sądzą, bo to już doprawdy się robi historyczne, oraz: czyżby ktoś tu komuś zazdrościł? Być może nie i być może jest to nawet jakiś temat do dyskusji, ale nikt w gruncie rzeczy nie ma nią ochoty. Ani czasu. Kanapy zostały już zamówione i są ze skóry zwierząt lub wręcz przeciwnie, jednak nie poznasz, i o to chodzi, tylko uważaj, nie zabrudź. Furia prądu zamknięta w pękach kabli utrzymuje apartament przytomnym, a echo tego prądu przemyka przez palce mieszkańców, gdyż lubią gorące dreszcze: oddaj mi pilota! Entuzjazm raczej nie bierze się z oszczędności, ach, i żeby w szafach były półki na szyny! Półki na kota, półki na kaptcie, na krawaty, stelaż na dokumenty, pokrowce na jedwab i troszeczkę kurzu, ponieważ tu akurat nikt go nie wyciera. Ta Miła Pani Sprzątająca, która jest solidna i jest cicho, zazwyczaj czyści jedynie łazienkę, bo mieszkańcy są na tyle zaradni i sympatyczni, że np. kuchnię sami przetrą. Z powodu swojej wielkiej sympatii do świata nie sprawdzają również, czy Miła Pani Sprzątająca kradnie lub troszeczkę używa kremów, maczając w nich koniec palca, bo jak to. Mieszkańcy dają jej pracę, czemu miałyby kraść, zwłaszcza że jest Miłą Panią Sprzątającą. Miła Pani Sprzątająca z pewnością jest zachwycona, gdyż ma pracę, a w dodatku płacną, i sobie może dzięki temu kupić małe co nieco. A mieszkańcy archipelagu „w pewien sposób ją podziwiają”, i nie ma w tym nic złego. Zresztą tego to akurat nikomu nie chciałoby się doszukiwać, bo i po co: masz ochotę na krewetki tiger, koteczku? Pat wyjmuje z wanny uprany ręcznik, owija się nim. Nachyla kark i opryskuje włosy prysznicem. Karol z pewnością przeciągnie szorstkim językiem po schnących na ręce włoskach. Pat odrzuca mokry splot na plecy, pudruje czoło i rysuje czarną kredką krój oka, skośny. Jakie to typowe, wzdychają panie, a panowie podnoszą tylko na chwilę jeden kącik ust, bo ich niecierpliwi, bo ich to bardzo niecierpliwi. Pat nie zapomina o

skarpetkach. Pat jeszcze raz wykręca włosy ze wspomnień i do dziur, w ich splotach. Robi to, żeby również zająć ręce, które nie wiadomo gdzie się podziewają. Karol wyjmuje pilnik i rozpoczyna ostrzenie go o kłamekę, zacierając dłonie, oblizuje usta w oczekiwaniu. Państwa bolą od tego dźwięku wrażliwe zęby. Karol miał dziś dosyć zły dzień. Ktoś mu przypomniał o jego długach, które zarosły już odsetkami i wybuchają ostem. Pat wychodzi z łazienki, ścieka z niej. Kiedy jednak bierze klucze, żeby otworzyć Karolowi, który zaczajony czeka na swoją kolej, nie ma już w Pat ani kropli własnej. Jest wydmuszką oferującą skorupkę i ornamenty ciała. Pociera uda. Jej palec krąży po skórze na obojczyku i jak państwo teraz przewidują, chwyci go Karol, żeby samodzielnie już dorwać się do szyi. I nie mylą się państwo. Co my tu mamy, państwo są pobłażliwi: mamy uprzejmą laleczkę, która wie, co to brzydkie wyrazy, która Karolowi zliże ciekącą ślinę, a kiedy chłopiec zachce do mamy, laleczka rozciągnie swój pępek w miękką fałdę, żeby syn mógł odprężyć na niej kark. Karol ma jednak wysokie wymagania, a mamunia jego ma się mu podobać nawet od tyłu. Pat otwiera Karolowi, a z nim: zimne powietrze. Karol nie wyciera butów, Pat okrąża go udem. Karol jest pewien, że przyłapał ją niegotową, obiecała spełnić wymagania, a tu nawet rajstop. Jednak Karol daje jej breloczek, proszę, nie trzeba, dziękuję, który kupił specjalnie dla swojej myszki. Następnie: przytula się, aż Pat kaszle. Co psuje sytuację, lecz zakalec szybko schodzi jej z ust. Ponieważ Karol już oczekuje, a ma dłonie dwa razy szersze od drobnych ramion Pat. A nie wolno zapomnieć, że ona przecież chce mieć siniaki. Stają jeszcze razem przed lustrem, chociaż nadchodzi czas, i kadrują ciała w jego ramie. Karol jest więc zadowolony, gładząc brzuch. Mam taką piękną niunię, no proszę, po czym wsadza Pat trzy palce do ust. Złoty zaczerwieniłby się, gdyby to Pat okręcała kciuk w jego wargach. Pat

wciąga więc brzuch i zamyka oczy, kadr śnieży, a państwo słyszą tylko kaszel, najwyraźniej Pat się dławi, niech już przestanie. Jednak za chwilę błyska jej uśmiech, bo Karol wyjął palce z jej ust i wsadza je teraz od spodu, co mu się podoba i państwu też.

Karol Złoty

W lustrze Karol wygląda jak najlepszy na swojej półce i w przedziale wiekowym. Kiedy jest wybitnie zadowolony, dokumentuje to, robiąc zdjęcia telefonem. Wygospodarował nawet na tło pustą ścianę w mieszkanku, które wynajmuje za morzem, niedaleko lotniska. Wątpliwości wpycha głębiej, np. na wypadek pomyłki trendów, słucha muzyki starszej od siebie. Pat zawsze ścierała Karola ze skóry i ze wstrętem, i on to doskonale zapamiętał. Próbują więc haustami nowych sposobów i mają sporo śmiechu oraz zaufania. Juliusz jest bardzo wdzięczny Pat, która o niczym nie wspomina, i nawet lubi ją oraz jej poczucie humoru. Dni stają się letnie, więc ciemność zapada na coraz krócej, chłodząc czoła, jednak nie aż tak. Każdy byłby szczęśliwy, a przynajmniej powinien, żadnej krzywdy. No dobrze — a matura? Nie bądźcie państwo śmieszni. Pat ma długie włosy i oglądają się z Juliuszem w lustrze na golasa, z zadowoleniem. Nie mogą się napatrzeć. Pocałujcie się w dupę. Pat zgrabnie układała się przed Juliuszem, nawet rączką gładzi jego kark i ramiona, które są tak samo twarde jak na początku. Jednak wszystkie czynności ich ciał odnalazły już miejsca, których się nie wstydzą. Mijają właśnie cztery miesiące rutynowego spania ze sobą, zazwyczaj po południu, we wtorek, piątek i niedzielę. Za otwartym oknem mieni się czerwiec. Na pustą i cienką jak szelka ulicę, wdarły się już dzieci. Krzyczą wniebogłosy swoje imiona i punkty. Pat podtrzymuje

natomiast Juliusza na duchu, odrzucając swoje długie włosy na plecy lub sprowadzając go powoli w usta, za każdym razem, kiedy męczy ją jego wzrok. Ale nie patrzą na siebie za długo, choć porozmawiają, czemu nie, zwłaszcza kiedy Pat ma jeszcze trochę czasu do kolacji z mamą i tatą. A rodzice spokojnie czekają na córkę, swobodni i ufni, zajmując się czytaniem gazet i telewizją. Jednak nie więcej niż godzinę, której granicy Pat nie narusza. Cisza nie trzaska więc w stół ani razu, rodzice chwają to sobie, a mama Pat daje pieniądze na ginekologa, najwyższy czas, mówiąc: załóż spódnicę, będzie ci tam wygodniej się rozebrać. Juliusz i Pat uważają więc na okoliczności, siebie i czas. Kiedy więc następują wielkie lipcowe upały i przejrzyste ulewy uderzają w Miasto dzień w dzień o trzynastej, Pat i Juliusz domyślają się, że należy uczcić schyłek pełną piersią. Kupują wódkę, którą napoczynają jeszcze w pokoju Juliusza, oraz wybierają się na wycieczkę do centrum Miasta, gdzie spuszcza się ze smyczy jak szaleni, do rana i do widzenia. Piją więc m. in. drinki z owocami, wystawione w cieniutkich szkiełkach na kwadratowych stolikach knajp urządzonych geometrycznie i oświetlonych niebiesko. Wstępują tam pośrodku swojej wyprawy, aby jeszcze nazreć się nocy. Później na dworzec po ciepłe jedzenie. Dookoła ogłupiałe komary i okrzyki szczęścia chłopców, wielu chłopców, ale z daleka, daleka. Następnego dnia Pat rzyga do miski, w której mama robi pranie drogich swetrów. Co następuje: zapiekanka z dworca, pestki słonecznika, sok pomarańczowy oraz wódka, która wydaje się zmieszana z każdym składnikiem. Przesiąkła wszystko: gardło, migdałki, język, wargi. Również owoce z drinków, państwo nie czują zapachu, więc proszę się tak nie krzywić. Jest sierpień i Pat od dwóch tygodni jest kelnerką w Londynie, robi sobie zdjęcia, kupuje torebki i jest taka szczęśliwa, taka szczęśliwa i energiczna, aż chce się wyć. Zwiedza troszeczkę i wcale nie

potrzebuje tych pieniędzy, które zarabia, chyba że na jakieś sukienki, taka radosna. Juliusz Kwiatek dzwoni do niej i akurat Pat nie może odebrać, ponieważ jest w pracy, ponieważ jest w pracy cały dzień, taka szczęśliwa. Chociaż zmęczona, oczywiście, lecz co tam. Pat oddzwania, siedząc dwa dni później na ławeczce, z colą w rączce, za plecami ma park, no tak, czemu ma nie być radosna. Juliusz odbiera natychmiast: no co jest? Pat jest zdziwiona. A nic. Juliusz chciał tylko zapytać, czy Pat przypadkiem nie jest w ciąży. To miło z twojej strony, spoko, ale nie. Nie mogę teraz rozmawiać. Pat myśli sobie, że było to pytanie bardzo śmieszne, ale nie ma komu o tym opowiedzieć (jak i o tym, że jest taka, no właśnie, radosna).

*

Na archipelagach apartamentów mieszkają jaśni ludzie, którzy rozpoczęli właśnie układanie sobie życia i teraz pracowicie obtaczają swoje zwinne ciała w np. kaszmirowe szale, i są zachwyceni. Można tam też spotkać tych, którzy całe życie rozkładają delikatne ręce, a dookoła sama słodycz, państwa mdli? Od dawien przebierają w miejscu nóżkami, wetknięci w miąższ rolady, że tylko zagarniać garściami i pakować w usta, pozwólcie sobie państwo przedstawić, całkiem miło było poznać, Nowy Jork jest przecież przereklamowany, wnieśmy toast, czy pani Sonia robi depilację brazylijską, no i z jakiego materiału jest twoja sukienka, bo w dotyku to taka żorżetka. Bowiem mieszkańcy archipelagów, gdzie nie spojrzą, widzą dostępność, więc ją sobie biorą, chyba że zawirusowało im system. Są zdziwieni i zniesmaczeni, kiedy oko ześlizgnie się im w rejony zamkniętej tektury, wytoczonego z tramwaju śmierzącego łacha, żółci i gówna. Ale to zdziwienie jest głodem, który zaspokoją, aż nie będzie go czuć. Czemu nie szparagi, dawno nie jedliśmy. W restauracji ładnie i nie jest (nawet) drogo, nie. Jak

na obiad. Kieliszki i masywne sztucce, szminka nie zsycha się w pęknięciach warg, oczy nie nabiegają krwią, jak państwu smakowało? W tych restauracjach Miasto jest wyciszone dzięki grubym, wielkim szybom, a więc staje się tylko własną okładką. Mieszkańcy za to spożywają, rozkrajając i uprawiając rozmowę (po czym nie zostaje ślad). Raz, dwa, ukłoń się państwu, tłuste Miasto, ukłoń się umytą szyją. A kelnerzy są „tak” mili i jeżeli są mili, to kochają to, co robią. Następnie: jeżeli klienci się do nich uśmiechną, to kelnerzy w niejeden słoneczny dzień wspomną klientów wzruszeni tym wszystkim potąd. Te proste implikacje podstawiane są też przez jasnych mieszkańców do codzienności. A życie jest im dobre, ponieważ skończy się na wieczność. Chociaż tyle. Śmierć jest dla nich koniecznością zakupów i inwestowania, również na przyszłość. Bardziej opłaca się kupić większy grobowiec i wszyscy się tam razem położyć. Jeżeli ich nie spalą, ale to jeszcze długo, zastanowią się kiedy indziej, np. podczas weekendu. „Urna to jednak jest malutka, jakby jej nie było, a ja np. jestem dość spory”. Zanim umrą, pojedą jednak na wakacje, gdzie będą robić zdjęcia, kochać się, opalać i jeść, drinki są w cenie. Wszystko to w miejscach, które są jedyne na świecie, i w związku z tym najpiękniejsze. Nie to co Miasto. Ze zdjęć z wakacji uśmiechają się więc mieszkańcy archipelagów do Całej Reszty, ukazując fragment swojej niezapomnianej pamięci, która jest spocona i topless. Lecz jest to ich pamięć, a Cała Reszta może chcieć takiej samej lub lepszej, lecz za gorszą dziękują. Oto pamięć staje się tu, na zdjęciach, gdzie Całej Reszty nie ma, i jest to pamięć dobra. „Polecam wam, kochani, Singapur, nie jest drogo, a jest tanio”. Mieszkańcy archipelagów posiadają kufry przyjemnych wyborów, z których korzystają, wiodąc swoje życia w przyszłość. I są te kufry lekkie, choć pełne. Całe szczęście, oferta wypełniaczy wolnego czasu jest przebogata. Tak więc dokonują wyboru

między seksem (umazanym żelem pobudzającym, który kupili z marzeniami o sobie samych) a zakupami w Delikatesach, gdyż tam jest taka dobra sałata. „Chcę” jest słowem dnia mieszkańców archipelagów. „Chcę” jest jak gruby słodki wafel, który wypełniają miazgą, a następnie: którym wypełniają usta. „I czy urna z mamusią ma mieć specjalne miejsce w apartamencie? Koło łóżka? Wolałabym kochanie, żeby tak, bo to moja mamusia, choć może ona wolałaby stać w oknie z widokiem”. Mieszkańcy archipelagów mają również receptę na wszystko, i w związku z tym: zawsze. Jeżeli nad czymś pracują, to: uda się. Najwyżej się przekwalifikują, wezmą kredyt lub zjedzą croissanta. Nie istnieje wytrzymałość, ponieważ mogłaby mieć granice, lecz jeżeli poczują się źle: jadą nad morze i im przechodzi, kup sobie kolczyki, darling, zwykli mawiać w chwilach napięcia. Świat nie jest taki zły, a wręcz jest bosko, jak sądzą, ponieważ pech jest tylko w wyobraźni i złym nastawieniu. Mieszkańcy archipelagów wierzą, że pech przychodzi tylko, jeżeli zostanie wywołany niemiłym tonem w rozmowie lub zaniedbanymi stopami. Starają się więc o nim nie myśleć i go nie kusić, a w zamian marzyć o czymś przyjemnym, np. nowej komodzie. I chodzą na tę jogę. Mieszkańcy archipelagów są w dodatku skłonni radzić takie postępowanie każdemu, kto się nawinie. Musisz jedynie zmienić pracę, na taką za siedem tysięcy na rękę. Bo to jest taka minimalna stawka (westchnięcie), za którą można godnie żyć, żeby w ogóle był sens, wtedy się można poświęcić dla firmy. Ale też bez przesady, przecież jesteśmy (tylko) ludźmi. Pat wyrywa się z dłoni Karola, co gwarantuje jej rozległą plamę pękniętych naczyń krwionośnych. (Pablo nie zrobił mi nic złego, a wręcz był miły, nawet jeżeli przytrzymał, przydeptał włosy albo zatykał nos i usta). Karol jest mniej delikatny. Pat wyrywa się z jego dłoni, ale on przetrzymuje ją w roli, aż się uspokaja i tylko piszczy, nie

rozprasza się, maleńka. Mocniej. Dłonie Karola są większe niż głowa Pat, Pat patrzy w zapadający się i wydymający brzuch Karola, ale musi złapać oddech. O czym myślałaś? Karol jest ciekaw oraz szuka zapalniczki, ponieważ zgasił już na Pat ich wspólnego papierosa, żeby sprawdzić, czy może. A jeszcze by zapalił. Nawet się nie wyciera. Karol nabiera sił, poczuł zapach ciasta. Jego palce nie mieszczą się w pępku Pat, więc ostrzem szczyryka wyciąga okruszki i bawi go to (oklaski). Pat podnosi się na łokciach, psuje wszystko i wygląda przez okno, podczas gdy Karol wybucha gniewem i gaśnie. Potem na palec zbiera z jej skóry okruszki, a w szybę uderzają kable od internetu. Pat zna Karola od dziesięciu lat i czas to już skoczyć, ponieważ nawet on jest zmęczony, w końcu użył całej swojej wyobraźni. Teraz można jeszcze objąć się na golasa (na co jednak nikt nie ma ochoty), a następnie: wyprać pościel we wrzątku, otrzepując dłonie z proszku o podwójnej sile działania. Oraz należy przygotować Pokój Drugi. Pat podnosi się z ciepłej pościeli i nachyla nad ogoloną głową Karola, który jest szczęśliwy.

*

Oto Pat i Karol pod światłami reflektorów, a państwo nie wiedzą, o co chodzi. Każdy z państwa chce przecież przede wszystkim gryza tej historii, takiego konkretnego, lecz chcą też państwo sobie pomarzyć. Zgadywanki i zagadki są ekscytujące szczególnie, szczególnie kiedy rozwiązanie jest zapewnione, ponieważ istnieją kolejne sezony, o czym zostali państwo zapewnieni już na początku. Ten serial nie skończy się końcem, lecz dalszym ciągiem, a śmierć tylko wzmacnia ciarki, chęci i apetyt. Więc w ramach zabawy państwo nie wiedzą, co będzie dalej lub wiedzą tylko w kawałku, albo też są państwo wprowadzani w błąd — ostatnia z tych zagrywek jest państwa ulubioną. Jednak może się państwo stęsknili za Pat troszkę, czyż nie? Dość więc. Niech się ta cała

Pat uspokoi, przecież państwo też mają swój strach, a on wcale nie jest lepszy, jest sto razy gorszy, z pewnością, no tak. Ale dają sobie państwo z nim radę: twardą ręką. Powinszować. Mama Droga ma w zanadrzu solidny doktorat i chyba już nic więcej nie chce, a przynajmniej teraz oraz od dawna. Głaszcze Pat po głowie przed podróżami Pat, trochę popłacze na lotnisku, zapyta, czy Pat wzięła ładowarkę i: kiedy będziesz na miejscu, dziecinko? To do ciebie zadzwonię. A Pat może pławić się w swoim „nic mnie to nie obchodzi i daj spokój”. Należałoby chyba ją w tym stanie utopić w formalinie, żeby już na zawsze pozostała spokojna i durna. Nie posiada żadnych myśli, no chyba że opinie. Ma za to komplet zmysłów i ręczników. Oto dwadzieścia pięć lat Pat złożonych z materiałów i sentencji, smsów od mamusi, „tata cię pozdrawia”, koralików na szyi, piosenek, walizek, książek na drogę, džinsów, pustych pamiętników z zapisaną pierwszą stroną, opalenizny pod jasnymi włoskami na rękach, „ależ wspaniała córka! ”. Niech państwo jednak nie myślą o Pat całkiem źle, ona przecież wiele potrafi, np. pracować. Na studiach podczas wszystkich wakacji jeździła w końcu zmywać lub podawać w Londynie tylko po to, żeby później wydawać wszystko na ubrania i snowboard. Ma więc pewność, że jest dobrą córką, wręcz roześmianą, zaradną i troszkę rozpieszczoną, no dobrze, czemu ma nie być rozpieszczona, skoro może sobie na to pozwolić. Wszyscy są z niej dumni, a przecież jest też inteligentna, należy to dodać. Studiuje i idzie jej to świetnie. Rodzina często boi się o pomyślność i zdrowie Pat w tej ciężkiej pracy wśród obcych ludzi, na którą się Pat zdecydowała, a przecież nie musi! Jaka samodzielna! I cieszy się rodzina z obiadem, kiedy Pat wraca. Pat pokazuje wtedy w aparacie cyfrowym miejsca, których oni nigdy nie widzieli lub tylko w internecie, a ona tam była, była i wróciła. I Pat jest tak bogata w doświadczenia, że trudno nie być z niej

dumnym. Rodzina zasypia więc z uśmiechem i śpi w ten sposób jak zabita. A po studiach ma Pat nadal dobrze się zapowiadać, lecz robi zupełnie inne rzeczy. Oprócz tego dotykają jej przeróżni chłopcy, którzy mają ładne ciała i spore łydki, na ogół. Każdy z tych chłopców zamyka w ciepłych rączkach kilka chwyconych, przeżutych, a następnie wyplutych gryzów ubiegłego już czasu i sobie idzie, a Pat może mu pomacha rączką. I zazwyczaj pora roku nie ma znaczenia, a co dopiero kolor włosów. Następnie pojawia się wrażenie (którego Pat jest pewna jak siebie), że te kawałki czasu zamieniają się w rękach chłopców w złote pieniążki, a ona staje się lżejsza o ciężar tych pieniążków, bardziej i bardziej. Wszak chłopcy mają Pat coraz więcej dla siebie, każdy chociaż po trochu, a liczba chłopców też rośnie. Lecz część zarobionych funtów włożyła sobie na konto i ma.

*

Pamięć natomiast otwiera swoje zbiory, wstęp do niej wolny. Ale bał! Szaleje na szpilkach i co chwila znika za rogiem z chętnymi jej mokrych bioder i słodkich dołeczków, Miasto chowa w sobie nieprzebrane bogactwa mieszkańców, którym do szczęścia brakuje wszystkiego, więc niech chociaż sobie chwycą udko kobiety nazywanej pamięcią. Pamięć jest niczyja i ma wielki pałac oraz musi umyć ręce. Lecz każdy może w niej pogmerać, tkliwsi rozpoczynają od łaskotek. Kawałki jej ciała lecą z rąk do rąk, a wokół świszczą rozrzucone kartki scenariuszy lub stare rachunki, wszystko ma z nią przecież wiele wspólnego, zwłaszcza śmieci. Mieszkańcy i tak robią swoje po cichu, plotki, ploteczki. Goście tego balu żrą koreczki, ukrojone mięsa polano keczupem. Może państwu dołąć? Karol pamięta Pat tak źle, jak tylko potrafi, i wychodzi mu to: nieźle, skoro aż ma ochotę Pat spruć, plamę dobrze namydl i trzyj. Lecz jest Karol w doskonałym nastroju teraz i chce mu się spać, więc pomyśli o tym później. Nawet mu się nie chce wytrzeć, najwyżej zaschnie. Pat wpuściła Karola tylko po to, żeby wyszarpał resztki po Pablo, zatarł ślady. Kiedy to zrobi, Pablo wyblaknie. Pablo może przecież stać się miłym wspomnieniem w obliczu zwycięstwa jakiegokolwiek innego chłopca nad ciałem Pat. Oto wraca pod pachę Karola słaba i mokra Pat. Złóż mnie znów w zabawkę, Karol, proszę, lecz krzywo mnie złóż, kochanie, i odegraj się. Pat łaskocze Karola pod brodą, a on mruczy. Odegraj się za złe wspomnienia i dobre wspomnienia (najgorsze), które zdołałam w tobie upleść i zdążyłam też podpalić, przecież wiem, że jak się pali włosy, to śmierdzi. Pat przywołała ku sobie (i ku radości państwa) skrzywdzonego chłopca i roztoczyła przed nim eleganckim ruchem rączki możliwości zabawy. Będzie, jak chcesz, zobacz, jaka się zrobiłam brzydka, teraz mi robisz łaskę, że mnie chcesz. Oto moje soki,

oto moje zakamarki. Więc mnie wykończ, resztkę w butelce, podaję ci się, jak chcesz. Może zawleciesz mnie (opcja: za włosy) do dowolnego pokoju i złamiesz rękę? Wiem, że nie chciałbyś, ale z chęcią. Wylej na mnie zimną wodę i wepchnij do ust ten breloczek, który mi przyniosłeś, lub gdzie tam chcesz. Na ciele Pat dzieje się wiele i czarno na białym. Wszystko spływa na podłogę, a Karol wstaje, ponieważ musi już wstać, i zapina na sobie ubrania (muszę iść). Nerwowo jednak popatruje na Pat, czy nie ma się czego bać. Twarz Pat pozostawia za to wiele do życzenia i trudno pod nazwą „twarz” ją rozpoznać. Lecz nie jest konieczne spojrzenie na buzię, skoro inne partie mięsa są wciąż różowe, a w każdym razie mają dla Karola propozycje, z czego Karol zdaje sobie sprawę (naprawdę więcej nie mogę, zaraz pękne). Pat jest jednak na tyle silna, że podnosi się na łokciach, a następnie na nogi, i towarzyszy Karolowi do drzwi. Nawet się uśmiecha, niemniej uśmiech ten wygląda jak korytarzyk wydłubany w budyniu, całe szczęście Pat schyla głowę. Karol jest zaniepokojony, że przy pożegnaniu należałoby dać całuska. W przedpokoju Pat jednak wygląda przez wizjer i udaje, że jest tym zajęta oraz staniem. To miło z jej strony, że nie ma oczekiwań. Na zewnątrz okazuje się zimną nocą. Karol zapina więc na sobie ubrania, po kolei każdą warstwę. Nosi kurtki na suwak, bluzy na suwak i spodnie na suwak, i jest to wszystko bardzo szczelne.

Karol Złoty

Karol zamontował w drzwiach swojego pokoiku w Brighton łańcuch, ponieważ boi się tu spać. Na co dzień nosi kartony z samochodu i do samochodu, co go jednak „nie satysfakcjonuje”. Właśnie dzwoni do niego z kraju oszczędna Matka Złota, co nie jest normalne, ona nigdy nie

dzwoni, a więc ze strachu Karol nie odbiera. Telefon wreszcie cichnie, a w Karolu wykręca się pełna brudnej wody szmata i kapie. Nie przeszkadza mu to jednak dokręcać śruby przy hamulcach pięknego roweru. Zanim Karol oddzwoni do Mamy Żłotej, odkurzy w pokoju drzazgi, żeby mu nic nie weszło w stopę. No i się wykąpie z brudu, który spłynął z niego aż po skarpety. Całe szczęście, że mnie przy tym nie było, myśli Karol pod prysznicem, a zasłona lgnie do niego, co jest już wstrętne. Nie poznał jeszcze wieści od Matki Żłotej, ale one nie mogą zbyt różnić się od przeczuć, które w końcu musiały wziąć, co im się należało. Ojciec Żłoty przecież od dawna choruje, a Matka Żłota od zawsze nie dzwoni. Nie dziwi więc Karola zupełnie, kiedy godzinę później Żłota wyje do słuchawki, wyszarpując z siebie oddech, ponieważ Ojciec Żłoty umarł. Karol się za to wykąpał i wytarł (a także zaraz ogoli głowę). Za dwa dni również, co następuje: wróci do domu, na chwileczkę, pełen ołowiu i zacięty. A dłonie od dawna ma spękane, przez ten zimny wilgotny wiatr. Karol wynajmuje w Brighton dziewięciometrowy pokój, lecz miejsce jest całkiem spoko, co mógłby jednak powiedzieć w tej sytuacji. Jest połowa października i Karol pakuje swoje ubrania do sportowej torby, a rogi koszulek kłują, taki to ma właśnie porządeczek, mili państwo, mały żołnierz. Żelazko Karol ciasno owiązuje kablem i chowa do szafki, a cisza przesuwana się przez pokój i zostawia za sobą ślad. Karol wykonuje starannie swój powrót do domu na jakiś czas, dostał też mejla z zaproszeniem od Pat. Ma sporo do załatwienia zupełnie sam, bo Matka Żłota zwariowała do reszty w związku z życiem, podobnie jak i ze śmiercią, Ojca Żłotego. Dziewczyny z realistyki (siedemdziesiąt dwie) kotłują się w piramidach schodów, zajądają słowa, mlaszczą, klekocze ich śmiech, pupy skrzypią na drewnianych ławkach i podłogach. Zostawiają za sobą odciski szminek lub błoto, nikt nie wie, czy się czeszą co dzień. A

chłopcy (dwunastu) są skręcani z tytoniu, starych trampek i spodni o niewiadomym kroju (chyba że proste, wełniane i w kant). Zamsz zawsze jest zauważony, żeby to było jasne, i przyjemnie skomentowany. Oprócz tego: wełniane torby lub z ekoskóry, paski ze skóry bydlęcej (z ciuchlandu) i plisowane spódnice oraz rajstopy przeróżne, kolorowe kolanka. Czeszki, czemu nie, lecz nigdy biały džins. Od czwartego roku studiów również gdzieś bluzki z mankietem na maleńki guziczek i czerwona szminka utrzymywana na wargach gładko i z pełną świadomością i powagą. Dzieciństwo łamane przez dorosłość panuje tam wciąż miłosiernie, a więc huśtawki, w kwiaty i chodźmy na kawę, na spodeczku, na mleczku, obniżka, kocie języczki, dwa w jednym, moja droga. Oraz inne rozrywki, w tym: teatr, czasopismo, promocja książki i lakier do paznokci. Niektóre z panien chowają do torebek kawiarniany cukier w papierowych tutkach (nie kupuję cukru, a się przyda na mieszkaniu). A ich grzywki bywają nieznośne na wietrze, wśród grzywek zmrużone oczy też. Chłopcy wydają się za to przede wszystkim wyprostowani. Jednak trzeba zauważyć, że ich szaliki pachną parkiem, wodą po goleniu i obiadem. I od nowa, i od nowa omawiają te dziewczęta i ci chłopcy następujące zagadnienia: konferencja realistyczna, sympozjum, koncert i chłanie w czwartek. Wciąż któreś z nich musi przygotować referat, i mamy dość, mamy dość. Lecz ta osoba pisała referat rano, czy ją dobrze słyhać, pisała rano i napisała, no proszę. Ślinka zostaje na plastikowych kubkach po kawie, w piance na ściankach. Studenci i studentki ślizgają dłońmi po poręczach w instytucie i mają wystarczająco dużo zdań na każdy temat, i są pewni. Długo nie pozbędą się tej sytości. Pat myje ręce w małej łazience na parterze Wydziału Realistyki: długo. Następnie: kremuje i stara się nimi nie dotykać barierek i klamek. Nazwiska studentów i studentek są

powiązane z kimś lub niepodobne do niczego. Zostawiają na te nazwiska notatki, w kserze, koszulkach, folijkach, teczkach, posiadają też ołówki + zakreślacze. Hura! Lecz mazanie po książkach jest surowo wzbronione. Pat przychodzi do domu z ulepkami ich słów w gardle i spluwa nimi przez okno, na Miasto, chichocząc przy tym jak szalona, choć w ukryciu, w kucki przy parapecie. Ale czasem nie ma dobrego humoru i ściska skronie, żeby rozluźnić hałas buchającego tuszem i błyskiem Miasta, któremu papier wciąż się nie kończy i które zaczyna się właśnie przy oknie. Na tym papierze metry słów, które, jak już powiedziano, zawsze są nieznośne. Oto Pat wysłuchuje rozmów o nazwiskach i ludziach w nich umieszczonych, choć studiuje realistykę, co wszystkich dziwi. Spodziewała się po tych studiach jednak czegoś innego: a kto nie? Podśluchuje i uśmiecha się do siebie bardzo po kryjomu. Zwykle dopiero w łazience uniwersyteckiej uśmiecha się szeroko i próbuje odnaleźć w gładkich drzwiach kabiny swój kontur/cień, żeby się trochę poprzytulać. Dotychczas nigdy jej nie przyłapano. Wychodzi z zajęć dziesięć minut przed zakończeniem i udaje jej się zdążyć odjechać autobusem bez znajomych i zastanawia się, patrząc pod nogi, czy te zdania podsłuchiwane w czasie wykładu, czy zmienią się kiedyś w lepkie owoce wspomnień. Czy przyszłość uszykuje z nich deser wyśmienitej nostalgii na spodeczku, na mleczku, kocie języczki. Następnie Pat jedzie autobusem w inną część Miasta i raz po raz zbiera jej się na płacz, lecz mamusia ugotowała pomidorówkę: zjedz, bo zmarzłaś. Pełna domu i troski, leży więc Pat po obiedzie i na kanapie. A w ustach ma mnóstwo czasu, który połyka, lecz po kryjomu, gdyż np. czyta właśnie książkę. I tylko niekiedy słyszy nawoływanie swojego imienia z za okna, lecz wie, że to nieprawda i że nic się nie dzieje, nic się nie dzieje, spokój i rodzice, nic się nie dzieje, ewentualnie tabletki. Choć może przyszłość hojnie obciąży

cukrem ten czas, kiedy on wreszcie minie i Pat będzie go miała za sobą? Raczej się tak nie stanie, dziecinko, ale zawsze można porozmyślać. Czego czasami dopuszcza się Pat, ukrywając się pod kołdrą i licząc oddechy. Ale myśli mrowią i wciąż myli się Pat cyfra.

*

I było super na studiach, pomyśli Pat za jakiś czas, kiedy będzie już ściskać dziecko i mieć za ramieniem męża w koszuli po twarz, a fotograf zrobi im zdjęcie, ponieważ tak właśnie wyglądają zdjęcia (co państwa cieszy, że aż strach). Lecz może przyszłość te złe wspomnienia obtoczy w polewie i Pat zapomni, że np. teraz wciąż widzi siebie biegnącą lub siedzącą na przystanku obok lub wręcz naprzeciwko. Lecz po co myśleć o tzw. przyszłości, skoro się jeszcze się nie pojawiła (choć potwierdziła rezerwację). Po co marzyć i planować, skoro Pat, jak państwu wiadomo, nadal pamięta sporo szczegółów. Stoją przed Pat otworem dwie: przeszłość z pamięcią, i trzeba by przede wszystkim zamknąć oba skrzydła tych drzwi, bo tędy właśnie ucieka najwięcej ciepła. Teraz jednak państwo patrzą na Pat, która przecież nie zamierza pozwolić Karolowi wynieść z Mieszkania żadnej informacji, a już zwłaszcza tych dotyczących jej samej. Pat ma oczywiście zmienne nastroje, ale ma również godność. Miasto nie dostanie nic więcej z kotła pamięci Pat, mimo że bije sztućcami o stół, aż trzeba zatykać uszy. Lecz widelczyk do ciasta się przyda. W tym momencie problemem jest jedynie umieszczenie tego gdzieś i dokończenie, ponieważ sporo się wciąż rusza i rytmicznie, a przez to więcej brudzi. Pokój Drugi byłby w sam raz, gdyż jest biały i dużo w nim metalu, a jak już wiadomo, Karol lubi takie aranżacje. Pat z radością otrzepuje dłonie, ale nie ma się komu pochwalić, gdyż państwo są szczerze wstrząśnięci. Jednak państwo nie powinni sądzić Pat zbyt surowo. Gdyby nie ten widelczyk do ciasta, który oczywiście drży w

tchawicy, i „to jest takie obrzydliwe”, byłoby nudno. Niemniej Pat jest lżej, mimo że Karol utył na pizzy z mrożonek i hot dogach ze stacji benzynowych, a i mięśni nabrał od noszenia pudeł. Teraz leży i jest ciepły, Pat bierze jego ciało w palce, w dłonie, wciąż może się nim ogrzać. Napręża ramiona i ugina nogi, a jej palce zimne i blade zaciskają chwyt. Ciągnie chłopca w kierunku Pokoju Drugiego, a Karol posłusznie szura za nią butami.

*

No ale! — odzywają się wrażliwsi spośród państwa (i dobrze im tak). Jak tak można, zwyrodniała, zwyrodniała Pat! Oto bronią państwo uczuć, czy może: praw. Jednak uczucia nie mają miejsca w ciele, takie procesy tam nie zachodzą, być może osmoza i krwotok, na to się można zgodzić, one są i nawet można z nich czerpać korzyści lub ponieść straty. Państwo natomiast mają sporo tzw. wrażliwości i jej użyją. Niektórym z państwa robi się w związku z tym np. niedobrze, zwłaszcza że Karolowi trzepoczą powieki. Alabastrowy Damian, rudy piękny humanista z roku (o wysokich tonach sarkazmu lecz uwielbiający baśnie Pixara), mówi do Pat, tknięty przypadkową integracją na imprezie „jesteś dla mnie enigmą, największą enigmą na studiach”. Ma w dodatku niebieskie oczy, więc Pat nie może dłużej się „integrować”, ucieka więc Pat, a za jej plecami zostaje jej śmiech, który w ogóle lubi w Pat wybuchać niespodziewanie. Alabastrowy Damian jest natomiast zmieszany, wyśmiany, lecz ma na tej imprezie wielu innych znajomych, takich lepszych, przynajmniej na to wygląda. Poza tym Pat chce zestrzelić każdą swoją głowę, która obraca się w jej kierunku i zewsząd. Poza tym chce związać swoje ręce, które (nie można tego dłużej ukrywać) wydłużają się niebezpiecznie, zwisają z sufitów i delikatnie dotykają jej włosów. Jeżeli oczywiście akurat nie wiją się wzdłuż poręczy. Alabastrowy Damian na wspomnienie Pat prychnie i

zaraz wybucha śmiechem, który jest podrabiany (lecz też mocno uwiązany i nie puszcza). W czasie kiedy Alabastrowy śmieje się, śmieje, następuje w nim również szereg procesów służących opanowaniu wstydu z powodu: wyśmianie przez Pat. Alabastrowy jest teraz bowiem elegancki i kapryśny (to mu akurat przejdzie, czego się nie spodziewa). Tak, powiedziałem, o enigmaty, ale teraz zmieniłem zdanie, a poza tym byłem pijany i młodszy. Pat jest przecież idiotką, takie jest moje spojrzenie na tę sprawę, i Alabastrowy wydyma wargi: ależ. W dodatku nieśmieszna idiotką: ależ. Ależ on, Damian Alabastrowy, zaczytuje się w literaturze angielskiej, wszak. I wystarczy tego dobrego. On sam jest zaś milczący i wyrafinowany w sobie oraz gdziekolwiek. Warg przy tym nie musi już bardziej wydymać, bo już się z takimi urodził. Wie też, że prędzej czy później on państwa wszystkich przerośnie, zobaczycie sami. Tymczasem by sobie zapalił, bo jak nie, to chyba umrze. A kamery zbliżają się do niego i zbliżają, gdyż sądzą, że ma coś do powiedzenia. Pat kiepsko znosi siebie, Alabastrowego i innych z roku. Dni Otwarte tym bardziej, oraz wspólny apel „studentów Uniwersytetu Miejskiego”. „Inicjatywy” i darmowe wejścia do muzeum tkactwa, jeżeli uzbiera się dwudziestu studentów, również. Pat i tego ma dosyć. Jakimś rozwiązaniem jest ściszenie, więc upija się barkiem rodziców, a później przynosi zwolnienia lekarskie, w których daty wydrapuje żyłkę, żeby dowolnie poszerzać ich zakres. Jak wielkie są jej problemy, tej Pat.

*

Oprócz mieszkańców spokojnych archipelagów jest jeszcze Cała Reszta Miasta i jest ona przebogata. Największa część Całej Reszty nie kupuje gazet, gdyż żal jej pieniędzy, z którymi się liczy, miesięcznie i codziennie. Oraz jeździ autobusami. Niektórzy z całej Reszty, aby zaoszczędzić na biletach, te skasowane rozkładają na parapetach

mieszkań i naświetlają je południowym słońcem, aby tusz wyblakł, dając szansę zaoszczędzenia kilku monet. Cała Reszta mieszkańców Miasta obserwuje się nawzajem i widzi różnice, i to nawet wielkie, a hierarchia pozycji wewnątrz Całej Reszty jest bałaganem. W skład Całej Reszty wchodzi np. schludne studentki, które już drugi rok dbają o swoje chińskie płaszcze zimowe, żeby tylko nie wyglądać biednie. Kupiły sobie wałek do zbierania zmechaceń i używają go na tych płaszczykach codziennie rano, a następnie idą w tym płaszczyku, wyprostowane i na przystanek. I dobierają kolorystycznie torebkę do butów, przecież są dorosłe i pokonają innych w walce o stypendium naukowe. Wtedy wreszcie kupią kozaki przez internet, już sobie wypatrzyły i obserwują tę aukcję, czujne i czyhające. W skład Całej Reszty wchodzi również mieszkańcy jadący rano na targ, żeby kupić przemycone papierosy i tańszy cukier lub mieszkańcy sprzedawcy: wracający z bazarku o osiemnastej, z pełnymi torbami, które dźwięczą i szeleszczą. Są oni zwykle starzy i o brudnych rękach lub przeczyści, ale pomarszczeni jakby od szczotki i mydła, którymi prawdopodobnie trą, aż zedrą wszelki zapach, który mógłby zdradzić ich obecność. Latem do tej grupy dołączają podróżujące autobusami staruszki, które ściskają w drobnych palcach usychające wieczorem kwiateczki. Każdy bukietek przewiązany jest zaoszczędzoną jeszcze z Bożego Narodzenia cienką czerwoną wstążką lub (w wypadku braku takiej) łydźki ścisnąć można jedną z setek gumek recepturek, które staruszki gromadzą w pojemniczkach po margarynie. Zwłaszcza że Karolowi Złotemu trzepoczą powieki, a pod spodem gołe białka, no i trochę charczy. Lecz spokojnie. Pat, nie denerwuj się, Karol nie dosięga podziurawioną ręką do widelczyka w gardle, nie odkorkuje więc tętnicy, biedaczek. Pat nie ma zresztą tyłu ścierek. Za to widelczyk w jego szyi podskakuje jak szalony i rzuca

zajaczki na ściany. Pat pakuje Złotego pod stertę szmat i gazet w Pokoju Drugim i jest to atrakcyjny element tego widowiska. Wszystko się przyda, również jej włosy, które prędziutko obcina, żeby upchnąć tu i ówdzie, przynajmniej na jakiś czas. Ponieważ dopóki nie nadpełzną kamery, należy okryć Karola jak gdyby nigdy nic. Wysypuje również resztki komputera, które trzymała specjalnie dla tego chłopca. Później usypie mu godny stos z jego ulubionych bogactw, np. ładnych spodni. Swoją drogą, Pat nie jest pewna, czy kamery nie szumią gdzieś nieopodal, za jej plecami, już od dwóch miesięcy pracują bez przerwy. Jednak dzwonienie, które rozlega się dookoła od kilku minut, wpływa przecież nawet na wzrok, a co dopiero mówić o uszach. Być może to poranna msza w mieście daje głos, albo i nie. Albo tym razem to w głowie Pat coś wybuchło, i teraz dzwoni, i się kołysze. Nawet rozmasowanie nic nie daje: dzwoni. Masując skronie, tylko się Pat pobrudziła, lepi się. Wszystkie te brudy pochodzą z Karola, który nie może przestać ciec. Pat zapycha więc źródła szmatkami i ukrywa Karola, który ma teraz dość nieprzenikniony wyraz twarzy, lekko jest nawet uśmiechnięty, w każdym razie: niepoważny. Pat zamiera ostrożnie na chwileczkę, żeby nikt nie zauważył, lecz z pewnością zatrzymuje i wzrok, i oddech. Widelczyk, który jednak nie przydał się do ciasta, łśni i uspokaja swoje drżenie, a w jego trzonku: co państwo tu widzą? A w jego trzonku odbija się twarz Pat. Pat nieruchomieje, wystraszona, maleństwo. Czuje zapach, który zostawiła na Karolu. Przysuwa się więc do niego, wciąż nie odrywając oczu od widelczyka, powoli i wściekła. Czuje siebie na jego skórze. Wącha jego szyję, która paruje, oddając ostatnie ciepło. A więc Pat zrobiła wszystko, co w jej mocy, a i tak nie odebrała swojej własności. Pablo był wręcz miły, myśli Pat, zerkając na Karola, który jest spokojny i się nie odzywa oraz prawdopodobnie wreszcie czuje się w pełni zadowolony i

nic go nie boli. Pablo okazuje się przemiłą dekoracją wobec tego ciekącego Karola, Pablo np. był pięknie ubrany. Miał ciemne palce i mieszał nimi wódkę w skaleczonych ustach Pat. Wódkę i swoją ślinę, lecz robił to delikatnie.

*

Państwo właśnie korzystają ze swojej wrażliwości, aż majadość. Następnie (do kwadransa) nie będą państwo w stanie czegokolwiek przełknąć. I spokój linii warg wkrótce zostanie zmacony, ponieważ zamkną państwo wreszcie pretensje w ustach. Co wszystkich uspokaja. Więc nie przejmujcie się, mili państwo, brakiem tzw. uczuć w Pat. Są one przecież na obrazeczkach drukowanych tu i ówdzie, to sobie pooglądajcie, jak wam mało. Przyjmą państwo sobie te uczucia, ukołyszają je, a niech tam, są wszak oferowane w wielu rozmiarach i miejscach. Za pewną opłatą można uczucia przecież mieć w garści. Wystarczy, że pójdą państwo do kina, kupią książki lub cokolwiek, czego państwo nie zjedzą. Wszędzie w tych przedmiotach i usługach państwa ulubione uczucia i komfort. Łaskawie goszczeni państwo są w ich paszczach, co za bogactwo języka, czemu nie. Można sobie czuć do woli. Słowa mają fakturę głosu, a drobinki liter — kolor. Gilgoczą państwa! Biorą więc państwo po trochu z każdego uczucia, na spróbowanie. Wielce przyjazne są państwu również wielkie skupiska słów i wełniane fabuły, gdzie uczuciom jest ciepłutko. Są one w sam raz dla marzeń o istnieniu konstrukcji, praw i uczuć, a także nieruchomości nieruchomości. Gęste historie istnieją, państwo przecież sobie kupili taką jedną, a na dodatek wcale nie są takie drogie. Grube ich tomy życzą państwu udanej podróży. Pat wybiera się z dziewczynami z realistyki (Janka, Beata) upić się nad rzekę. Kupują tzw. lepsze wino i trzy. Płacą stówą i w tym papierosy i piwo, a więc jak widać: bez przesady. Przenoszą to wszystko w

reklamówce trzysta metrów dalej. Następnie: upijają się piwem, które wyjmują z torebek, i gryzą chałkę. Później: wyciągają korki z szyjek (lecz po kolei i ostrożnie). Doprawdy, nic się nie dzieje, światło już dawno wygarnęło śnieg, być może nawet zapadną tu w krótki sen. Koniec marca rozmarza wiosną i wyrasta dookoła pierwsza brudna trawa. Powietrze wciąż się szkli, a ziemia jest chłodna, lecz okazują się dziewczęta nie na miejscu, i to je wybudza. Gdyż na ławki wpełzają właśnie diabły o chudych nogach, bluzy w kratkę i torby na ramię, jak najbardziej trzynastcie lat. A ich czerń pięknie ściąga okoliczne słońce (tenisówki są białe). Oprócz tego: błyszczące czarne grzywki, frotki, Dziewczyny dość wysokie, a Chłopcy całkiem mali i zamknięci w swoich ciałkach. Chłopcy potrafią jednak splunąć gęstą śliną, ot co. Dziewczęta malują kwiatki i kości długopisami: na rękach, na policzkach (tam raczej napisy), trochę rzygają po dwóch godzinach, a ich chichot wypełnia plastikowe butelki, zgniatane w końcu: skokiem w huk! Dookoła Pat, Janki i Beaty, które mogą tylko w tej sytuacji udawać dziewczęta, wybuchają więc śmieszki i bełkot. Tamte Świeże Dziewczyny wylegują się nieopodal na ławkach. Ach, te Świeże o lśniących brzuchach! Mają aparaty pod pełnymi wargami i magnetyczne uśmiechy, a powietrze napina kaptury ich bluz z cienkiej bawełny. Strzykają zatyczki od markerów i czinczów, ptaki również wrzeszczą. Cichutko grzechoczą między palcami końcówki usb. Słyszą też: głośniki telefonów i pełne płuca. Pat zauważa m. in.: brokatowe paski, ćwieki, twarde żel do włosów (lub gumę) i wszystko świeżo malowane. Pat oblizuje usta. Pat, Janka i Beata wyciągają zaś szminki, ponieważ pierzchną im wargi. Rozmawiają więc poprzez: ciszę/westchnięcia + resztki zdań, co przynajmniej nie wykańcza. Do Janki dzwoni Marcin Historyczny, wręcz co pół godziny. (No gdzie jesteś? No gdzie jesteś, ja tu, kurwa, stoję w korku, jadę po te, kurwa, no te, co za

miasto, stoję, co ja sobie, ja pierdołę, jakie miasto, nie ma gdzie zaparkować, słyszysz mnie!?! Mówiłem! Znowu nie ma miejsca, ja nie wiem, po co ja ci się zgodziłem, może byś mi powiedziała, gdzie jesteś, co, to cię zabiorę, na burzę, zaraz będzie, jak spadnie, to zobaczysz, zbiera się na burzę, więc, z kim ty jesteś!?! Z kim ty, kurwa, jesteś? Z Hubertem?!).

Janka włącza głośnomówiący, a więc zaśmiewają się wszystkie z Histerycznego. Pat owija spojrzenie wokół słupka do mocowania psów, a liczby nadchodzą z daleka i migoczą dookoła jej głowy i ławek, trochę kwaśne te liczby i poźółkłe ze starości. Pat, Janka i Beata mają po 24 lata i 18% na 100 ml razy wiele. Pat natychmiast zajmuje się więc ustami, ale i tak nie przestaje myśleć o liczbach i ich szczypcach (są już za blisko). Smaruje wargi, a liczby kładą się na trawie. Pat przygląda się im i widzi, że nadrukowano je na folii, która ściśle przylega nie tylko do trawy, ale i dalej: do wody, chodnika, szpileczek, spodni, skóry na dekolcie, szyi, brody. Pat brudzi się własnieszminką, nawet po szyję. A liczby w najlepsze wpełzają jej do gardła. Co na to koleżanki? Te liczby trochę łaskoczą. Koleżanki ocknęły się przed sekundą i zasłaniają właśnie usta, a oczy ich szerokie jak w horrorach (lecz gorzej oświetlone). I dopiero po kilku spokojniejszych oddechach mówią „to” Pat. Tymczasem czternastoletnie dzieci za ich plecami chlustają piwem na gołębie. Wygodna jest ta dyplomacja dzięki przedmiotom, zawsze można zająć czymś ręce, zawsze można odwrócić uwagę, lecz Pat od czasu do czasu wpada w myśli i ich wnyki. I nie jest wtedy szczególnie spostrzegawcza. Tym razem dzięki koleżankom orientuje się w swojej nieciekawej sytuacji, lecz właśnie sztyft pomadki pękł, i po wszystkim (ale ściera się łatwo). I już się Pat stara nie myśleć, ponieważ przed nią jeszcze powrót do domu, a takie spacerki bywają pełne niebezpieczeństw. Pat jest przeszczęśliwa ze swoimi przygodami i nikomu ani mru. Roztargnienie

przejdzie jej z czasem, więc z wiekiem, jak mówi Droga Mama Pat, którą wszyscy szanują i dzień dobry. A jak nie przejdzie, to się będzie martwić, teraz, dziecinko, nie ma co. Jance robi się głupio. Niepotrzebnie włączyła dziewczynom wrzaski Histerycznego. Żeby się schować, wyciąga lustreczko, a jego błyski giną w dniu. Pat ściera resztki czerwieni już drugą paczką chusteczek, tyle tego leży dookoła, i jest jej ciepło. Lecz wszystkie trzy milczą, po czym mają gęsią skórę od wiatru. Przychodzą chmury przed deszczem, a dziewczęta może i chciałyby leżeć w tym deszczu, lecz czym prędzej wstają. Uciekają przed wodą, ich włosy i tak nie przetrwają. Przemoczone dziewczyny wiedzą, że została tylko herbata/kawa. Szczękają zębami oraz trzęsą się na cienkich nogach, chłód aż drapie. Żeby się rozgrzać, do domu! Nie będą, ach, nie będą już nigdy brudne, obsmarkane i podarte jak podwórkowe dziewczynki, gdyż np. będą coraz starsze. Uciekają więc przed deszczem jak kiedyś, lecz ich smarkactwo leży już na talerzyku i wnet błyszczą, jakże dawno bawiły się tu całkiem na poważnie, w tych krzakach, nostalgia, czas leci, no nieźle. Chodnik okazuje się jednak dla Pat miękki i mocny. On też powleczony jest cyframi. Pat patrzy na ich misterny wzór (albo niemisterny), a liczby przewijane są specjalnie dla niej na podglądzie, obracają się i błyskają zębami. Dłubie w nich paznokciem, gdyż upadła i wie, że powinno ją boleć: lecz nie. Długie są trawniki i poskręcane, a Janka ma „niemiłosierny” ból brzucha. Beata ratuje obie koleżanki, również wybuchając śmiechem, i już nie może ratować, bo kuca i łzawi z tej całej zabawy. Zdołały uciec tylko kilkanaście metrów w deszczu, gdyż nogi zostawały w tyle, aż zupełnie powstrzymały dziewczęta. Dziewczęta mokną teraz ułożone głęboko w trawie i słuchają swoich oddechów. Zdeptane dżdżownice mają się świetnie, a zieleń wpada w histerię. Pat chce wstać i ubrudzić się błotem, oblizać ze smakiem, cokolwiek, żeby

poczuć od nowa np. zapach rosnących piersi, a nawet, co tam, miłych chłopców z liceum, którzy zapuszczają włosy i są dobrzy z fizyki. Cokolwiek, byleby była bezpieczna.

*

Strach od początku jest przecież wszystkiego ciekawy, czy państwo zauważyli? Pyta o i dotyka dookoła, aż natrafi, i wtedy jest zajęty, na chwilkę. Przeszukuje pamiętniki, zdjęcia, podświetla latarką, włamuje się, podsłuchuje, smakuje po kropli, czeka i drży. I pewnego razu wychodzi na wolność. Na wolności ma już mięśnie twarde i surowe. Rozrzuca noże pod stopami i wybiera co piękniejsze (lub nawet nie). Lub nawet nie, i tylko chodzi i szuka, kogo by tu pożreć od głowy. Każdego, kogo napotka, nadgryza więc, jeszcze wrzeszczącego. Napotkanego np. człowieka strach trzyma więc za ramiona i wkłada go sobie w przętyk i głębiej, po palce stóp. Kiedy zamknie za nim zęby, następuje cisza, która trwa, aż strach się nażre. I pod tym względem przypomina Miasto. I równie szybko jak ono strach głodnieje. Państwo też zgłodnieli, jakieś życzenia, może prażonego orzeszka? Pat opiera brodę na ugiętej dłoni, żeby chociaż jedno z jej marzeń się spełniło, żeby nie było już więcej: pamięci, szumu, ludzi, Miasta. Jedynie pomyślność i dobre ciśnienie. Za Pat podąża bowiem szum i wszędzie, ludzie z samochodu z pewnością założyli jej we włosach malutkie głośniki, wszystko jest możliwe, a zwłaszcza w dzisiejszych czasach: można nawet umrzeć ze śmiechu. Być może zainstalowali podsłuch, kiedy Pat spała, no właśnie. Trzeba by spalić te włosy. W każdym pokoju coś szemrze i Pat mogłaby się do tego przyzwyczaić, nawet już się nie drapie, jednak dręczy ją to bardziej niż pokrzywka. A co, jeżeli również podsłuchy są w środku niej: niewykluczone. Daj spokój, Pat. Pat wciąż opróżnia Mieszkanie, wyrzuciła wszystko prócz starannie wyselekcjonowanych przedmiotów,

które układa w dwa stosy. Pokoje Pierwszy i Drugi są już zajęte, nic państwa nie ominęło, ale i tak: wszystko w swoim czasie. Tymczasem pamięć kręci się za plecami Pat. (Ma umięśnione silne uda!). A Pat z nosem przy podłodze: Pani Domowa. Pat czyści, czyści, aż przestaje cokolwiek pamiętać. Nastają wtedy puchowe chwilki, a są one jak miękkie poduszki w tym chlorowanym wnętrzu. Leży Pat w tych chwilkach rozleniwiona i nieprzytomna, gdyż na krótko pamięć znika z pola widzenia. W zamian za: no właśnie.

*

Pat rozpatruje rozpaczliwą noc z 28 na 29 lipca łącznie z miejscami otwartymi w jej wątku. Wypełnia puste pola ciągami przypuszczeń, a wyobraźnia ma to do siebie, że wystrzela z pamięci i chluszcze, aż się skończy. Natomiast pamięć pozwala jej spływać po sobie, to takie podniecające. Oto więc Pat przemoknięta i niewesoła. Wraca do domu i kaszle, schyla głowę, żeby nikogo nie spotkać w takim stanie. Nie wesoła, gdyż jest Pat wypełniona konfiturami ze skromniejszej biżuterii, zakrywania nerek zimą i przykrych żartów z siebie. (Zachowuję się jak matka). I nosi płaszcz przemoknięta Pat, nawet i co tam, że maluje się krzywo pomadką. Już jej to nie bawi, ten deszcz, nie będzie przecież biegać boso. Wciąż nie chroni jednak zatok czapką (choć tyle). Jest oto Pat pękniętym słóczykiem z pysznościami, a jak się ubrudzi, to się włoży pod kran i spieni, i wypłucze. Wytrze i zauważy błysk. Więc m. in. po to właśnie wróciła do domu. A tu jak w domu. Pat zamyka za sobą cichuteńko i jest prawie trzeźwa. Również mokra, lecz nie kicha, zrzuca szpilki przed lustrem (o ile gorzej wyglądają nogi boso). Wiosna otwiera się z kaszlem, w mieszkaniu Drogich panuje cisza, cisza, która nabiera powietrza w usta (z wyjątkiem telewizora). W łazience Pat nalewa płynu i piana szeleści, kiedy Pat zasypia, i pękają mydlane bąble, brud odchodzi

szybko. Wycierając się, wacha swoją skórę (i wkrótce zauważy błysk). Własne jej zapachy zostają za to kolejno: wygolone i wyciągnięte do woreczka plastikowego, i na supełek, i do kosza na śmieci. Ale skóra jej jest polecana przez profesjonalistów i stała się bandażem. Uśmiech za to znajduje się na marginesie i jest całkiem frotté. Pat wychodzi więc z łazienki, wychodzi jej niebieski szlafrok oraz żółty turban pełen włosów i wszyscy oni stąpają miękko. Pat ukazuje się Mamie Drogiej i jest w jej oczach taka kolorowa, taka, doprawdy, ładna dziewczyna i czyściutka. Krople cichną, uderzając w jej skórę jak w koc, choć Pat przecież słyszy ich świst. Mama Droga leży z maseczką na twarzy przed telewizorem i jest, proszę państwa, to obraz taki, jaki znają państwo z powtórek seriali o siedemnastej. Mama Droga jest co prawda ładna, ale ma grzywę szorstkich loków. Ponieważ widzą ją państwo w takiej sytuacji, pozostanie tu postacią humorystyczną. Dodajmy jej więc z tej okazji wełniane skarpetki i długie, czerwone paznokcie, by było na tyle. Natomiast Drogiego Taty nie ma. Mama Droga wydyma i usta, i uśmiech do córki, a także odstawia herbatę oraz: podaj mi pilota. Pat natomiast mówi do niej, zamiast pretensji lub anegdoty, coś takiego: „ale pachnę i jestem zmęczona”. No, jaka przyjemna z nich rodzina, prawda? Siada też Pat obok Mamy Drogiej, opiera stopy o stół, kręci karkiem, a państwo zaliczają tę scenę do humoru absurdu. No i co tam u dziewczynek? Mama Droga wzdycha i nadal jest miła.

*

Szanowni państwo wydają okrzyki, gdyż chcą życia, a własnego wam przecież do pierwszego nie starcza. Choć żyjecie państwo oszczędnie + nie wydajecie życia na głupoty. Państwa nudzi ten fragment pamięci, można ewentualnie włączyć śmiech i akcję rozpętać przy jego pomocy, lecz do śmiechu takiego nie przekonają się nawet ludzie z samochodu.

Należy szybko wprowadzić jakieś zdarzenie! Całe szczęście kolejny odcinek w tej serii zapowiada zmiany, rozlega się przecież szereg dobrze zapowiadających się dźwięków. Oto Tata Drogi wchodzi do mieszkania, co za ulga, i upadają na podłogę jego klucze, słychać brzęk: oho! Tymczasem powolutku na czworakach Pat przesuwają się po podłodze, zajęta codziennymi obowiązkami gospodyni. Trzyma w garści największe brudy zebrane z tych pięknych paneli. Doprawdy, co za syf. Wsuwa brudy pod szmatki i z zadowoleniem ogląda swoje królestwo, znów bardziej lśniące: jednak. I dzieje się czas, a ma on swój ciężar, nie do wiary! Pat kątem oka dostrzega, co to. Co to takiego miękko osuwa się na podłogę? I zdumienie rozchyła uśmiechnięte powieki Pat. Co tu państwo widzą, w kącie tego sterylne Mieszkania? Pat podnosi główkę, przypatruje się. Czyżby ktoś zostawił bagaże? Torba wykonana jest z białego płótna i ma wybrzuszenie, jakby wypchana soczystymi kiściami winogron. Pat idzie na czworakach (ślizga się!) do torby, gdy ta tymczasem nonszalancko wytacza z siebie bogactwa. Coś w niej porusza się delikatnie, lecz i ledwo, ledwo. Ruch ten powoduje jednak, że źródło wybija, również zapach, znów państwu niedobrze? Pat wie, co się czai w torbie i czyje oczka wyjrzą na nią spuchnięte, Pat jednak wcale nie musi tu być. Osłania się więc otwartą dłonią, jakby raziło ją gęste słońce, i na kolanach posuwa się do worka, coś tam Pat pod nosem burczy i popiskuje, a głos ma cichutki. W końcu opiera też i rękę na podłodze i drugą. Niezdarnie sunie, a jej usta: wielkie, jakie różowe, pulchniutkie, taka podobna do tatusia, Maleństwo Kochane! Oto ono, nie ma tu już żadnej Pat, zostało z niej tym razem tylko dziecko, całkiem małe. I już cieknie jej po brodzie, uderza władczo rączką w podłogę i ze śmiechem. Posuwa się mozolnie do kąta, zobaczyła kolor, ciekawość ją pcha. A nóżki ma jeszcze słabe, powleczone skórką świeżo ukrwioną, gładką i pełną

mleka. Co też tam może być, maluszkę? Zatrzymuje się Maleństwo przed torbą i wali w nią, z całej siły. Dłoń za każdym razem wraca miękko na zgięte grube kolano. Nie siedź na golasa, zaziębisz się! Worek po kilku uderzeniach przesuwają się nieznacznie w stronę Maleństwa, ale również tu, przed obiektywem, żeby państwo mogli zajrzeć do środka (tylko cicho). A i zawartość torby nie pozostaje państwu dłużna w tych okropnych okolicznościach, gdyż wylewa się prosto pod stópkę Maleństwa. Maleństwo zaś z ciekawością wyciąga pióra i kawałki skrzydeł, oblepione ciągnącymi się kawałkami mięsa. I pcha do buzi, zostaw, przecież tam są zarazki, nie wiadomo, kto tego dotykał i co z tym robił, wyrzucić (dłonią po łapach). Dzisiaj upuszcza więc kolorowe resztki i obraca głowę w kierunku zaciśniętych okien, skąd zdaje się dochodzą te odgłosy. W szyby biją gałęzie, a Miasto patrzy na Maleństwo (zostaw to!) i chce je utulić, ubrać, wykapać i dać słodycze (żeby wyciągało po nie ręce). Przecież ta mała nie zrobiłaby nic złego gołębiom, niech państwo zobaczą, jak ładnie bawi się piórkami. Z rączek wyslizguje się główka (choć do tej pory mała sprawnie ćwiczyła na niej zacisk piąstek). Maleństwo patrzy za turlającym się łbem, za chwilę jednak podnosi oczy. Mokre rzęsy i łyse dziąsła, niech państwo spojrzą na jej świeżą buzię, ani śladu po pamięci, przecież ta dziewczynka nic nie rozumie. Podnosi wzrok za hałasem, ktoś rzuca kamieniami w okno. Pat zapomina o swojej kryjówce w bezpiecznej wersji Maleństwa. Jeżeli ludzie z samochodu ją teraz zobaczą, wyda się. A kto to dusi gołębie? I kto to skacze po zawiązanych płóciennych workach? Żeby nie opryskało świeżych ścian, to chyba dla państwa jasne. To dlatego w poprzednich odcinkach słychać w tle trzepot, gołębie biją w sufit, ponieważ nie wszystkie trzeba od razu zabić. Płócienna torba jest niewielka, zmieszczą się najwyżej dwa, a poza tym plastikowa reklamówka mogłaby pęknąć podczas skoków. Państwo

woleliby nawet sobie nie wyobrażać.

*

Ten tam leżący Karol, nie dziwcie się, państwo, jest zaledwie postępem w nauce, a przynajmniej w rozwoju sytuacji. Gdzieś się Pat musiała uczyć, jak właśnie państwuświadomiono. Gołębie wszak są w strzępach. No, nie udawajcie państwo takich zniesmaczonych. Drogi Tata wchodzi do mieszkania i w płaszczu oraz mokrych butach staje na parkiecie dużego pokoju. A ponieważ serial jego kroki pokazuje, wypełniając nimi oczy wszystkich wpatrzonych, sygnał o rosnącym napięciu wysyłany jest widzom i jest go coraz więcej, aż następuje cięcie. Pada deszcz, a Pat ogrzewa się. Pat ma przy okazji ochotę na kakao, koc, puszkę blaszaną w rysunki, pachnące cynamonem obietnice miłego dnia i ciastka korzenne. A ulewa obmywa szyby, zostawiając po sobie brudne smugi. Kino! Kino! Dywan pod kapciami za to ciepły i zgromadził w sobie kokony równie ciepłego kurzu, które buzują i pękają ogrzane światłem lamp. W takim landszafcie lubi się przechadzać Pat, ależ tak. Może z mamą razem powycierać sztucce, rozrzucić zdjęcia, gdyż tak miło być obrazkiem z obrazkiem w rączce. I wdychać oddech matki, z którą krew w krew. Pytanie stawia jednak ten odcinek: czy Pat sama na siebie zdoła przyszykować nożyczki? Gdyż nikt inny nie chciałby przecież, żeby wyrwała się z terytorium, na którym aktualnie przebywa. Jego granice obłożone są zrolowanymi kołdrami, zatrzymującymi mróz zza okien, jego wnętrze wypełnia pierze po nos, wełna wije się wokół szyi, wokół stóp, dłoni, tran, masz, córciu, pieniążki na życie, hej, kolęda, kolęda. Nożyczki w szybkich palcach rozsypią te surowce na podłogę, w drzazgi, i trzeba będzie odkurzyć, a nikomu, państwo zdają sobie chyba z tego sprawę, się nie chce. Oto jednak wchodzi Tata Drogi i depcze pierniczki.

*

Coś dzieje się. Państwo zagryzają wargi i odgryzają każdy swoją, po kawałku, a następnie państwo oblizują. Lecz angażują przecież państwo swoje ciała w skupienie: zaciskają dłonie na kciukach, wpatrują się w światło. A światło oto jaśnieje, kiedy pokazana zostaje mokra twarz Taty Drogiego w poświacie telewizora i stuwatowej żarówki, a przede wszystkim: spojrzeń kobiet. Ponieważ on ma coś do powiedzenia. Pat podbiega do okna, wygląda: leje. Znów ma swoje obolałe i strzykające w kościach ciało, którego sylwetka nachyla się teraz do wnętrza. Zużyta rola dziecka leży więc wydmuchana za plecami, sama skórka na podłodze, wężowa i sucha. Ale Pat ma teraz większe problemy. Nie umyła szyb! Jest trzecia rano, a Pat zauważa, co następuje: odciski swoich ust na oknie, co za brudas. Sama Pat też jest brudna, no proszę. Karol solidnie w nią wsiąkł, ściera też ślinę z brzucha. Wszędzie zaniedbanie i wilgoć, no i zapach ciasta z nutką krwi. Państwu jest niedobrze po raz trzeci, a świt jeszcze nie wstał z martwych. Co za przeklęta noc, mili państwo, lecz koniec żartów. Znów w szybę uderza kamień, Pat biegnie do drzwi wejściowych: zamknięte. Na palcach przemyka do kuchni, gasząc wszystkie światła. Wraca do drzwi, ciągnie za klamkę, dociska zasuwę. Następnie Pat skrada się do szyb. Samochód zagarnął na noc ludzi i zgasił światła: tylko szum. Deszcz, Pat powoli otwiera okna na oścież, szaleją firanki. Nikogo nie ma, zdąży. Pat idzie po płyn i papierowe ręczniki. Z szafy wyciąga stare dresy, ma tłuste włosy, nawet w sam raz, ma też zadrapania na ramionach. Czyżby stawała się ofiarą przemocy/biedy/gwałtu/głodu, czemu nie, ziarno prawdy. O, proszę, eksponuje Miastu, jak bardzo ją pobił ukochany (którykolwiek). Podciąga rękawy i niech Miasto zobaczy sińce. Twarz Pat z rozmazanym makijażem lub tylko popiołem z petów i krwią świetnie się fotografuje,

tego tu było trzeba! Udręczona Kobieta, Ofiara Przemocy, tylko niech uważa, kwaśne mają państwo miny, niech nie przesadza, jak nie umie. Udręczona oto staje na parapecie, myje okna, chłód wiatru, sinieje jej skóra, rany boskie, co za wichura! Ma zacięte wargi, patrzcie, państwo, na jej krwawicę, dłonie szare i ten kurz za paznokciami, i rozchełstana bluzkę, i naderwana warga, wyboczyły. Udręczona ma obite nerki, złamane żebro, wichur smaga jej usta, za jej paznokciami dzień dzisiejszy i dzisiejsze morderstwa. Nawałnica mroku przetacza się po pustej ulicy, przewraca z boku na bok, a blacha wielkiego kontenera grzmi. Udręczona próbuje zaciskać zęby, lecz łzy same napływają, może to tylko deszcz. Ależ smutek. Czuje też pulsowanie na głowie wyrwy po pęku jej włosów, który pociągnął i wziął w garść Karol. A przy okazji piecze ją spuchnięte krocze: może już dość państwo mają? Czy smakowało? A tymczasem żal Udręczonej ściska gardło, łzy gorzkie płyną jej po szyi, tak ciężkie są, tak gęsto leją się z białych (niedożywienie) spojówek. Jej pierś opuchnięta jest wołaniem o ratunek, poturbowana jest to bohaterka, a w treści smsa wpisać: „pomoc”. Udręczona chce, żeby współczucie pomieszało się państwu ze wstydem, i nie chce być ofiarą! I się kiedyś jeszcze wyzwoli i będzie szczęśliwa, ponieważ można (a co, jeżeli nie?). A na razie realizuje krok: matnia, piekło, chcę się wyrwać. Na razie jest ciałem kampanii, każdy by ją sobie wziął na użytek. Ludzie z samochodu pewnie właśnie śnią o bogactwach, które jeszcze mogą wysypać się z pamięci Pat. Tymczasem Pat zapadła się pod ziemię i na jej miejsce wkroczyła właśnie Udręczona. A pamięć jest przecież komunikatywna i umie pracować w grupie. Udręczona za to myje szyby. Po gołębiach również należy sprzątnąć, ponieważ wyciekło, lecz najpierw szyby, w świetle latarni, co prawda, włosy w kołtunie i zmasakrowane ciało Udręczonej. W Mieszkaniu zaś pozostały tylko najładniejsze pamiątki,

stosy bogactwa, a w nich jak kremik w czekoladce, o, chłopcy jak malowanie. Uśmiechnęlibyście się, Mikołaju i Karolu, powiedzielibyście „dzień dobry” lub może raczej „dobranoc”. Żeby nie było jednak wątpliwości, jesteście, chłopcy, dla Pat bardzo cenni i jesteście bogactwami dla Pat wciąż żywymi. Tę krew przecież obsiada chmara.

*

Nad Miastem zbierają się chmury, a zza okien dobiega do Pat wszystko, co powinna ukryć, tymczasem zostało już przez Miasto i jego mieszkańców uszczknięte, przeżute, połknięte i szkodzi, odbija się także od murów, aż drżą, nie mówiąc o szybach. Wycie syreny alarmowej jest przy tym huku kaszelkiem, na zdrowie. Hałasy dobiegające z samochodu pod oknami Pat pasują za to idealnie w miejsce pauz, które w Mieście panują nocą, ponieważ Miasto wtedy akurat cichnie, zapadając w sen lub coś w tym stylu. Babcia Droga umarła, ogłasza Tata Drogi. Żona jego Droga oczy otwiera, podnosi się. Muzyka cichnie w punkt bicia serc i jest to doskonały moment na krótką charakterystykę Taty Drogiego. Zatrzymany więc czas antenowy i oto on sam: Tata Drogi. Stoi, a z nim kałuża. Mokry, łysiejący, szczupły i świetnie ubrany, choć już nie tak świeżo ogolony jak przy śniadaniu, do którego zasiada wyprostowany, kładąc serwetkę na kolanach. Czyny są dla Drogiego zbyt pracochłonne, jednak słowa i obyczaje wciąż nie mają wygórowanej ceny, efekt zaś zadowalający. Gdyż Drogi w tym domu domaga się zainteresowania, a ma trochę ponad pięćdziesiąt lat. Kiedy ogłoszone zostaje, że salmonella zaatakowała w lubuskiem, i reportaż świadczy obrazem, Drogi, choć to bohater drugoplanowy, drżącym głosem przypomina o omlecie śniadaniowym, no właśnie. To salmonella z zatrutego jajka, już mi bulgocze żołądek, mówię ci, żono, idź lepiej i sprawdź opakowanie, skąd te jajka są, skąd są, idź no, ja proszę, ciebie, weź i idź już. Ja się położyć

się, położyć muszę, muszę natychmiast, położyć się, i zaparz mi koszyczek rumianku. Zostają wypowiedziane słowa o śmierci, a teraz Drogi oczekuje wybuchu, aby mógł rozkoszować się władzą (roz)nosiciela informacji. Podium jest wystarczająco wysoko, tym bardziej że kobiety siedzą. Do tego dodany został ton wyższy niż nawet w chorobie, słowa iskrzą się w blasku bijącym od Drogiego. Oho! Wszystkim tu skrzypi powietrze w płucach, aż go nie mogą wypuścić z wrażenia. Co za kopuła! Tata zaciska usta, kolana uginają się, siada (obraz wspomagany mokrym garniturem). Trze (drżącą) dłonią po mięsistej, znękanej twarzy. Żona Droga przysuwa się do niego nieznacznie. Czy należy uzupełnić ten kadr delikatną ręką kobiety, położoną na ramieniu męża? A spuszczonego wzrok należy do wszystkich. Pat zasłania uszy. Oto wszyscy winni mu współczuć, jego matka, jego matka, to oczywiste, że Drogi chciał powiedzieć o tym pierwszy. Pat traci jednak centymetry do załapania się w przedział żalu, który jest, jak się państwo domyślają, dla najlepszych. Nie płacze, lecz idzie do kuchni, gdzie nalewa sobie do kubka resztkę chłodnej zupy. Pije ze smakiem, zachłannie i wszystko na raz.

Bogactwo

Resztki po bogactwie pozostały w Pat i tylko te brzydkie. Ileż odcinków tu się wala, skrawków ubiegłych lat, nici, które pękają i w supłach. I również: bezużytecznych igieł, wciąż ostrych, ale po co, skoro materiał skradziony i podarty. Ileż strzępów i łat tu się wala, wokół dorodnej maszyny pamięci, do szycia, Pat boli głowa. I nawet żeliwne nogi zakurzyły się w zakamarkach i do niczego się już maszyna nie nadaje, a w dodatku skrzypi. Pat zatyka uszy, ponieważ hałas załamuje

się i rwie co popadnie, a paznokcie zostawiają na ścianie ryski i się gną. Pat nieruchomieje, stojąc na parapecie, a z dołu patrzy na nią uśmiechnięty mężczyzna, musiał zacząć się za rogiem i ma około trzydziestki. Pat pamięta go sprzed dobrych kilku lat, nic się nie zmienił, pewnie dzięki zdrowej żywności, ma również czarny płaszcz i wypastowane buty. Pada na niego deszcz, mężczyzna okręca otwarty parasol na chodniku: wbił jego szpic w klinkier i obraca, aż skrzypi. Człowiek ten moknie i przygląda się Pat, coś podobnego. Kręcone włosy oklejają jego owalną, wąską czaszkę, z prostego nosa deszcz spływa równo na niezadowolone, soczyste wargi. To nie może być nikt inny niż Grzegorz Dusza. Pat udaje, że nie widzi Grzegorza, cofa się od okna, zamyka przed sobą. Nie jest gotowa, tak jak i Karol: który (nawet przy takim przeciągu) wciąż jeszcze ciepławy. Grzegorz jednak znów się uśmiecha i nie pokazuje zębów, przecież wie, że ma dołeczki. Pat umyka w ciemny pokój, natomiast Grzegorz stoi w dole i jest dość żywy, mokry, a także czuje się zaproszony. Poza tym, jak sądzi Pat, Dusza z pewnością chce się wepchnąć do telewizji. Już go nie biorą do reklam kosmetyków, włosy z pewnością mu się przerzedziły, lecz głód pozostał i (jaki by był) jest. Pat ma na dodatek jeszcze pół blachy ciasta, a więc: już! Pat nabiera rumieńców na myśl o ponownym wcieleniu się w Panią Domową. A może nawet zaoferuję mu kieliszeczek? Miałam ja niegdyś szkła do wszystkich rodzajów alkoholu, ach, to były czasy, zobaczymy. Jak tam moja ondulacja? I Domowa szybko sprawdza stan swoich włosów i choć lokami nie są, cmoka. Następnie udając, że idzie na obcasach, wdzięcznie kręci pupcią, mój drogi, już ci otwieram, mogłaby to również krzyknąć, ale jest cokolwiek późno i nie wypada, ponieważ zadowoleni sąsiedzi to skarb. Domowa przygotowuje talerzyk i ciasto odkraja, cóż, że ono upieczone z plonów śmietnikowych, skoro posypane cukrem i wciąż ciepłe. Karola

tymczasem jeszcze nie czuć, a ciasto i owszem. Znajduje również wygodną butelkę, pusta, lecz dobrze wygląda, jak ładnie. Ta pani wie, że butelka od wina wcale ładnie pasuje do gardła, a zwłaszcza od strony szyjki, bo wtedy język przynajmniej na boku, pod policzkiem może się ułożyć i dość wygodnie zatyka to usta. W szyjkę natomiast spływa ślina, jeżeli jest się dość sprytną. Bo jednak, trzeba powiedzieć, choć jest to przykre, proszę państwa: kiedyś ta pani nie była ani przyzwyczajona, ani nawet sprytna, i w takich sytuacjach wymiotowała, co zraziło do niej jednego z adoratorów, noszącego egzotyczne imię Pablo. To mogę już wejść? Grzegorz wciąż woła z czarnej ulicy, która błyszczy jak uśmiech. Uśmiech Grzegorza jest w dodatku szeroki, ale Grzegorz blady. Gęste rzęsy kładą szerokie cienie na oczach, w których zapadają się źrenice, pod ulicą kanały szumią i pluszczą. Niebo wpadło w szal i Grzegorz przemaka. Pani Domowa truchta jak może najszybciej i rozkłada na podłodze biały obrus. Stawia butelkę, zapala świece i ciasto wreszcie. Biegnie do okna i ruchem rączki zaprasza, miły mój. Pamięć tymczasem płąsa po obrusie, poły jej szlafroka rozwiane, spod nich perfumy i wnętrzności. Nagle mięso spomiędzy nóg jej wypada i ciężko uderza, robi się plama, którą Domowa zakrywa serwetką. Czy to może kiszka, gdyż zostawiła podłużny ślad? Ma ktoś ochotę? Pamięć wciąż tańczy, ależ esyfloresy, wszystko obryzgane i Domowej jest wstyd. Ach, ta pamięć, zawsze w nieodpowiednim momencie musi o czymś wspomnieć. Jednak Domowa już, już biegnie, w podskokach, ponieważ ukochany puka do drzwi. Przy okazji Domowa usuwa pamięć w cień, popychając mocno na ścianę, gdyż powinno być miło z Duszą, przynajmniej do czasu. I już Domowa zdejmuje Duszy palto i gładzi po ramieniu, o, mój ty biedaku, zmokłeś. Głosik ma pamięć zdarty i poobijany teraz, coś tam mamrocze z kąta w kółko, w kółko opowiada te same historie, ale kto by chciał jej

słuchać. Domowa odwraca uwagę Duszy od pamięci, całując go w szyjkę, a uśmiechnięty Dusza rozciera ciepło w dłoniach i pyta: „co tak pachnie?”. Domowa odpowiada na to: „ciasto, mój drogi”.

*

Pat i Dusza idą więc do obszernego Pokoju Trzeciego, a za ich plecami skrada się pamięć. Ta obrzydła pamięć wyszła z kąta. Usta jej rzeczywiście ponętne, sunie za Pat jak welon, ma się coraz lepiej, choć źle, lecz właśnie znów przybrała na wadze, ależ dołączki, to już dwa miesiące. Pamięć potrafi bowiem zeżreć wszystko, gdyż jak wiadomo, nie jest problemem dla pamięci obejmować i połykać cokolwiek tkwi w państwie i w zasięgu wzroku. Odchyła przed publicznością krawędzie mięsa, widzą państwo, mój Boże wielki dół i zimny. Kiedyś to ciało było pięknym opakowaniem, mamrocze pamięć, obmacując swój brzuch. Czego ja tu kiedyś nie miałam. A teraz od gardła po pępek biegnie u niej surowa krawędź, a spod niej, no właśnie, aż chluszcze. Oto wewnątrz pamięci bajzel i brud. Została splądrowana, lecz żre nadal, i nadal jest powabna, jak się postara: otóż to! Nie jest przytulna, jeszcze czego, chociaż na widok Duszy rozpościera ramiona, zapraszam, oto dół we mnie przygotowany na świeże sadzonki: wszystko jedno. Pamięć chętnie przyjmie w swój wypatroszony brzuch splunięcia, połknie też, co państwo zechcą, nawet twarde (np. pięść lub kość). Pukle włosów blond, rumiane piersiątko, dość ładna jest, prawda? A w środku bebech. Zapełnij mnie, obciąż, wydziera się pamięć do Duszy, lecz Dusza osusza buzię z deszczu i mało co słyszy. Trzeba zasypać miejsce po bogactwie tak szczelnie, jak to możliwe, a więc ciałami, śmieciami. Niech nowe wspomnienia, wrzucone na miejsce skarbu, będą żrące i wypalą ślad po bogactwie. Niech wypłuczają ślady po skarbie, który pulsował tu bezpiecznie. Kiedy dziura się wypełni, pamięć zaszyje ją tak, żeby nie

było widać. Wypali się laserem bliznę, założy opatrunek, posmaruje maścią ukręconą w aptece z macicy perłowej. Pół roku później nie będzie widać, po dobraniu odpowiedniego stroju nawet na plaży nikt się nie zorientuje i będzie można znów spokojnie opalać ciało. Lecz Dusza właśnie zdjął płaszcz i rozlał deszcz. Został zaproszony na ciasto domowej roboty, a ono jeszcze nie ostygło. Śmierć staje się oto miss kolejnego miesiąca, być może trafi do kalendarza. Jej zdjęcia by sobie, Tata Drogi, Drogi ubolewający, z chęcią przykleił nad łóżkiem i gorzko ją całował po stopach, gdyby nie twardy krok żony. Mama Droga zachowuje wobec śmierci teściowej spokój oraz energię. Spokój odpowiednio rozszerza, aby wszyscy się w nim zmieścili jeszcze przed pogrzebem. Ona organizuje też wstęgi, lecz bez przesady, ja wam już powiem, że więc bez zdobień ten nagrobek, absolutnie żadnych aforyzmów, co pan sobie, trzeba dać pieniądze księdzu, żeby nie. Ja wam to tak, aby nie było uchybień, właśnie, dobre miejsce jest to, a nie tamto, tamto jest wilgotne. Ja już, to wszystko i rozumiemy się? Porządnie ma być, gdyż to śmierć, a nie jakieś. Śmierć za to dopiero na pogrzebie rozkłada swoje ramiona lub raczej prostuje, aż strzyka jej w karku. Wita serdecznie zebranych gości, kopę lat! Niebo jest nad gośćmi czyste, a w dole pełno gwiazd. Każdy ubrał się przecież pięknie i ma niewiele do powiedzenia, zwłaszcza przed obiadem. Babcia Droga tymczasem wysoko za płotem cmentarza przycupnęła na szczycie drzewa i jest kruszynką. Ledwo ją stąd widać. Zebrani natomiast (nosami) biorą wdechy. Z wieńców spadają igły, łysieje już zieleń na oberżniętych gałęziach, a ciche słówka i garście gliny leżą w wykopanych w ziemi ustach. Potem gwałtowne ruchy, uklepanie łopatom i znów szepty i kaszel. A wstążki i wiatr jak zwykle. Czarno ubrani ludzie, nachyleni dookoła lśnią lśniącej brązowej ziemi — to już naprawdę wszystko.

Babcia Droga

Babcia Droga umiera ze starości i w śnie, tzw. lepiej nie można, pierwszego dnia wiosny nad ranem, a wieści rozchodzą się dzięki uprzejmym sąsiadkom, które były poumawiane na serial i w końcu nie obejrzały tego odcinka. Dziesięć lat przed śmiercią Babcia Droga rozpuszcza gałęzie wiążące ją z pogrzebem. Miejsce na cmentarzu rozsądnie opłaca do połowy następnego wieku, z testamentu jest dumna, tak jak z mądrej wnusi. Syn Babci Drogiej nie musi się po jej śmierci martwić, chyba że o siebie, ale do tego został już przyuczony w dzieciństwie. Siedzą oboje na zakrwawionym obrusie, po prostu przesada. Grzegorz Dusza wyciąga nogi, kolana strzelają, i ma jasny garnitur. Trochę pokasłuje, być może to tylko zakłopotanie. Grzegorz pogryza ciasto i kiwa z uznaniem głową. Państwo też wierzą w jego gesty, podobnie jak Pani Domowa, która w napięciu zaplata palce i oczekuje odpowiedzi: smakuje ci? Dusza jest pełen ciasta i min, które znaczą: ależ tak. Domowa jest pewna tych znaków, i tak niczego więcej nie dostanie. Ciało to w końcu jedyne, co jest do zaoferowania, oraz jego produkty, w tym słowa i miny, dzieci, siki i tym podobne.

Grzegorz tę prawdę zna, więc wzrusza ramionami, ciało to jedyne pole porozumienia, ależ tak. Mniem. Dusza nosi w sobie Wielką Teorię Niczego, zyskał ostatni stopień wtajemniczenia i o ciele wie jeszcze np. to, że spędza ono życie oraz życie do, strzyże, a także szlachtuje. To wszystko. Poglądy Duszy zostają jego poglądami, jednak państwo je słyszą dzięki najnowszej technologii zamocowanej na dachu samochodu. Trochę piszczy, nie szkodzi. Państwo w odpowiedzi na poglądy Duszy kiwają głowami cokolwiek smutni lub dla świętego spokoju, ale na to już

nic nie można poradzić. Dusza przełyka ostatni kęs i otrzepuje palce: to co teraz? Pat się wreszcie nawinęła, bo jak wierzy Grzegorz, nic nie ginie, można będzie dokończyć wyrywanie włosów, co on osobiście lubi, ma takie hobby, mógłby właściwie z tym związać swoją karierę. Nic nie ginie, dokończy zabieg, lecz ulepszoną metodą na ciepło. Grzegorz wierzy też, że nic nie jest przypadkowe, a życie jest cyklem, odradzanie, koło i powroty (ha, ha, ha). Lecz akurat tutaj łatwo można mu udowodnić, że się myli i lepszy dla zobrazowania tzw. życia jest punkt, no dobrze: dziura. Wystarczy oto pokazać Grzegorzowi dziwacznie uśmiechniętą twarz Karola, a jak nie, to niech choć spojrzy na jego oczy, które zapadają się w głąb głowy. Tylko odchyli Pani Domowa szmaty z kopca, właściwie to nic ciekawego tu nie ma, jedynie drżące mięso, całkowity brak symetrii, państwo są zmieszani. Dusza nie ma wiele czasu, jest (owszem) zaradny, lecz też zajęty. Domowa naszykowała właśnie zapalniczkę, a właściwie to już Pat. Po rozebraniu i położeniu ciała na prześcieradle, między świeczuszkami, tak jak to było dawno, dawno temu, Pani Domowa straciła resztki swojej głupawej troski o głód Grzegorza i jego komfort. I oto stała się Pat: i leży już skopana dosyć przez Karola, a i środki chemiczne zrobiły swoje w skórze. Noc trwa od dawna, wkrótce ranne wstaną zorze, zabawne, oraz ludzie spod koców i wszyscy wyjdą na światło, również ci z samochodu. Należy się spieszyć, raz, raz. Zmienić ciało tak, żeby nikt nie poznał Pat. A figa! Dusza zakasał rękawy, harcerz, oto podpala włoski na skórze Pat, zdmuchuje i podpala, i zdmuchuje, a skóra tryska. Pat się nie wierci, gdyż jest posłuszna. Pat jednak chce, aby brwi i rzęsy Dusza wyrwał pęsetą: „zgadasz się? ”. Wiadomo, że Grzegorz nie jest taki zły, na jakiego wygląda, a więc: „nie ma sprawy”. Pat szanuje przecież jego czas, część włosów wyrwał już Karol, och, jaka zaradna ta Pat, nie obciąża pracą jednego mężczyzny. Wiadomo przecież, że Dusza

nie ma za wiele czasu, jest człowiekiem pracującym, wszak ubezpiecza na życie. Ciało Pat jest natomiast nasączone do kości wydarzeniami ostatnich dwóch miesięcy, świeża kronika towarzyska. Mam jeszcze tutaj, Pat pokazuje na swoją twarz, a Grzegorz otwiera jej usta, wbijając swój stary, piękny nóż myśliwski w skorupkę warg. Długimi pociągnięciami przecina spojenie, rozwiera na oścież, wyjmując język i odpala płomyczek na zapalniczce, a z wewnątrz Pat rozlega się krzyk, który uderza w podłogę. Dźwięczy jak perły i toczy się, ale przestanie. Krzyk m. in. rozdrapuje miękkie gardło Pat i urosły mu pazury. Broni się przed światłem i ogniem. Bronił się, kiedy Pat próbowała nadać mu nieskazitelną biel i zabić wszystkie zarazki, spuchł przecież po wybielaczu. Pat miała nadzieję, że w ten sposób wyżre we wnętrzu brudy, choć nie połknęła wiele. Krzyk rozwija się jak wstążka z ust Pat, czerwony dywan i te perły, perły wszędzie, błyszczą i są drogie. Zamknij się, Grzegorz uderza Pat w policzek. On przecież doskonale państwa rozumie: Pat jest męcząca, czyż nie zrobiliby państwo tego samego. Nie można już znieść tych jej jęków. Pat milknie, no wreszcie. Pozwala sobie tylko na szept, Grzegorz nachyla głowę, przykładając ucho do jej warg, a Pat ledwo żywa. I mam dla ciebie przyszykowaną szczoteczkę do zębów, także sobie stąd pójdziesz do pracy, dziękuję, nie przejmuj się niczym, nawet ręcznik, ten niebieski, przyszykowałam ci, leży na pralce, to się wykąpiesz, czuj się jak u siebie i dobrej zabawy. A państwo niech pozdrowią ode mnie Nową Pat, mówi cichuteńko spalona Pat, i brzmi to, jakby gwizdała przez zęby, łobuziara.

Grzegorz Dusza

Grzegorz jest sprawiedliwy. Tego, jak Pat się wtedy zachowała,

niewybaczalnie, dzika i skończona suka, można się było spodziewać. To teraz ma. Juliusz oczywiście sobie z nią lepiej poradził, podobno płakała z bólu, i dobrze jej tak. Od rana do popołudnia Pat jest wnuczką zmarłej, pierwszy rząd za trumną, tu jest rzeczywiście najlepszy widok, lecz nadal nie umie się rozpłakać. Schyla głowę w czarny szalik, ma zaplecione palce, a więc prezentuje się (doprawdy) znakomicie. Na stypie opowiada ciotce: co też za studia. Je następnie: de volaille'a z pieczonymi ziemniakami. Wyciera kruszynki z warg serwetką, ale nie chce już ciasta. Uznanie z czterech stron stołu wyraża się w pytaniach o narzeczonego lub wiek, patrzcie no, nie poznałabym, tak urosła. Poza tymi niewygodami wszyscy są jednak cisi, z wyjątkiem „tak to już jest”, pozostającego jedyną mądrością bezradnych ciał zapiętych na guziki. Poza tym ciała te parują w powietrze, które jak zwykle przyjmuje wszystko. Zgromadzeni żyją i dają tego dowody, w każdym wciąż bije ciężar. W łazience Pat przyjmuje komplement o kolczykach, dziękuje. A następnie: Mama Droga, Tata Drogi i Pat wykonują wszystkie ruchy po uprzednim ich zaplanowaniu, tj. kierują się do samochodu. Pat chce jeszcze położyć się na trawniku i zakopać wystarczająco głęboko, lecz Mama Droga jest opanowana (z wyjątkiem wymiętej spódnicy) i Pat przyjemnie oraz mocno przytrzymuje za ramię. Pat wdeptuje przynajmniej w błoto i się w związku z tym uśmiecha, lecz Mama Droga jest przecież matką wytrawną: będziesz musiała sobie umyć te buty nad wanną! Na początku wynoszą rzeczy, dzielą i rozsyłają. Rodzinie bliższej talerze i kieliszki. Kilka mebli wystawiają na sprzedaż: „zależy mi na czasie, przeprowadzam się, i dlatego tak tanio”. Do czerwca otrzymują pustkę. Wynajęta ekipa odrywa stare kafelki i wymienia piec. Płoszą jaskółki spod parapetu. Odrywają żółte tapety i zniszczony parkiet. Okrywają Mieszkanie skórą jasnych paneli. Malują białe ściany białą

farbą. Pat potrzebuje piętnastu mebli. Zaczyn pęcznieje, zwłaszcza po ciemku i po ciepłu. Rodzice nie spodziewali się śmierci babci, dobre sobie, lecz Pat ma od śmierci Mieszkanie, niech państwo nie zapominają. Od urodzenia Pat wiadomo było, że taka będzie kolej rzeczy, co cieszyło wszystkich troskliwych o losy dziecka, a zwłaszcza teraz, kiedy dopiero co skończyła studia. Chciałoby się powiedzieć: w sam raz. Tata Drogi zaczyna więc palić papierosy i sporo siedzi na balkonie, aż od nocnego chłodu i nerwów wystąpiła mu na czole żyła, która nie znika, kiedy Drogi wraca do środka. Chcesz kawy? Pochylona Mama Droga podnosi na niego ładne oczy, ma stalowe nerwy oraz druty i tym razem przed jesienią z pewnością skończy szalik. Ma na to całe wakacje. Rodzice i Pat nie spodziewali się tej śmierci, lecz mają pieniądze rozlokowane w różnych konfiguracjach z życiem, np. na: wszelki wypadek, przyszłość i tym podobne. Nie są więc zmuszeni nieustannie się czegoś spodziewać i jeżdżą na wakacje do stolic tzw. kultury, skąd przywożą wina i specjały. Dziwi Pat, że skończyli optymistykę i mają pieniądze, i nawet ich pracowitość oraz fart nie zaspokajają tego zdziwienia. Pat jednak od zawsze może pozwalać sobie na bzdury, trzeba to przyznać, a zwłaszcza na bezkarne pomyłki, przecież się uczy, jest młoda i nikt jej nie wini. Pat więc oddycha swobodnie i kupuje sobie sweterki, sądząc, że świat należy do siebie samego i ludzie mogą co najwyżej z niego korzystać, aby się uczyć lub ubawić. Istnieją wojny i one są według Pat „straszne”, istnieje bieda i jest według Pat taka sama, w związku z tym złem Pat smutno kiwa głową. Jednak (pojawia się na ustach Pat uśmiech) ogólna tendencja jest rozwojowa i wszystkim żyje się lepiej, a przynajmniej tu, w kraju, i od czasu do czasu. Następnie Pat kupuje sobie magazyn i patrzy w nim na spodnie i czółenka, dawno już nie rzygała po alkoholu. Dopóki drobne drzazgi nie włamują się w ten horyzont z poliestru

(wool/acrylic/silk/cotton/leather), dopóty Pat jest rzeczywiście całkiem przyjemną dziewczyną. Lecz niekiedy np. Miasto dociera do Pat sobie tylko znanymi ścieżkami i wtedy Pat znowu gubi się, gubi się, gubi, histerycznie łapiąc krawędzi serdecznego świata, który zaczyna wtedy właśnie parzyć. I szczerze mówiąc, jest to dużo ciekawsze albo przynajmniej nie tak denerwujące. Miesiąc po śmierci Babci Drogiej zostają wynajęci malarze, ponieważ nowa lokatorka, Pani Pat, chce na biało. Do Pat jednak strach już się troszkę wprowadził, lecz robi to stopniowo i jeszcze nie skończył. Ma on w końcu mnóstwo szpargałów i dużo czasu mija, zanim się kompletnie urządzi i poczuje jak u siebie. Strach ma w Pat przyjaciółkę od serca, że ażby wyrwał, więc czuje się jak u siebie. Babcia umarła, Pat właśnie zamieszkała w Mieszkaniu po niej i już, już ma plany prowadzenia domu otwartego. Nalewania herbaty dla gości jak z kranu i gorącego krupniku zimną, aż parzy. Z kolei latem taca z kubkami i kieliszki + chłodne martini oraz twarde cytryny w ćwiartkach. A także jedzenie z plastikowych pojemniczków, zrobimy sobie zdjęcia, żebyśmy mogli zobaczyć, że kiedyś panowała atmosfera, która była np. super. Oprócz tego będzie liczyć się chwila, która zostanie wypełniona na tych imprezach po brzegi, aż wycieknie nosem. Wyobraża sobie też Pat zasłony, pomiędzy których wpada poranne światło, i piękni ludzie budzą się skuleni, malutcy i młodzi, a ich kremowa skóra jest zaróżowiona. Są potargani i eleganccy w swych marynarkach oraz opiętych džinsach, a usta mają malinowe. Oraz dziewczyny mogłyby mieć puderniczki i natapirowane włosy, a ona, Pat, królowa afterbalu, usiadłaby w kuchni, napawając się słońcem i tabletkami przeciwbólowymi. No, dosyć tego dobrego, są to bowiem plany bez szans na przyszłość, ależ gęsta panuje w nich mgła!

*

Rzeka w Mieście wiruje i wszystko tu tylko udaje bezruch. Tak szybko się porusza, że traci kolor i brzegi, stając się hukiem. Słońce w centrum Miasta ledwie sączy światło przez wieżowce, fruwa wata cukrowa w strzępach. Neony delikatesów podmieniają księżyc i pozorny spokój zostaje zachowany w przepaściach gęstej ilości, no, dosyć już tych zabaw. Pat jest stanowcza i nie pozwoli odejść żadnemu z chłopców, tak ot. Lecz nie zdradzi tego Grzegorzowi. Chłopcy mogą przecież roznieść nowe wieści o Pat, na wiatr, a przecież nie tego Pat chce. Chce pamięć o sobie i wspomnienia chłopców zamknąć, zagłodzić, umrzyj wreszcie, Mikołaj i Karol zamknęli więc usta i leżą po cichutku. Ale ubaw. Grzegorz za to w najlepsze nie traci czasu, ponieważ jest dobrze wychowany na siebie samego i wreszcie przełamał skromność. Świetnie mu idzie. Kto mógłby się bowiem domyślać, że spełnia się oto życzenie Grzegorza, karmione codziennie przez internetowe wyszukiwarki. Nigdy jednak nie miał okazji na żywo (i nikogo) rwać jak ciepły chleb oraz w strzępy, a także zajrzeć wewnątrz. Chociaż chciał i chce. Lecz nauczył się już sporo, do tej pory co prawda tylko z obrazków cudzych błędów, z setek zdjęć. A wśród nich blade ciało rozłupane kijem to pierwszy jest level: czas start! Grzegorz ma teraz dostęp i dobre światło, otwarty przewód, ciało Pat jest dość rozplątane i wymyka się spod skóry. Grzegorz jednak czyni swoją przyjemność, proszę państwa, i choć niejedno już widział w internecie, to wciąż mu nie starcza. Lubi bowiem wiedzieć, jak jest, a świat mu przecież dostarcza o sobie informacji na zdjęciach i on niby dzięki tym zdjęciom wie. Ale zawsze lepiej sprawdzić samemu.

*

No bo ile tam można zawrzeć prawdy na tych fotkach? Pęki świateł, ach, i jeszcze zmęczone czoło lub napis, lub chodnik, lub ciało, lub wszystko to razem oblane keczupem ze smołą lub co tam było pod ręką i

przymocowane rogi jelenia. Jest tyle możliwości, że nie mieszczą się państwu w wyobraźniach, lecz w oczach jak najbardziej. I sobie państwo oglądają, oglądają, a później idzie się na kawę. A oczom wystarczy zamknąć się na kilka godzin, aby odzyskały blask. Mogą państwo przyjąć wzrokiem cokolwiek i najwyżej skrzywić się. O, np. zmarszczki na zaoranej dłoni i płowiejące tkaniny w słońcu pustyni, obejrzą państwo, czemu nie, selekcja jest niemożliwa. Oczy chwytają na oślep, a już nadbiega za nimi cała reszta ciała i reaguje w najlepsze. Jak to ciało reaguje na obrazy, ho, ho! Zakłada ręce i kiwa głową. Ciało przecież goni za wzrokiem, głodne na zapas. „Mi się to podoba, a to już nie, ale to tak. Trudno”. Słowa to i tak najwięcej. Natomiast za plecami stoi państwu autor zdjęć i patrzy. Autor od tego przecież jest, więc spogląda i wykonuje wciąż ten sam ruch: pociera swój podbródek, lekko unosząc głowę. Ponieważ autor też jest tematem do rozmów, a później tę dłoń przesuwają za ucho. Wygładza włosy długimi palcami, a pukle ciężko opadają na świeży gładki kark: i jakież one są nieulożone! Autor również: potakuje i jest tak wdzięczny, tak, że tu państwo, tak, przyszli. A państwo popijają, schylając głowy nad rządami kieliszków, nażarci obrazami jak mydłem, trzeba zabić ten smak. Dla państwa bowiem specjalnie reportaż z wojny, gdzie słońce miesza się z wybuchem np. na ulicy, lecz także o wakacjach lub pustyni, a ludzie mają gumowe podeszwy i stalowe kaski lub beżowe płaszcze i nadal są za daleko, mimo że to bardzo dobra rozdzielczość. W galerii zimowego Miasta pod wieczór popatrzą państwo na krew i wybałuszone oczy, wykrwawiające się po troszku, kap, kap, ależ kolor na piasku. I westchną państwo ze zmęczenia całym tym dniem, który był wcześniej. Oraz nałożą państwo każdy swój szalik, wiatr wszak przyleciał znaną Wysp Północnych, i kiedy wychodzą państwo ze szklanej galerii, on dmie i powoduje choroby gardła, „mogłoby wreszcie zrobić się

ciepło”, mówią sobie państwo do znajomych. Po drodze do domu rzuca państwo drobną jałmużnę skurczonemu człowiekowi z ciężarną suką, których państwo mijają, zaglądając w szalik i pod wiatr (o ile w ogóle się państwu zechce). Natomiast wystawę zamykają za dwa tygodnie, lecz nadchodzi np. wiosna i w ostatnich dniach to jest właśnie państwa ulubiona wiadomość. Na kolację coś sobie chyba odgrzeję, myślą państwo po cichutku, i to dopiero będzie najprzyjemniejsza część dnia, który już ściemniał. Kłóci się z Mikołajem i jest już upalnie oraz godzina osiemnasta trzydzieści. Mikołaj za to brzydki i o ciele jakby z budyniu. Od palców zostają mu ślady na skórze i na długo, od wódki ma pryszczę. Bez białych końcówek, za to grube i rozległe, twardniejące głęboko pod skórą. Mikołaj to delikatny chłopiec w koszulkach polo, różowy blondyn, wrażliwy na wiosnę i jesień, skulony między kablami usb. Chłopiec zakopany w kępkach czesanej wełny, z malutkim, zgarbionym odcinkiem szyjnym i prawie bez brwi. Do sterylności brakuje mu jedynie twardszej skóry, lecz w drogerii nic na to nie umieją poradzić. Weź mnie nie wkurwiał! Mówiłem ci o tym projekcie, nie pamiętasz!? Znowu, kurwa, nie pamiętasz?! To o czym ty myślisz, „o czym?! Mikołaj chce postukać się w czoło rulonem z drogiego magazynu o rowerach, ale przypomina sobie, że ma ogromną krostę, i nic z tego. Tydzień chlania na urlopie z pracy, której nienawidzi, lecz się nią chwali, i niestety Mikołajowi znowu popsuła się cera, a tak bardzo dba i ustawia specjalistyczne kosmetyki w rzędku. I spogląda teraz na Pat wściekły i bezradny, a to pech. Wybuch, co mógłby innego zrobić: nie kpij ze mnie, ja pierdołę! Dlaczego ty mną gardzisz!? Czy państwo również chcieliby mieć problemy typu: podobne? Tak/Nie. Znowu się na Pat wszyscy patrzą, ona rozgląda się na boki, a Mikołaj trzy razy powtarza, trzy razy jak głuchej, trzy razy powtarza: to co, jedziesz ze mną, słońce, na tę imprezę firmową? Trzy razy! Weź no,

proszę, to co, jedziesz ze mną, słońce, na tę imprezę, no co, to jedziesz ze mną? Co tam trzy — więcej! To jest sto kilometrów od Miasta, to jest tam, to co, jedziesz, jak chcesz to coś, pójdziemy sukienkę obejrzyć, słońce, proszę cię! To co, pojechałabyś? Pat nie odpowiada, ani razu, nie mówiąc już o wzroku. Chociaż pottrzymałaby go za rękę, ale nie: w ogóle nic. Pat patrzy za to na mijających ją ludzi, jakby chciała zaczepiać, zagadać. A Mikołaj, proszę bardzo: idiota. Albo się Pat mnie wstydzi, tak, wstydzi się mnie. To przez tę krostę, przez te moje rzadkie włosy, blond, szybko wyłysięję, chociaż kupiłem szampon za czterdzieści złotych i łykam skrzyp, ona to widzi, i nie jestem wysoki. A jak założy szpilki, to już wcale, aż ją muszę szarpnąć. Więc Mikołaj szarpie i Pat znów patrzy na niego, lecz nie jest z nią najlepiej. Idziesz ze mną, czy z kim, czy kurwa, obok mnie? I Mikołaj już wie: źle to brzmi. Ale Pat na niego patrzy, owszem, patrzy na Mikołaja i nawet stoją, i się dotykają, ponieważ on wciąż trzyma jej ramię w garści, miękkie i blade. Ale Pat w ogóle nie jest zła, chociaż Mikołaj szarpie. A Pat nic. Co dla Mikołaja jest krępujące, jakby kota topił niemal, potwór, po prostu potwór. Aż ludzie się oglądają, oczywiście, co ty robisz tej pięknej dziewczynie, jeszcze tego brakowało. Pat stoi i patrzy na Mikołaja, równie dobrze mógłby ją uderzyć. I śmieje się Pat, śmieje z Mikołaja zasłaniając usta dłonią. A weź mnie nie wkurwiał, Mikołaj puszcza ramię Pat i odchodzi. Szybko, wyprostowany i zaciska zęby. A Pat zawraca i no cóż: w sklepie na rogu jest przecena sukienek. Na ramieniu zrobił się już siniak. I rośnie. Mikołaj po kryjomu ogląda się za siebie (ale dopiero kiedy czeka na światłach), lecz Pat oczywiście za nim nie biegnie, aby przeprosić. Państwo również się nie dziwią, a przynajmniej większość z. Pytanie brzmi: czy Pat kupiła jakąś sukienkę? Ach, jak wysoko w związku z utratą Pat, lecz przede wszystkim mniemania, czasu i dobrego humoru, ach, jak wysoko podnosi

Mikołaj Nikin głowę, a niebo opada na jego tęczę. Chmury toczą się przez gładkie czoło, szlachetny młodzieniec, dumny i porzucony: dość tego. A poza tym nie tylko odejście Pat ze środka serduszka spowodowało niekonieczny humor. A może Mikołaj ma stłuczone kolano? Oczywiście, że życie Mikołaja nie jest łatwe, wręcz powiedziała by Mikołaj, że jest dużo cięższe niż życie innych, ale on o tym nie mówi przecież głośno. Ponieważ jest skromny i nie będzie się użalał, woli kopnąć, a następnie na nowo uklepać w sobie krawędzie, które będą proste i ostre jak w świeżych ścianach.

*

A tymczasem do ogromnego, blaszanego, kanciastego supermarketu darmowym autobusem przyjeżdżają mieszkańcy oko liczych wsi, studenci i rodziny z listami zakupów, i wszyscy są spoceni, zmęczeni, lecz oczekują jakichś niespodzianek, których szczegóły znajdą na ulotkach. W B. SHOPIE popychają więc przed sobą kosze wypełnione kilogramami makaronu, ryżu i najtańszymi sosami, a metalowe pręci się uginają, aż kółka ciążą w osiach i skręcają ostro i gdzie indziej. Piętrzą się tam na wielkich przestrzeniach ciężkie stosy jabłek i taniej coli, dużo mielonej kawy, konserwy i chleb w wieżach, herbata minutka, prezerwatywy Soft and Safe i prochy zup w torebkach. Niektórzy z klientów mają auto za ledwo co (uważaj na głowę). W którym tłoczą się na skrzyżowaniu pod sklepem, wyjeżdżając obładowani zapasami w plastikowych reklamówkach za grosz. Chociaż ci oszczędni jeden raz kupione wykorzystują do śmierci. Ich luksusem są obniżone ceny za kilogram skarpetek, mięso za dwa dni trujące w cenie lepszej niż nigdy. Że mogą sobie pozwolić, w końcu człowiek nie może całe życie jeść mortadeli. Ich bogactwem są bony świąteczne z pracy, na kilkanaście, kilkadziesiąt, kilkaset, lecz mniej niż wiele. Można za nie kupić: po zabawce dla dzieci

na prezent (tylko nie zniszcz!) i chodniczek do łazienki, bo stary już śmierdzi. Świeżość zawita więc do ich mieszkań, gdzie kolekcjonuje się rzeczy. Ponieważ posiadanie jest bezpieczeństwem dostępnym i łaskawszym niż ubezpieczenie, nawet jeżeli mieszkają w lokalu, którego nie wykupią. A to jest jednak marzenie. W skład Całej Reszty wchodzi bowiem również rodziny i rodziniki, które mają marzenia i albumy ze zdjęciami, a ich dzieci rosną im w swoich ciątkach i podkoszulkach. Marzą te rodziny i rodziniki np. o wykupieniu mieszkania, które wyrwane wreszcie na własność byłoby tańsze w utrzymaniu i opłacałoby się w nie inwestować: cokolwiek. Czynsz byłby niższy, więc można by zaoszczędzić na wymianę okien. Na plastikowe, a one pozwalają oszczędzić na ogrzewaniu. A jak już będzie można oszczędzić i na ogrzewaniu, i na czynszu, to pośle się dziecko do szkoły językowej, żeby miało lepszą przyszłość. A dziecko dostanie w tej szkole darmowy segregator. Niech sobie więc państwo patrzą na tych ludzi, Całą Resztę tych ludzi: ależ bogactwo! Właśnie wyjeżdżają z zakupów, rozglądają się na boki, z okien autobusów lub zza szyb swoich aut. Patrzą na masywne samochody terenowe, na siedzące w nich dziewczynki o słonecznej cerze i na ich braci, znudzonych chłopców, którzy mają porządne zegarki na pokrytych delikatnymi włoskami nadgarstkach i grube bluzy ze stuprocentowej bawełny. I na tatę kierowcę, dość wykończonego, i na mamę o gęstych, błyszczących włosach i z pierścionkiem. Być może pochodzą oni z archipelagów apartamentów. Nie dowiedzą się tego państwo już, ponieważ oto rodziny lub rodziniki należące do Całej Reszty odwracają wzrok od wielkiego auta, żeby ich nikt nie nakrył, i może nawet puszcza sobie muzykę, bo mają u siebie nawet radio, proszę państwa, należy to znieść. Tamci mają jednak i klimatyzację. Lecz rodziny Całej Reszty po cichutku wiedzą swoje o machlojkach, układach i

soczystych gronach znajomych. Wszyscy jednak klienci zmierzają teraz do domu rozpakować prezenty, które sobie wybrali i kupili, a wcześniej na nie zarobili, i to ich najbardziej cieszy. I tego niech się państwo trzymają, jak radzi Miasto. Klienci są więc całkiem szczęśliwi, ponieważ sobie coś zużyją i będzie im smakowało, jak zostało obiecane. Również ci, którzy w tym momencie na pasach i w deszczu mają pierwszeństwo i przechodzą na drugą stronę, np. wracając do domu, chcieliby wszystko odpakować i wykorzystać. Mają do B. SHOPA tak blisko, że widzą go z okna, ale i tak przemokną do cna. A Miasto, które trzyma kałuże w zapasie, wybucha nimi właśnie na ludzi. Za karę, bo kolejny raz doprowadzają Miasto do szału. Grzegorz rozgląda się, usiadłby sobie w fotelu, „ale się zmęczyłem”, ale nie ma. Nie ma w Mieszkanu nawet krzesła, tylko ten obrus i Pat na nim, cokolwiek spalona, co śmierdzi. Ponieważ Grzegorz przejął się swoim zadaniem, aż kaszłą państwo od pyłu spalenizny. Jednak nie tylko skóra, bo i jakieś mięso tu pachnie, i to zewsząd, i resztki jedzenia oraz mokre szmaty, i to najwyraźniej od dawna. Mieszkanie zionie żółtawym oddechem, ogrzane i usmarowane własnymi sokami. Ściany i zmielone fragmenty rzeczy są nie do rozpoznania, państwo zasłaniają usta. Natomiast wszystkie przedmioty, które Pat zdołała wynieść stąd pojedynczo lub rozłupane, poszły już dawno na przemiał. A właściwie to dlaczego nie rozlegają się teraz brawa, Dusza przecież nasłuchuje dyskretnie. Basta! Owacje na stojąco! Grzegorz jest szczęściarzem, ponieważ zostanie zapamiętany jako ostatni (szał!). Całkiem już niszczy ciało Pat, które jest teraz: mokre od krwi i limfy, czerwone, miejscami zbrązowiałe, gorące, i piecze, w dotyku chropowate. Widzą państwo, co też ona tam w środku ma, w sensie: mięcho, żadne tam męczące „uczucia”, a po pamięci popioły, po przeszłości dym. Nie poznają państwo dziewczyny, tak? Czy to Pat, czy

nie Pat? Kamery czają się tu, na miejscu, a więc jest już ono tzw. miejscem akcji. Relacja świeża jak dziecko, wszak liczą się fakty i każda złotówka. Czy to Pat, czy to jeszcze Pat? Tak/Nie. Dzieci hałasujące w Pat zostały już zjedzone, wcześniej oczywiście pokrojone na kęsy i widelcem. Ślad po nich zaginął sześćdziesiąt dni temu. Teraz został po nich tylko bałagan, lecz żadnej zabawki. Inna sprawa, że nikt tych dzieci nie szukał. Całe szczęście, że jest tu jeszcze Grzegorz.

Grzegorz Dusza

Grzegorz jest całkiem nieźle zbudowany z krwi i kości, do których ma w dodatku pociąg. Jego ulubione obrazki to ludzkie wnętrza i głębia ich, lecz tylko ostro i wyraźnie. Ma to Grzegorz na co dzień w folderach schowanych w folderach schowanych w folderach: te garście otwierają się jedna w drugiej i wszystkie obfitują w podarunki. A ciało Pat jest na razie jedynie spuchłe, otwarte gdzieś, jednak nie aż tak, żeby mogła z siebie wyjść i nie poznać swej skorupy. To nawet ciekawe dla Grzegorza, wreszcie sobie dotknąć i pogrzebać. Co prawda, bogactwa z wyszukiwarek są większe i rozwijają się przed nim na nieskończonej rolecie, one jednak nie pachną. Grzegorz znajduje je dzięki różnym słowom kluczowym, ale Internet to nic w porównaniu z żywym materiałem, który reaguje. A muszą państwo wiedzieć, że od kiedy Grzegorz poszedł do pracy, to nawet przed snem sobie wydrukuje co nieco z policyjnych kartotek trupów nieznanymi: czemu nie. Co go uspokaja, a może nawet czuje się lepszy, z pewnością. On doskonale wie, przed czym się nie da ubezpieczyć małych ludzi w małych mieszkankach, z małymi dziećmi i małym samochodem, a sufity wiszą nisko. Ludzie ci małe mają czoła i małe oczy, jakby wypełzli spod ziemi, tacy obli.

Uśmiechają się też podobnie do porażonych światłem kretów, często mają dziury zamiast zębów. On, Grzegorz, jest z rodziny, co straciła majątek na Kresach, więc, ejże, nie myślcie sobie państwo, i nos posiada rzymski. Nie żeby się tym chwalił, ale przecież, proszę dotknąć, sprawdzić: lepsza okleina. A na dodatek Grzegorz wie: tragiczne wypadki tratuja wciąż ludzi, przełamując ich po drodze jak gałęzie. To dzieje się szybko i szeroko zagarnia w przepaść lub chorobę. Ma Grzegorz na to dowody. Nawet młodzi, pełni wrzącego soku i sprężystości, ulegają rozłupaniu. I tylko z nich skapnie, skrzepnie. Po przetarciu rozpuszczalnikiem jest po wszystkim. Potem należy za to wypłacić sto procent umówionego kapitału. Sam Grzegorz trzyma się cały i zdrowy, ciągnie go jednak do rozprutych lub chociaż sinych, lecz jest kulturalny i ma czystą klawiaturę. W swojej pracy za to ostrzega ludzi i ich życia przez stratą, robi to z wdziękiem i po uprzednim telefonicznym umówieniu wizyty. Nie drżą mu ręce ani nie są spocone, a wręcz je kremuje, ale z umiarem, którego nigdy za wiele. Jest susza i cały dzień Pat śpi w Mieszkaniu, dookoła czyściutko. Remont zdążył już wywietrzeć, a w lodówce pomidory tężeją w cienkich skórkach. Drewniany parapet schnie pod słońcem, aż pękają słoje. Lipiec umiera pośrodku lata i brakuje mu oddechu, lecz dosyć już państwo mają tych okoliczności. Pat budzi się o siedemnastej i kolejne pół godziny spędza, opierając się o zimne kafelki. Oblewa ciało wodą, temperatura i rtęć za chwilę opadną. Ogląda na kurkach swoje zniekształcone ramiona i szyję, piersi ogromnieją, podczas gdy oczy pozostają czarnymi dziurami w różowej skórze. Nie ma dziś specjalnych zdarzeń i uszykowanych planów, dzień stoi od dawna w naczyniu i zdążył już zwietrzeć. Spokój pęka i rośnie, surowe ciasto, Pat ziewa, mieszając mrożoną kawę długą łyżką i w samych majtkach, włosy schną rozrzucone na suchych plecach. Jest Pat

tak wygodnie, że właściwie nie dziwią się państwo, że fabuła wreszcie trzaśnie Pat w twarz. Życie zaraz stanie na nogi, ale to za chwileczkę. Pat nie robi pełnego makijażu, tylko pudrem po czole i nosie, jakiś tusz, zapomniała o pomadce, usta zaraz ściągną. Skóra jest napięta i lśni. Włosy Pat przeczesuje ręką, część zbielała od słońca. Ma bardziej niebieskie oczy, kiedy zakłada bluzkę w marynarskie paski. A jednak istnieją tacy ludzie, myślą sobie państwo, popatrując na Pat, wyjątkowo dziś wypoczętą i opaloną.

*

Lecz wszyscy na momencik są przepięknym produktem swojego wieku, państwo też, więc nie smućcie się, nie! Później, co prawda można już tylko imitować ten stan, co jednak czynią państwo umiejętnie lub nie. Bo najlepsze, co może państwa spotkać, to państwo we własnej osobie i w dobrym ciele, ale tylko naraz. Lecz nie zawsze wystarczy się wyspać, kiwają państwo smutni głowami i piją tę wodę, wodę i witaminy, wodę i witaminy, i co z tego. Grzegorz trzyma więc zapalniczkę w swoich godnych zaufania palcach, a ona stygnie. Ciało Pat natomiast jęczy: zabierz mnie stąd, lecz Pat utrzymuje je w ryzach, wbija plecy w podłogę. Na obrusie odciskają się wszystkie brudy, które z niej ciekną, trzeba będzie uprać. Czucie zaraz minie i nic już nie zostanie zapamiętane, Pat nie pozna siebie, spopielona w garść. Z podłogi za chwilę podniesie się Nowa Pat, której państwo oczekują, chociaż początkowo będzie mieć problemy z równowagą. Tymczasem Pat wytrzymuje swoją śmierć. Jest pewna, że ból rośnie od światła, więc zamyka oczy, żeby zgubić go w ciemności, i wypuszcza dłonie z pięści, ale ból nie daje za wygraną i ujada. Jeszcze czego. Pat stara się więc zasnąć i wyobraża sobie w tym celu zielone krainy pełne słońc. Jednak co chwila zapada w tych krainach czerwień, która rozgrzewa się, aż pęka i rozlewa dalej, dalej. I jak tu sobie

wyobrazić serdeczny świat, kiedy ciało Pat wybucha, a spod skóry i mięs wykluwa się powoli nieopancerzony, świeży człowiek, Nowa Pat, której państwo oczekują i Pat też. Jak twierdzą kamery, wreszcie trudno rozpoznać Pat, poza tym Pat już nie ucieka. Jej ciało wypływa z siebie po troszku, jest jak miękki owoc i fermentuje. Spojrzenia nachylają się nad tym ciałem i jedzą z niego wszystko, zagarniają też zapach, mogą sobie państwo wyobrazić. Pat lekko podnosi główkę i patrzy uważnie wzdłuż mięsa, obmacuje opuchnięty tułów, szuka znajomych elementów: nic z tego. Należą się jej gratulacje, nie zostało z Pat nic ciekawego. Resztki obciętych włosów i popiół przylepiły się do świeżych oparzeń, a Grzegorz zdmuchuje dym z czubka palca, chociaż nie ubrudził rąk i żaden to western. Pat jest dość nieciekawa, ponieważ nie wykonuje gwałtownych ruchów, a nawet nie przejawia się. Kamery obracają chciwe oczy na Grzegorza, który: bardzo chętnie. Oto Grzegorz Dusza, lat trzydzieści, singiel, lubi podróże kulinarne i ezoterykę, mgr homeopatii Uniwersytetu Miejskiego. Dzień dobry, jak się bawisz, Grzegorzu? Już tylko poprawki, żeby równo napuchło, bo ciało Pat skończone i całkiem bezradne, dochodzi do siebie, gasnąc i dymiąc, a przy tym sporo zmieniło swoją barwę. Bawię się bardzo dobrze. Bawię się bardzo dobrze. To jest właściwie spełnienie takiego mojego małego marzenia i dużej ambicji, bo doprawdy, zostawiła mnie tam w pokoju wtedy, uciekła, a stałem nagi.

W obliczu tych luster, wyobraźcie sobie państwo, Grzegorz poprawia mankiety, co mam te lustra dookoła zawieszane, więc że tak powiem: widziałem, jak wyglądam. I więc czy państwo myślą, że to było przyjemne? Jak ona nagle wychodzi, kobieta cię opuszcza, a tak się starałem z asortymentem, dzemy, galaretki, ciastka, nawet z Delikatesów, zawsze coś nowego. Atrakcje, piwo australijskie, orzeszki z Japonii i jej robiłem zdjęcia, z każdej strony. Wiem, że to nietypowe, ale

rozumiecie przecież, wola jest prawem, miłość jest prawem, każdy jest jakąś gwiazdą, a ja jestem w dodatku również Wtajemniczony. I ja wam powiem... (Grzegorz spogląda w obiektyw, który kiwa zgodnie swoim łbem: ależ mów to jest właśnie twój czas).

*

To jest właśnie twoja ostatnia szansa, Grzegorzu, państwo aż podchodzą do ekranów i z ust państwu spadają kruszynki, o językach państwo zapomnieli i jedynie wzrok pożera państwa od głowy, a uszy płoną. Grzegorz natomiast mówi i jest pewien. Przez centrum Miasta Pat przedziera się już w chłodzie. Chociaż powietrze jest wciąż mocno naelektryzowane słońcem, Pat dostaje gęsiej skórki. Zza każdego rogu wpada na nią wiatr, dreszcze biorą się być może też z przecucia, że lęgnie coś się w tej stojącej wodzie. A Pat czeka i idzie. Nie zabrała portfela, ale ma kosmetyczkę, a w kieszeni dziewięć sześćdziesiąt (kupię sobie może colę). Piątka, dwie dwójki i sześć malutkich monet, które są najśliczniejsze. Przechodzi wśród świateł, których kolory są wyraźne i surowe. Ludzie wyruszyli pić pod parasolami i dotarli do celu. Wchodzi do dwupiętrowego Bricka, a tam jasnożółte światło, gazety, książki i filmy, co tam jeszcze, no z pewnością breloczki. I jest ciasno, Pat przyszła pooglądać gazety. Może nawet powącha jedną z nich i odłoży ładnie, żeby nie pognieść. A może sobie kupię lody włoskie, usiądę przy stoliku i powachluję się rączką, a czas rozprzestrzeni się po swojemu, jeżeli w ogóle umie, nieważne. Patrzy więc chwilę później na Pabla nieprzytomna, pachnąca mydłem, które starła z siebie przed godziną. Powietrze wciąż ma ponad dwadzieścia pięć stopni. Przed chwilą Pablo dotknął jej ramienia, pytając: do you know, where I can buy cds here? Ostrzone „r” w akcencie brzmi prawie miło, a Pablo patrzy na Pat bezradnie. Na dodatek przechyla głowę. Zagubiony pan w garniturze, ani

gruby, ani chudy, ale co najmniej ogolony, państwo by mu dali trzydzieści dziewięć, no, czterdzieści lat, i niech sobie tyle weźmie.

146

O, tam są płyty, pokazuje i też po angielsku, o, tam, ładnie, tonem, ależ proszę, o, tam, taka miła jak kraj. Niech pan odniesie takie właśnie wrażenie, proszę nie myśleć źle. Tu się wciąż staramy, my w tym kraju, i o nic nie mamy pretensji, nie jesteśmy niemili, tam są płyty. I Pat wreszcie odwraca wzrok do siebie. Jednak nie cofa się w głąb na dobre, bo Pablo kontynuuje rozmowę, a Pat z tym swoim błękitnym spojrzeniem odpowiada. Pablo ogląda się wprawdzie za rączką Pat, wskazującą: o, tam, tam, i lgnie do niej, a powieki Pablo ma ciężkie. Przesuwa spojrzenie od nadgarstka do pachy. Przechyla Pablo więc głowę oraz: would you like to go with me for a drink, i pokazuje palcem wyjście z Bricka, o, tam, tam, i wszystko to trwa dziewięć sekund. Więc lęgnie się pod wodą wir, a między Pablem i Pat kręci się szpula, która nawija ich coraz ciasniej. A przynajmniej na tyle, żeby Pat spojrziała wreszcie na Pablo dłużej. Jego oczy są niepewne i gotowe. Pablo daje jej jednak wyjście, Pablo nie robi ani kroku, jak nie, to nie, trzyma ręce przy sobie. Przechyla się wprawdzie lekko w stronę Pat, ale i tak zachowuje ponad metr odległości. Jest gotów zerwać się do biegu, trudno, miło cię było poznać, a jego ramiona pozostają rozchylone, już się poddał. Ach, te niezniszczalne gesty, zawsze pod ręką. Pat natomiast w ogóle nie bierze pod uwagę strachu, wręcz tylko ciekawość. Oh yes, okay, oczywiście z uśmiechem. Pablo mógłby podejść teraz do Pat i ją objąć w talii, co prawda nie przytulić, lecz pokaż mi, co też za gazetę oglądasz, śliczna panienko, i inne bzdury, czy jesteś z Miasta i co robisz? Natomiast Pat, w

ramach kontynuowania dialogu, okay, będzie mi miło, będzie mi miło, tak, chodźmy stąd.

*

Miasto za to wciąż kiełkuje pniami pięter i nachyla się w kierunku centrum dzielnicami na obrzeżach, i im więcej ma ciała, tym ostrzejsze zapachy wydobywają się z jego dziur, szczelin, zza rogów i mieszkańców. Gdyby można było chociaż zebrać tych wszystkich ludzi, mieszkających w kolorowych blokach, w garść i wrzucić w ogień, jak łupiny orzechów albo śmieci, oczywiście włączyć okap, ponieważ jak się pali włosy, to śmierdzi. Później urznąć bulwy opustoszałych osiedli i wetknąć zgrabne wreszcie Miasto w doniczkę horyzontu. Jego wyziewy łatwiej byłoby kontrolować, czekając, aż zakwitnie, aby raz po raz ucinać kiełki łbów. Lecz nie uda się, jak przykro. Miasta jest tyle, że ciekną mu po udach jego farby, tynki, smoły i gówno. Wciąż siedzi na kanapie ze swojego ciała, moszcząc się, ale wygodnie, i dalejże bawić, bić ludzi podskakujących mu radośnie na kolanach. Grzegorz więc opowiada, a siatki na długich mikrofonach jeżą się prądem. Ja jestem pewien, że Pat dzięki mnie odkryła swoją kobiecość, stworzyłem ją, powiedzmy wprost: potwora. W tym miejscu Grzegorz śmieje się nienaturalnie wysokim głosem i pokazuje palcem spalone ciało Pat. A ciału mięśnie drżą, raz po raz, lecz są i chwile ciszy. Potwór, powtarza Grzegorz, a śmiech jego przechodzi po państwa skórze ciarkami, mimo że Grzegorz zasłania usta, jednak nie może się opanować i odrzuca łeb w tył. W kadrze migają tylko wargi, ale co chwila i są wilgotne. Uspokaja się jednak Grzegorz wreszcie i po odkasznięciu patrzy odważnie do kamery, a więc tak: dobrze się bawię. Grzegorzowi, jak widać aż z oczu płynie kolor żółty, jak wyciśnięty z tubki farby, gęsty i śmierdzi. A ze słów, to chyba sami państwo widzą, co i ile się tego leje i plami na czarno. A taki umyty i pełen manier po pysk

wydawał się państwu Grzegorz. Chociaż z pewnością ma swoje momenty, pół roku temu został np. ojcem chrzestnym. Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, przepraszam, bo ja w końcu wykonuję zabieg przyjemny z pożytecznym, i Grzegorz gładzi delikatnie napięte pęcherze na skórze Pat. Ileż ja z tą Pat przeżyłem, i spędziłem z nią też czas jakiś. To było zwykle milczenie, lecz czemu nie. Ja nie muszę rozmawiać, ja jej dawałem książki o prawach miłości i natury oraz puszczałem muzykę, a Pat siedziała i patrzyła w punkt. Nie wiem, nie wiem, Grzegorz przeczesuje włosy, może nie umieliśmy nawiązać kontaktu mentalnego? Ale żeby to miało jakoś wpływać na nasze relacje, nie powiedziałbym, w związku z tym odpowiadała mi, tak, niemrawo, i dopiero jak ją, no właśnie, rozebrałem i sobie pooglądałem w łóżku, no wtedy się robiła ludzka. I nawet mnie obejmowała, no, ale że miłe słowo, to raczej nie i raczej na pewno. Zresztą, co ja mówię i co mnie to interesuje, to doprawdy: nie wiem. Skąd ona się wzięła, ta Pat, więc? Z pyłu galaktyk, jak my wszyscy, pozwolę państwo, że się odwołam do swojej filozofii, a poznałem ją wkinie. Jak poznałem Pat w kinie, była sama, to zająłem się, znam się na tym. Wierzcie mi, państwo, chwiejnie szła, pochylona, takie szurze to i bure, to dzięki mnie się stała tym, kim była, dopóki, no właśnie, i Grzegorz znów pokazuje palcem na ciało Pat, które śmierdzi. Wracając zaś do mojej opowieści, drodzy państwo, otóż, kiedy tylko Pat podniosła wzrok, widziałem, że to oczywisty przypadek i czysty, wiem, co mówię. Śliczna, przyznam, ale aż się do palców kleiła, żeby ją dotknąć, bzdury próbowała mówić, w sensie: poglądy, ho, ho, ale bądźmy poważni. Odpowiadała mi chamsko czasem, ale to widać, że małe i głupie, więc dajmy spokój, proszę państwa. Ja jestem w końcu trochę starszy i doświadczony, a przynajmniej poważny. Więc mówiłem: powinnaś zająć się nauką i nie powinnaś jeszcze w tym wieku chodzić w

szpilkach, powinnaś używać kremu pod oczy, zachowuj się tak, żebym był z ciebie dumny, i dlaczego nie ćwiczysz sportu? Pływanie, uważam, że byłoby odpowiednie, chcesz, to ci załatwię karnet na basen, cała sylwetka się rozwija i nie powinnaś wiązać włosów. Rozpuść je, no daj, rozpuść. Brałem więc te włosy i rzucałem jej na twarz, tu odgarniałem za ucho, tam zakryłem czoło, naprawdę wyglądała korzystnie, ona na to w szła. Wrzeszczy mi, uderza dłonią o łóżko, no wprost powinienem to sfilmować na później i jesienne wieczory. Grzegorz czuje się dumny ze swojego humoru i podnosi prawy kącik pięknych ust. Weź się wreszcie, się po prostu odpiardol od tego pływania, krzyczała Pat, a ja na to spokojnie, bo przecież jestem poważny: ja to ci mówię, Pat, dla twojego dobra, chcę jak najlepiej. Po co masz sobie niszczyć stopy na obcasach, i tak wiesz, że mam rację, tylko się nie chcesz przyznać, Pat. A Pat powtarzała wtedy: zamknij się, durniu, jakieś takie bzdury opowiadała, doprawdy urocze, więc nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Próbowałem też, oczywiście! Próbowałem wielokrotnie Pat rozluźnić i klimat, a więc łaskotałem ją, ale kopała, to w końcu dałem spokój. Za młoda i wielu rzeczy nie rozumiała, co ja na to poradzę, przepraszam, zapaliłbym sobie, można? I Grzegorz skręca papierosa na podłodze i zapalniczką odpala, co już kamery uchwyciły, że tą samą! Pokazują więc również ciało Pat, a ono jak sterta zgniłych liści. A papieros Grzegorzowi sterczy w ustach, silne ma mężczyzna wargi i „ten uśmiech”. Kamera patrzy tak długo, że Grzegorz nie może tego znieść, więc jego oczy umykają w dół.

*

Ludzie z samochodu wymieniają między sobą szept o chłopcach: co jeden, to lepszy — i chichoczą, udając kaszel. Lecz jak Grzegorz wypadł, chcieliby wiedzieć, a więc: nieźle. Ma Grzegorz lustreczko w kieszonce

marynarki i przeczesuje przed nim zmierzwiłone włosy. Niedobrze wyglądają, odsłaniają bowiem łysiejący kawałek głowy, niedużo, ale sami państwo wiedzą (lub nie). Obiektywy wracają teraz do Pat, okrążają ją natrętne i żarłoczne, a framugi okien i drzwi gną się pod ciężarem tego całego sprzętu. Pat się zgodziła na ofertę Pablo i wybuchły fanfary, bo pod jej odpowiedzią ukryta jest nagroda w postaci wycieczki dla dwóch osób. Inne kurtyny pozostają ciężkie i niezauważone, ponieważ oto odkręcone zostają oklaski i na Pat spada przygoda w setkach kolorowych ścinków: wirują. Pat podaje nawet ramię Pablo i idą tym samym rytmem kroków. Wychodzą więc z Bricka wzdłuż świateł i magnetycznych bramek, ochroniarz mówi „do widzenia”. Poza tym noc dopiero co się ocknęła. Na ulicy śmiech uderza falami, ludzie wybuchają nim, i to wciąż. Gdzie nie spojrzeć poruszają się ich ciała. Błysk, błysk, ha, ha. Śmiech między nimi supła głosy w jeden, wycieka spod parasoli i po cichu zmienia się w hałas. Czarne powietrze krąży dookoła, a ludzie są jeszcze rozpaleni dniem, horyzont Miasta chłodnieje. Trzyma się mocno zaczepiony na szczytach kamienic i wielkich reklam, które nie gasną, a w dole za to sam środek balu, na placu w centrum Miasta. Pat rozgląda się i czuje zapach perfum i tłumy, jedzenia i wody. Ciemność rzędzie, stopniowo schodząc z nieba, i tu, na dole, topnieje od ilości bogactw. Pablo jest tego samego wzrostu. Pat zatrzymuje się, robi krok w tył, oblizuje wargi, zdana na decyzję Pablo, no, zajmij się mną, Natychmiast jednak uśmiecha się, żeby zatrzeć wrażenie zniecierpliwienia: jaka ona miła i empatyczna, ta Pat. Co w jej wieku jest niewiarygodne, a więc śmieją się państwo w bród. Wskaźnik poczciwości powinien zostać dorysowany na piersi Pat i to czerwoną kredką. Pablo natychmiast wyciąga do Pat rękę i przedstawia się łącznie ze swoim krajem, choć hak ciszy tkwi między sylabami. Czy więc Pablo wyczuwa już margines błędu

tej nocy, tak jak i państwo? Tak/Nie. A kiedy puszcza dłoń Pat, pełen w zamian jej imienia, powtarza je jeszcze kilka razy i wydaje się, że rozmowa znów pięknie się leje.

Ja

No, rzeczywiście! Kiedy powiem sobie dość? Już ludzie z samochodu wznoszą oczy swoje w moją stronę, a jest ich wielu, na dodatek z kamerami. Zasłaniam się dłońmi i proszę, by nie nagrywać mnie, to ja posiadam większość udziałów w spojrzeniu, wy najwyżej możecie go sobie trochę oderwać i przeżuwać na uspokojenie, ale nie obracać przeciw mnie. Jesteście moi, tymczasem w sprawie Pat ludzie z samochodu pytają: kiedy przestaniesz męczyć nas czymś takim. Więc odpowiadam: konieczne to jest, przez chwilę, tylko wam tego brakowało, wiem. Jednak tak właśnie pęka ta chwila w sobie samej i nie poradzę nic, że Pat nie kaprysiła, nie była wyniosła, nieprzystępna, tajemnicza. Nie była nawet odpowiednio ubrana do lokali, do których mieli się udać, a torbę na ramieniu miała naddartą i płócienną. Jeszcze nam tego brakowało, jęczy ekipa, ręce pod sufit wznosi, a więc zamykam im usta, wkładając w nie opuszki. Czuję tam wyrzynające się ząbki, a więc stąd ten płacz: chcielibyśmy coś do gryzienia. Państwo zatem wrzeszczą, nie da się ukryć, oczekują państwo. To jest przecież puszczone ciemno w nocy, państwo mają rację, ale ja też mam jej pod dostatkiem. To jest przecież puszczone jako historia z mięsa uklepana, co zdążyli państwo zauważyć, a nawet kilkakrotnie zwymiotowali, bo jednak te gołębie wciąż tu są, i to na dużej powierzchni. Chcielibyście coś do gryzienia, rozumiem was, Panie i Panowie, lecz nic mnie to nie obchodzi. Pat podnosi się na łokciach i zaciekawiona patrzy w szybę zapchaną czernią.

Oprócz czerni odbija się tu również czwarta, piąta rano, a przypominamy państwu, że jest wrzesień i wszystkie liście jeszcze żyją przed śmiercią i za oknem. Słysząc ptaki, które śpiewają cienko, i jest to znośne tym razem, przynajmniej nie skrzeczą, skacząc po sprężystych gałęziach. I to wszystko Pat rejestruje, podobnie jak Grzegorza, który podnosi się z podłogi i szuka łazienki. Chciałbym się jednak odświeżyć po tej wyczerpującej konkurencji, i zerka, czy kamery zwróciły na mnie uwagę, czy kamery mnie widzą? Stał się dziś Grzegorz człowiekiem spełnionym, mimo że ubezpiecza na życie. Choć to tylko owijanie ludzi umowami, i jedynie na papierze. Jak ma ich zadźgać dzień, zadźga. Jest wszak do tego zdolny, to dla niego bułka z mięsem. Grzegorz nie może brać więc swojej pracy na poważnie, a nawet przestało go to bawić: szkoda. Taka refleksja schładza Grzegorza, aż kaszle w drodze do kąpieli. W tym czasie Pat czołga się za Grzegorzem do łazienki, państwo wybuchają śmiechem: żeby jej przypadkiem nie uciekł! Bohaterka zostawia za sobą ślimaczy ślad, po którym gładko przesuwają się za nią spojrzenia zza okien i państwa bijące serca: również mokre. Pozostał bowiem tylko on, młody mężczyzna obmywający ramiona. Napiłby się kawy i zjadł coś słodkiego, może być ciasto, które obiecała Pat, po czym kładzie się w gorącej wodzie. Para nawilża mu nos, uszy i powieki, Grzegorz zlizuje ją z warg. Opiera kark na brzegu wanny, co skłania również do uśmiechu. Napij się mleczka chłopczyku. Jak dobrze, że Pat wprowadzi tu trochę energii.

*

Mimo bijących mokrych serc są państwo jednak coraz mniej zainteresowani, bo to całe nieszczęście nadyma się nieznośnie, ach nie. Gdyż nawet zmasakrowane ciało się ludziom nudzi, a kamerom znacznie szybciej. Mają państwo całkowitą rację, ucałowania. Ludzie z samochodu wiedzą, że ciekawość państwa topniała, topniała i ciekła, uchodząc stąd

wirem. Co prawda, kołowała jak szalona i czas jakiś, ale wciąż w dół, więc to zupełnie naturalne, że państwo czekają teraz na świeżą wodę i świeżą kąpiel (Grzegorza). Są państwo przecież przyzwyczajeni do pieszczot już na pierwsze skinienie. Ma Pat w sobie kolonię śpiących dzieci, które jak połaskotane, rozległy się nagle wrzaskiem i śmiechem na widok Pabla. A Pablo, jakie to zabawne, nawet potknął się, wychodząc z Bricka, wciąż patrząc na Pat: hura! Znają to państwo dobrze: kobieta czuje się lepiej, kiedy mężczyzna się np. potknie, taki zdenerwowany, lub jak mu z rąk wypadną kluczyki i narobią hałasu, lub jak się pod nosem umaże sosem, och, bo pękne ze śmiechu! Te błędy są kobiecie miłe, przynajmniej na etapie sprawdzania w parach wzajemnej użyteczności. Jednak później to już absolutnie nie. Kobieta nie chciałaby być na miejscu mężczyzny, nic w tym dziwnego, kto by z państwa chciał. Przynajmniej nie teraz. Tzw. teraz jednak długo nie potrwa, jak zwykle, i to również nikogo nie dziwi. Piękna? Pablo pokazuje daleki szyld restauracji otwartą dłonią, a szyld jest niebieskosrebrny. Na co Pat się zgadza i ruszają przez plac, a między nimi brzmi opowieść, którą Pablo zaczął bez wstępu, jakby dawał Pat do powąchania dłoń, masz, oswój się, mamy dużo czasu, poczekam i nie będę wykonywał gwałtownych ruchów. Opowieść Pabla jest pełna nazw. Pablo uzupełnia katalog dla klubu City Scene, którego jest Panem Dyrektorem, nadzoruje aż z Nowego Jorku, lecz akurat przyjechał do Miasta, czasem musi. W tym miejscu się śmieje, ponieważ jest skromniutki i peszy go jego własna wspaniałość. A Pat stara się naprawdę ładnie stawiać stopy na kostce brukowej i jednocześnie patrzeć przed siebie lub nawet na Pabla. Pablo spisuje najlepsze hotele i restauracje w Mieście, umawia się z ich menedżerami i jest to przyjemne i super! Jedzą kolację i ustalają reklamę co do grosza. Jak tu doskonale i „smacznego”, mówi Pablo, i bardzo było mi miło pana poznać. Po czym

jest najedzony i po pracy. Idą więc przez centrum Miasta, a Pablo co chwilę pokazuje hotel, restaurację, luksusowego fryzjera pod złotym szyldem albo galerię sztuki, o, to, to, to są miejsca, które są wystarczająco ekskluzywne, żeby znalazły się w katalogu City Scene. I Pablo nawet podbiega do szklanych drzwi fryzjera, ciągnąc Pat za rękę, schyla się i pokazuje szarą nalepkę na drzwiach. O, to jest właśnie logo City Scene, obok logo Karty Kredyt. Pablo więc udowadnia swoje dane osobowe, co później Pat wykorzysta, zresztą jedynie przeciw sobie. Kiedy Pat łągodnie spaceruje z Pablem do Pięknej, Pablo nie przestaje mówić, a najwięcej o katalogu i swojej pracy, nic na to nie można poradzić, drodzy państwo. Czasem Pablo kończy zdania pytaniem, ale nic nadzwyczajnego. Nie, Pat nie wiedziała, że jest podobna do tej francuskiej aktorki. Słodki Jezu, co się dzieje z tymi ludźmi, że w kółko udają głupszych, niż bywają, a i tak im tego nie wystarczy? Państwo są doprawdy niemile zaskoczeni, że Pablo i Pat tak drażą i drażą błahość, jak uparte dzieci. Nazwy, o których opowiada Pablo, kołują wokoło kwiatów, muzyki i rozdziałów czasu, Hotel Barok, czy Pat zna, to jest bardzo dobry hotel i Pablo umieści go w katalogu, czy Pat chciałaby iść tam na „przepiórki”? (Tego słowa Pat nie rozumie po angielsku, więc: nie, nie jestem głodna). Oklaski dla Pat, bawi to państwa tak, że aż państwu skacze ciśnienie. A restauracje, o których mówi Pablo, mają pośrodku swoich szyldów zdublowane litery, ich imiona wiją się w ustach jak śliskie wstążki, nie, tam również Pat nigdy nie była.

*

Sklepy oraz budy również, może państwo zajrzą? I stoiska na kółkach i pod daszkami. A nadęty towar wypełnia piersią wszystko, rozlewa swoje mleko, mieszkańcy chłepcą szybko. Stadami, spragnieni, połykają w rozepchane żołądki. Z działu pieczywo pachnie na cały ich świat, lecz

poproszę jeszcze tej szynki, dziękuję. Przepraszam panią, czy to jest świeże?! Przeżywają zawód, jeżeli wracają do sklepu po trzech dniach, a w nim nic się nie zmieniło, stare te promocje. Przetrzebione więc już towary leżą w swoich resztkach, folia klejąca zbiera kłaki w gratis, również rozlane szampony. Kiedy jednak zmienia się układ regałów, niepokój i złość podskakują mieszkańcom w sercach: teraz już w ogóle nic się nie znajdzie! Dzięki reorganizacji szeregów doniczek i barykad z przytulanki mieszkańcy mają jednak szansę natrafić na coś, czego jeszcze nie widzieli. Znajdują to więc i w przeliczeniu na litry wychodzi taniej (i jest to dobre oraz jest to powód do radości). Katechizmy rachunków są przecież nieugięte i mają wiele podpunktów. Co nie znaczy, że kasjerki nie mylą się, ależ tak. No wie pani, pani mi mleko skasowała podwójnie! O właśnie jeden z mieszkańców udowadnia, jak bardzo trzeźwy umysł zachował pośród tłuszczy tej bezmyślnej i domaga się. Prawdy i prawa, oddaj mi złoty siedemdziesiąt sześć lub poproszę twoje nazwisko, i to z kierownikiem. Kasjerka ma tłuste włosy, oczy umalowane na szaro i tipsy, za których bielą rozlega się ciemność. I kasjerka jest przyzwyczajona. Dzwoni spokojnie i szybko po pomoc, a następnie patrzy w ekran komputera, przyjmując wszystko, co spada z ust obrażonego klienta na jej lśniące czoło. Możliwość pretensji jest bowiem szczęśliwym trafem, no proszę, co za złodziejstwo. Nadbiega już starsza koleżanka w elegantszej koszuli, a na szyi ma plastikową kartę. Ja ci cofnę, teraz tu naciśnij i jeszcze raz. A może wolniej, my mamy czas: w kolejce zapalają się oczy i wszyscy chcą wiedzieć, co się stało, co się stało. Kurwicy można dostać od tego oszustwa! Lecz odchodzi w końcu klient, którego próbowali oszukać, i czas płynie tak samo, lecz wciąż. Niech więc państwo spojrzą tu, gdzie spokojniej: oto są sklepy z wyposażeniem domu! Ich mieszkańcy wylecieli stąd na skrzydłach (m. in. Japończycy,

Tybetańczycy, Hindusi i Marokańczycy). Pachnie u nich wanilią i pomarańczami, fotele kosztują po piętnaście tysięcy i są obite materia (drobnotkaną w orchidee). Złotem i kauczukiem, włosiem misia panda i woskiem z pszczoł z Galapagos. W tych sklepach gobelin i arras, rosenthal i lufthansa, szkło + węgiel, a wszystko pod nazwą tajemną (kawa dla państwa gratis). I pakuje się przedmioty w złoty papier i wstęgi, kadzidło w ciasteczko z wróżbą, popiół i perła, skorupka z jajkiem, wenecki kran. Cienkie dzwoneczki też, zastawy stołowe i żyrandole, kapie złoto i mosiądz, frędzle zasłon i śluz cienkiej pościeli, kute ramy, materace kokosowe, jest tu wszystko i nie ma już miejsca na całą resztę. Chociaż przecież są też w Mieście apteki kosmetyczne, kolektury, kioski i przymierzalnie obwieszane ubraniami, które nie pasują. Zdjęte z wieszaków, straciły swoją sztywną elegancję i wytarmoszone za rękawy, wiszą teraz smętnie przed lustrami w pustych przymierzalniach. A Miasto nadal wre, a mieszkańcy pod przykryciem, czerwone mięso z czerwoną fasolą, państwo sobie odkaszną. Ponieważ oto podnosi się Pat, która wczołgała się na lodowate kafelki, piecze. Wyciąga Pat ręce i chwyta się umywalki i ściany, napręża ramiona, a przecież nogi nie zostały urwane i są, lecz są też do niczego. Grzegorz zamknął oczy, zanurzył się po szyję, czemu się państwo nie dziwią, wszak zmoknięty przystąpił do pracy, no i jak on się może czuć? Wiadomo, że źle. A może ci plecki kocią maścią posmarować lub zaparzyć szaławii. Pat charczy i jest przemiła. Chciałbym, chciałbym, tęskni Grzegorz za taką opieką, lecz za tatą bardziej. Grzegorz już nie pamięta właściwej twarzy tatusia, bo kiedy teraz odwiedza tatę, patrzy na potarganego starucha z plamami wątrobowymi na dłoniach i dość zniszczone zęby, od korzeni po brzeg, bo ojciec się uśmiecha. Wciąż jest radosny, co należy do jego choroby, a przecież nie ma jeszcze

siedemdziesiątki. I doprawdy, nie chciałby Grzegorz być z nim łączony, chociaż zanoszą mu na oddział owocki. Najbardziej tata lubi suszone jabłka, całe szczęście, bo są lekkie, więc Grzegorz może czuć się dumny z podarowanej ilości. Zawsze też dorzuci coś egzotycznego typu: karambola, co ojca zadziwia i można to poznać m. in. po tym, że pociera palcem o skórkę, aż ta wyda zapach. A następnie ojciec obnosi owoc po kolegach i podstawia im pod nos, zobaczcie, co mi syn przywiózł z podróży. Niech ma przed śmiercią, litościwie myśli Grzegorz, zbiegając ze schodów i wychodząc na powietrze po wszystkim, ale na głos ani się waży, takich rzeczy nie wolno. To jednak nie to samo, a wręcz całkiem co innego niż wtedy, gdy mu tatuś masował bolący brzusek i na pocieszenie dał ten piękny nóż myśliwski, z którym się Grzegorz nie rozstaje już dwadzieścia lat. Tata podarował mu ten nóż w sekrecie przed mamą, a oczy miał jeszcze wtedy przytomne i łagodne. Pat sunie w kierunku wanny, umyć ci plecy, pyta potwór pięknego mężczyznę. W odpowiedzi otwiera Grzegorz oko i uśmiechając się, kręci przecząco głową, po czym zanurza się po nos i puszcza śmieszne bąbelki, które również w resztkach twarzy Pat powodują miłe zgięcia. Grzegorz wynurza się lekko i śni spokojnie o swoim ojcu w przeszłości, natomiast poranek otwiera się soczysty. Po szybce w łazience ścieka szara rosa, a Pat nie robi nic wymyślnego, czego by się państwo nie spodziewali, przesuując prztyczek w suszarce i wrzucając ją do wanny. Grzegorz trochę się więc ślizga, jednak przestaje. Koniec właśnie się państwu kłania na do widzenia. Pat natomiast wreszcie może zdechnąć i położyć się, odpocząć. Rachunki zostają wyrównane, trzy zera w jednorękim bandycie, bingo, kochanie, pusto, aż echo. Czyżby po wszystkim? Oto energia popęzła grubymi nićmi wzdłuż mokrych fug między kafelkami i gaśnie. Przez kamery przetacza się syk, pyknął właśnie gęsty dym, który

śmierdzi metalem, można się udusić. Miliony, miliony państwa oczu, które obserwowały Pat, i miliony państwa buziek, które krzyczały, zamykają się teraz: ciemność. Ta ciemność zasłania państwu Pat i zabiera państwa do siebie, w swoje ramiona przepastne, czarne, okrągłe i miękkie, komplet wypoczynkowy. Tu znów rozsiadają się państwo wygodnie i pełni zapału dla cudzych pomysłów, które jeszcze przyjdzie państwu obejrzeć, wysłuchać i ocenić na skali swojego śmiechu, płaczu lub strachu. Przełączają państwo i świetnie się bawią gdzie indziej, bo tu popsuł się obraz i nic nie widać. Psiakrew. Ale to już Pat nie interesuje. To są zupełnie inne historie, o których Pat nie ma pojęcia.

*

Bo opowieści, historie i plotki mają silne i długie ramiona i obejmują nimi każdego chętnego. Lecz gdzieś się muszą kończyć, co nie znaczy jednak, że ot tak. Istnieje bowiem matryca, w którą wlewa się sytuacje i ludzie, a one i oni łączą się w niej jak kulki rtęci. Sytuacje stają się więc wydarzeniami, a ludzie w ich środeczkach bohaterami (na dodatek wcale nie widać szwów!). Historie mają się więc świetnie. Matryca, w której produkuje się takie opowiastki, zbudowana jest z twardych reguł i miękkiego poczucia humoru. Zapewnia więc całkiem wygodne miejsce, aby kojarzyć i łączyć wspomniane elementy np. w plotki. Sytuacje i ludzie za to zdarzają się, a zwłaszcza w życiu, którego stanowią odkładane latami bogactwa. Bogactwa te są jednak tak bezużyteczne, zalegając w pamięci, że wręcz nieprzyzwoite byłoby ich nie opylić (skoro nie można ich już więcej przeżyć). I tak należy się cieszyć, że w ogóle do czegoś się jeszcze nadają. Kiedy Pat i Pablo wchodzi do Pięknej, Pat zauważa starych, eleganckich mężczyzn, jedzących ciężkimi widelcami pieczone owoce moczone w musie pomarańczowym, oraz parę Japończyków unoszących w usta kieliszki na cieniutkich nóżkach. Oboje mają drobne

dłonie o krótkich palcach i wąskie różowe wargi. Wszyscy oni wyłamują się swoją czernią i bielą z tła tapety koloru wątroby (no dobrze, tłoczonej w złoty wzór). A okna, przy których siedzą, prezentują ich w sam raz, jak przystało na koszta. Język jednego ze starszych mężczyzn przesuwa się pod wargami, czyszcząc dziąsła z resztek jedzenia, a przecież pachnie tu różami. Wszyscy schylają swoim rytmem głowy dla kęsów, a oświetla ich ogień, którym wywija chłopak otoczony bębniami na placu przed restauracją. Dla Pat zamawiają golden friendship, proszę, możesz zamówić każdy drink z menu. Naprawdę? Pat wargi ma słodkie. Pablo odgarnia jej grzywkę, „o, tak, tak wyglądasz pięknie, Patricia”. Interesuje się Pat, przygląda się jej jak przecenionemu jedzeniu. „Czemu masz, o, tu, ranę na uchu?. I Pablo już planuje, zabierze Pat do lekarza, laserem to leczy, „Patricia, będziesz idealna, zapłacę ci to, Patricia, o nic się nie martw”. „Ale po co? To tylko mi ktoś kiedyś wyrwał kolczyk, coś ty”. Pat obraca w ustach wisienkę i trochę gorączkuje. Miesza w rozwartym niskim kieliszku rum z sokiem. Mieszadełko kradnie do torebki, śmiejąc się, i pokazuje Pablo, że cii. „Ojej, wylało mi się, przepraszam”, mówi do Pablo, bezradnie patrzy na mokry stolik, robiąc to wszystko w języku angielskim lub tylko z angielskim akcentem. Natomiast Pablo jest wesoły, wrażliwy. Obejmuje jej mokrą dłoń i wyciera swoją czerwoną chustką do nosa, a chustka jest duża, złożona na czworo i mięciutka, „w ogóle się nie martw”. Pat tymczasem z zainteresowaniem bada palcem kałużę na stoliku, ponieważ jest gorąca, a Pat pamięta, że zamawiała drinka z lodem. Może to te upały, niesamowite. Po dwóch drinkach wychodzą z Pięknej i zanim Pablo wprowadzi ślaniającą się Pat do Stali, zabiera ją jeszcze na espresso do kawiarni przy teatrze. Dla państwa jest to sytuacja przezabawna. Pat zjada sobie w kawiarni kandyzowaną zieloną wisienkę z drinka, który jednak zamawia do kawy, ponieważ ma już

wyśmienity humor, a Pablo zaproponował. Pablo patrzy na wargi Pat, kiedy te powtarzają zdania głośniej i wyraźniej, drugi raz, trzeci, a prażone słodyczne spod szklanych kloszy na ladzie pachną ciepłym cukrem i wszystkim państwu robi się niedobrze. Całe szczęście Pat nie ma na sobie sukienki w kwiatki. Pachnie tu też kawą, no nie, a kelnerki mają białe bluzeczki, więc czego się państwo spodziewali. Ludzie krzyczą do siebie w obcych językach, a Pat oddaje Pablowi wiele informacji różnych, między innymi, że właśnie skończyła studia. Jeszcze nie wie, jeszcze nie wie, co ze sobą zrobić, myślała o wolontariacie w Afryce, ale i tak pewnie skończy jako sprzątaczką. Co Pat wydaje się szalenie zabawne, a Pablo się przejmuje. „Ale nie mów tak, Patricia, z pewnością znajdziesz dobrą pracę”, Pablo kręci przecząco głową, jakby miał tym ruchem spełnić swoje przepowiednie. I to śmieszy Pat jeszcze bardziej. Pablo zmartwił się istotnie, co państwa również nastraja do niego pobłażliwie. Pat natomiast potakuje na troski Pabla i pije martini, jakie to typowe. I gdzieś w czasie tej kremowej rozmowy przestaje również zdawać sobie sprawę, no tak. Ciemność dawno przepaliła w Mieście resztki dnia, po Pat przemykają dreszcze. Mogą być tak samo z zimna i z upału, choć dłonie na przykład ma zmarznięte. To z pewnością od szklanki pełnej lodu, z której pije i nie może przestać, ponieważ ma suchy język, podniebienie, gardło, przełyk. Pat próbuje też sprawdzić, czy ziemia się przypadkiem zapada albo chociaż rozstępuje, ponieważ jej nogi drżą, jakby ktoś potrząsał nimi za kostki (i miał spore dłonie). Ale kiedy Pat schyla się do kolan i tam nie dzieje się nic szczególnego, pojawia się kolejny problem. Głowa pociąga bowiem całe ciało Pat za sobą. Na szczęście Pablo jest kochany i bierze Pat pod ramionka, zgrabnie wydostając spod stolika, tak że nawet Pat nie uderza głową o blat. Następnie Pablo chwyta policzek Pat w dwa palce, co już boli, ale Pat

ma głowę lżejszą. Ładna sylwetka wymaga jednak skupienia. Co jak co, ale twarz ma Pat delikatną, a uścisk Pabla odczuwa jak kolce, lecz dobrze, dobrze, co on sobie o mnie pomyśli, opanuj się, wyprostuj. Pat prostuje więc plecy i już, już wraca do niej świadomość, również dzięki sporym łykom wody. Pat ociera czoło z gorącego potu i znów wszystkie zdania konstruuje poprawnie po angielsku, a także wyciąga szyję, jak to kobieta w roli kobiety, i to w dodatku na sprzedaż. Pablo natomiast przypatruje się uważnie i czasem coś tam sobie na niby pisze palcem na blacie, kiedy przeszkadza mu milczenie. Pat go jednak nie słyszy, roztopiona w swoich słówkach cichutkich, mówi też tylko do siebie, mruczy pod nosem uśmiechnięta, westchnie nawet czasem, jednak przepraszam, przepraszam, muszę wyprostować nogi. Pat opiera stopy na sąsiednim krześle, bo są zmęczone, „nachodziłam się dziś, gorąco, tak, jest gorąco”. A Pablo kładzie dłoń na jej łydce i przeciąga, jak po poręczu, właściwie to chwyta i schodzi do kostki. Zadaje przy tym pytania typu: czy masz chłopaka, co tak rozbawia Pat, że znów słabnie. Nie, Pat nie chce nic do jedzenia, jest za gorąco. Pablo, co prawda, dwukrotnie proponuje kolację w Hidalgo, ileż tam gwiazdek mogłaby zjeść, więc napchać się, ale jak nie, to nie.

*

I sklepy, gdzie sprzedaje się kilka sztuk w miesiącu. Ich ekspedientki są wykonane regularnymi rysami w opalonym ciele, o które dbają jak o błysk. Są beżowe, bezszwowe i nienawidzą klientów, a tak się cieszyły z tej pracy. Dopiero później okazało się, że nie ma tu pracy i nie wolno słuchać radia. Więc osiem godzin wyczekują, porzucone filiżanki, porcelanowe laleczki oglądają ścianę naprzeciwko. Na miejscu tego sklepu otworzą za rok lodziarnię, przed którą ustawią się kolejki po puchary. Gdyż przecena swetra z dziewięciuset na pięćset jest

hermetycznym żartem. A punkty telefonii komórkowych również tu są, gęste ich sieci rosną w swoich barwach klubowych. Lecz są też w Mieście i kościoły piękne. Pachnie w nich umytą kamienną posadzką i mrozem. Ich wysokości nie dogrzewa światłość centralna, bije od nich za to cisza i echo i zamarzają drobniutkie łyzy na świętych matkach i wełnianych babuniach. Lecz są też w Mieście bary szybkiej obsługi, kapliczki. Miasto trzyma więc w dłoniach swoje własne serce i ono wciąż bije, mimo że ma dziury. Mieszkańcy z chęcią patrzą na to serce, zawieszają na nim biżuterię oraz klęczą lub robią zdjęcia, lecz nie jedno i drugie. Ale są tu także tunele i mosty, dworce i łąki oraz zakłady przemysłowe o właściwościach magnesu. O piątej pięćdziesiąt dwie ściągają do siebie pracowników ze wszystkich stron, a ci przynoszą ze sobą bułki w białym papierze i foliowych woreczkach, którymi po jedzeniu czasem trzasną, uderzając dłonią w nadmuchaną folię i śmiejąc się lub wkurwiając, pojebany jesteś, Bogdan! Pracownicy ci mają tanie dość buty i sporo dzieci i od dłuższego czasu, koszulki sprane, lecz świeżutkie o poranku. Przede wszystkim są to mężczyźni, ponieważ kobiety rozpierzchają się później i głównie do sklepów z mięsem i skórą, na zakupy i ku sobie. Ci, którzy idą do pracy na dziesiątą, piją kawę, kiedy jest jasno, i to jest jeszcze inna krew Miasta. A mieszkańcy centrum Miasta mają rano przed kamienicami odgarnięty śnieg oraz nie widzą wiatru (może czują go, lecz tylko kiedy czerwieni im koniuszek nosa i policzki). Przemykają ci mieszkańcy wąskimi ulicami, gdzie nie są wystawieni na przekleństwa otwartych przestrzeni ostatniego przystanka na trasie. Pat leży wygodnie, we własnej kałuży, lecz bez żadnych problemów, i sobie patrzy. Świat wybuchą i natychmiast zaczyna od zera, czas liczy się teraz na palcach, których na razie spokojnie wystarczy. Resztki po człowieku, którym mogła sobie być Pat w zamierzchłych czasach lub w legendzie, są

spękane, niewyraźne. Niezidentyfikowane, to na pewno! Ciało dobiegło końca, a spomiędzy niego wychyla się teraz małe, otwarte oczko, potem drugie i paluszki. Oto spogląda sobie na świat całkiem Nowa Pat, lecz za wcześnie dla niej na lustro. W każdym razie warto dodać jedno: to jeszcze nie koniec, koniec to jeszcze nie to. Jednak ludziom warującym pod oknem brakuje ostatnich odcinków jej pamięci, ponieważ Pat nagle zerwała współpracę ze swoją historią i nie za bardzo wiadomo, jak Pat zmusić. Zdaje się, że spaliła swoje dokumenty, wydaje się, że zniszczyła ciało do tego stopnia, że już nikt nie może na nią patrzeć, a także nikt jej nie poznaje. Wydaje się również, że ona rzeczywiście sama nie ma pojęcia o tym, że jest Pat, co troszkę utrudnia negocjacje. Zostały opróżnione spiżarnie jej pamięci, Miasto się nachapało: i co teraz? Teraz Pat prawdopodobnie szcza po kątach i wylizuje okruszki z podłogi, lecz tego nie można być pewnym, ponieważ w ręce ludzi z samochodu wpadły tylko zdjęcia z telefonu, które zrobił jeden z przechodniów, kiedy Pat (podobno) myła nocą okna. To nie jest dobry materiał. W dodatku Pat nie wyglądała korzystnie i można stwierdzić jedynie: to jeszcze była ona. Teraz chyba uważa, że jest Nową Pat, i jako Nowa Pat nie ma nic do powiedzenia, nie wie nic. Ale to tylko plotki.

*

Ta dziewczyna, mili państwo, jest przecież łakociem, polowanie na nią trwa. Historia domaga się jednak końca, niekoniecznie swojego, ale czyjegoś to na pewno. Lecz poczekajezeli dzięki temu będzie to koniec wysmażony, tak jak lubi. Potrzebny jest bowiem ogień, który uniesie i ludzi, i ich krępujące sytuacje, i robi to pieczołowicie. Tak wynika z doświadczeń na ogniu i historii. Chyba że zamiast ognia używa się na historii noża. Wtedy powstaje coś w tym stylu, co państwo mają tu przed oczami i przede wszystkim na co dzień też to państwo mają. Bo od noża

powstaje mnóstwo najróżniejszych drobin, kawałków, odłamków, również tych kłujących i żrących, i one są w państwa ciskane, nie wiadomo skąd, ale wszędzie i nieustannie. Więc nic dziwnego, że chcą państwo już tylko uciec do mieszkania oraz ciszy i zjeść na obiad te swoje ziemniaki. One przynajmniej są do siebie podobne. I spać. Więc w sytuacji tego tzw. życia, państwo sami nie wezmą noża na życie i pamięć. Po co komplikować, rozdrabniać, zagłębiać. Jeszcze państwu tego brakowało, a przecież państwo nie zgłupieli. I nikt się państwu nie dziwi, ponieważ wszyscy bardzo, ale to bardzo lubią fabuły, o czym już wspomniano. Jest w fabułach bowiem kilkoro, a nie kilkaset tysięcy ludzi i ich sprawek. I nie można się w fabułach zgubić albo posmutnieć, co najwyżej pochlipać: to takie oczyszczające. Można też przy tych fabułach zasnąć, co jest zresztą przyjemne. Fabułę przecież najfajniej się używa, cichutko łkając w rękaw lub zaśmiewając po sufit (to lubią państwo nawet bardziej). No i można, przy ulubionych momentach z powtórek, samemu się sobie dziwić, że jest to takie kojące. Ileż przyjemnych odczuć, po co by państwo mieli brać noże? Wszystko ma stronę jasną, doremifasollasi, np. jasną stroną życia są właśnie tzw. opowieści o nim. I nożem nic lepiej nie szatkować, a nawet nie nakłuwać, bo tego się potem nie spierze i nie złoży tak, jak było. Tylko się człowiek zdenerwuje. Ale dość tego dobrego, są państwo proszeni o spokój!

163

Oto Pablo i Pat kierują się właśnie do Stali, choć nie jest to ciche i proste. Pat oplata długie ręce wokół Pabla i łatwiej jej, kiedy jest schylona. No, to tak idź, a ja poprowadzę, mówi Pablo, i jest przekochany. Pat uważa na nogi, a Pablo ostrzega jak może, „uważaj, krawężnik, stój”.

Pat natomiast ma kaprys stawiać stopy na jednej linii, wyznaczonej przez złączenia kostki brukowej, która w dodatku bywa zdradliwa. Podczas tej przechadzki Pat brudzi troszkę pudrem garnitur Pabla, a kiedy patrzy na niego, widzi najpierw szyję miękką i gładką. „Nie, nie chcę iść nic zjeść”, odmawia Pat trzeci raz, „i jeszcze nigdy nie byłam w Stali”. Pablo natomiast pyta, zupełnie zmieniając temat, czy Pat pamięta jego imię.

164

Pat zamyka usta. „Nie pamiętam”, mówi Pat, i patrzy zdziwiona na Pabla. Jest pewna, że oto ma do czynienia z tzw. morałem, jeżeli jakiś istnieje jeszcze w zanadrzu. Oto obcy, czterdziestoletni, no może trochę młodszy, pan prowadzi Pat, wręcz niesie do przyjemnej sali, wyciszonej, a Pat imienia jego nie potrafi podać. I nagle dookoła głowy Pat pojawiają się grożące palce wskazujące: no, no, no. Jednak wiedzą państwo przecież, że co to, to nie tak: Pablo się przedstawił na początku, o, z pewnością. A więc to tylko w Pat głupota i te niecierpliwie dzieci, o których już była mowa. Natomiast Pablo mówi, że nie szkodzi.

*

To tylko podekscytowane dzieci w Pat, dzieci zaciskające z radością piąstki. Przygoda, restauracja, drinki i miły pan, ależ doprawdy radość! To tylko całe stado dzieci tkwiące jeszcze w Pat i całkowity chaos linii, po których biegają, gdzie chcą. Kto by zwrócił uwagę na imię tego pana, będąc wciąż zajętym dziećmi: to chyba jasne. Pat robiła wszystko, żeby je w sobie uciszyć, a teraz już nie ma siły. Zresztą państwo być może wiedzą, uciszenie dzieci, również tych w Pat, nie jest możliwe, dopóki się nie zestarzeją i nie umrą, ewentualnie – zasną.

387

Pat przeżycia były wszelakie wcześniej, więc państwo spodziewają się jeszcze więcej lub przynajmniej końca, choć ostatnio głównie spała lub sprzątała. Elewacja kamienicy oto w planie ogólnym i nawet widać niebo, lecz zbliżenie powolne i spokojne na okno Pat. Po chwili okno już w pełni i nawet właśnie teraz niedomknięte. Spojrzenie wchodzi do środka, Pat tu oto zamieszkała z rozrzutności i od połowy czerwca. Gdzie ona jest?

388

Przez te podchody ludzi z samochodu Nowa Pat zrobiła się bardziej czujna, w dole widać tłum wdzierający się na teren objęty taśmą. Ludzie z tłumu na przemian patrzą w okna Pat i na ekrany rozpięte na płachtach, gdzie transmitowane są powtórki tego, co już było, kiedy było na żywo. Nowa Pat jest wszak monitorowana, żeby Miasto nic a nic nie straciło z jej nowo narodzonych wspomnień, do których jeszcze się Miasto, co prawda, nie dorwało osobiście, ale od czego są ludzie. A ludzie, mimo że już widzieli i mieli trochę do czynienia z bogactwem historii Pat, chcą jeszcze raz i więcej, więc im się daje na ekranach i papierze, bierzcie i jedzcie! Ludzie mają przecież swoje ulubione momenty, których nie mogą przegapić. No i jednak chcieliby wiedzieć, o co chodzi z tą Nową Pat.

*

Wszystkie przedmioty, które Pat zdołała wynieść pojedynczo lub

rozłupane, poszły na przemiał i nie tak łatwo teraz je odnaleźć. Zostały bowiem wywiezione na wysypisko rosnące na końcu ogona Miasta. Prowadzi tam kręta droga, bez objazdów i skrótów. Jeżdżą nią tylko śmieciarze, po śladach kół ich samochodów nadchodzą bezdomni, a nad nimi skrzeczą ptaki o szerokich skrzydłach. Z wierzchołków gór śmieci (pośród których znajdują się niemal wszystkie przedmioty z Mieszkania Pat) turlają się głodne psy, szczury i obgryzione do kości koty. Prosto pod nogi dozorczy. Dozorca ma przy ogrodzeniu domek pełen metalowych skarbów, gazet i popielniczek, a to wszystko, żeby łatwiej znosił swój dyżur przy monotonnym końcu resztek. Cierpliwie pilnuje więc niechcianych brudów i znosi widok i zapach historii i historyjek, zepchniętych tutaj na śmierć. Ziemia nie nadaża bowiem z kolejnymi dla nich grobami. Jest zbyt twarda, aby rozstąpić się i na raz pochłonąć nadwyżki śmieci. Wysypisko rośnie więc co siłą, lecz wystarczy cokolwiek nowego i świeżego, aby zaczęło kiełkować: np. deszcz. Po deszczu ziemia zarasta i dzięki temu wszystkie rzeczy wciąż żyją, jak państwo widzą, przedmioty tak łatwo się nie poddają, choć w końcu będą musiały. Porastają je bowiem maleńkie sine plamy, zielone kły i kiełki oraz szare futerka, wysysając z rzeczy ostatnie cenne pierwiastki. Tylko w ten sposób sine plamy, zielone kły i kiełki oraz szare futerka mogą utrzymać się przy swoich chudziutkich życiach, których nikt nie chce. Dozorca uważnie to wszystko obserwuje i nie wtrąca się, a dym z jego ust jest gęsty.

165

Nie wiem, nie wiem, jak masz na imię, i Pat zakrywa usta, dość przerażona swoją sytuacją i jej obrotami, co oczywiście jest teatralne, ale

dajcie jej wszyscy święty spokój. Jej czoło buzuje i zalewa oczy ciepłem, więc czego by państwo jeszcze chcieli, oprócz tego, że udaje się Pat przynajmniej utrzymać ciało w jednym miejscu. I Pablo powtarza, ciszej, jakby tylko sobie, że Pablo. I tym razem Pat zapamiętuje, i co gorsza, na dobre.

166

Pablo idzie z Pat do Stali, a Pat rzuca mu się na szyję, wręcz przysuwa policzek do jego ust. Pablo nie chce jej takiej widzieć, z czego zdaje sobie sprawę po wszystkim, ile ty masz lat, Pablo. Nigdy wcześniej nie robił „takich rzeczy”, jednak przypadkiem postanowił, i co z tego? Dostał co nieco gratis, schował w portfelu i pojechał w podróż, a na dodatek lipiec się kończy, a przecież Pablo jest jeszcze młody, tak przynajmniej mu się wydaje, choć nie w każdej sytuacji. I oto poznaje Pat, która potakuje i jest przyjemna. Jednak Pablo przyznaje, nie spodziewałem się po sobie odwagi, a przede wszystkim, że mi się w ogóle uda. Dlatego uważnie przyjrzał się rogom pod sufitem w Pięknej, ale tam na szczęście nie ma kamer, oddech, oddech, jeszcze jeden. Pat wypita więc czerwonego drinka i na dodatek oblizała wargi. Pablo spodziewał się chociaż osadu na dnie szklanki. Przezornie zamówił więc kolejnego drinka, wybierz sobie, który chcesz, i dużo wisienek do niego. Niech dziewczynka czymś zagryzie, żeby nie miała posmaku, sam też spróbował wisienki, ale trudno było mu połknąć, mimo że wyrwano z niej pestkę. Czy Pablo wydaje się państwu przyjemniejszy, kiedy wiedzą już państwo, jak bardzo był podenerwowany, i że wcale to nie było takie proste? A teraz jeszcze Pablo boi się, że Pat umiera albo (co gorsza) zacznie wymiotować, taka uwieszona. A kiedy bije ją po twarzy, mocno i

nieustannie, ona trzeźwieje i już się Pablo boi mniej. Każdy się może zdenerwować, a Pablo jest tylko człowiekiem, wszystko na to w każdym razie wskazuje.

167

168

W Stali Pablo mówi Pat, „jesteś taką małą dziewczynką”. To powinno uderzyć Pat w oczy i pociągnąć za rękę. Jednak Pat nawet podoba się, że Pablo podnosi lekko jej brodę i mówi, że linia szczęki mu się podoba. Pablo zna się zresztą, jak okaże się w kolejnych odcinkach, na zwierzętach rasowych i ma nawet jedno z nich w swoim domciu.

169

Pablo leje Pat do ust wódkę, z grubego szkła, powolutku, przechyla: „nie krzyw się”. To jednak jest Finlandia, więc Pat nie musi się wstydić, czyż nie? Nawet krwawiących dziąseł, co szczypie.

170

171

Pablo zostawi w ciele Pat otwarte złamanie, które się nie zrośnie, tymczasem Pat jest już rozebraną królowną na poduszkach, z kieliszkiem zamiast korony, odwróconym dnem w sufit. Pamięć ma w tym miejscu trochę wypalonych miejsc, na wylot i na zawsze. Spienione włosy Pat

wyciekają z warkocza. Pablo trochę ją poobijał, ale bez przesady, to na pewno standard w świecie. Sam by tego nie wymyślił, czyż nie? Bardzo szybko dość znaleźli się w tej Stali, Pat sobie nie przypomina niczego, a w kieliszku pływają owocki pokrojone w kostkę. I migoczą, i dźwięczą.

172

Cyprys, goździk i mandarynka w perfumach, skórzane buty, drogi likier z mięta, mleko od łowickiej krowy i ziarnka kawy zatopione w mlecznej pianie, plastikowa rurczka. Można tu też wyczuć, zwłaszcza w kącikach ust Pat, zapach czekolady, skruszonej i gorzkiej, która została jej na wargach po przechyleniu kieliszka.

173

Pablo trzyma ją za ramiona, od tyłu, i gryzie skórę jej pleców. Łapie tę skórę między zęby jak plastry boczku, chociaż Pat krzyczy, kopie i kurczy łopatki. Lecz jemu widocznie jest bardzo dobrze.

174

Pablo trzyma ją za ramiona, od tyłu, i wciąż gryzie skórę jej pleców. Łapie tę skórę między zęby jak plastry boczku, a Pat nie krzyczy, choć tak jej się wydaje. Strach, że ktoś ją zobaczy, sięga głębiej. Szczypią ją małe ranki i nie może się ruszyć. Tylko sobie oddycha, raz, drugi, co nie pomaga wcale. Pablo jest ciężki i ją drapie, drapie. Jest mokra i łaskoczą

ją krótkie, ostre włosy Pablo, przylepione do niej od ud po szyję. Upalne lato.

175

Pablo jednak ma wycucie, wykruszył jej tylko trzy czwarte. Pat nie mdleje, przynajmniej, jeszcze nie teraz, a jednak nic nie czuje, jak sądzi Pablo: prawie dobrze. Tylko patrzy na niego przez cały czas, oczy ma wytrzeszczone, przypomina jakieś głupie zwierzę. Dlatego od razu Pablo ją obraca plecami, chociaż przecież nie kłamał, kiedy godzinę temu mówił jej, że jest śliczna. Pablo naprawdę tak uważa. I przypomina mu francuską aktorkę, i też jej to powiedział, szarmancki Pablo, i może nawet powtórzyć.

176

177

Pablo cofa rękę i ze wstrętem patrzy na jej krew na palcach. Pat natomiast czuje satysfakcję, a masz za swoje. Następnie Pablo wyciera dłoń o brzuch Pat: i robi to bardzo dokładnie.

178

179

Co to jest, sperma czy się zsikał, co to jest? I Pat podnosi się na łóżku, połyka wszystko, nie daje po sobie poznać. Nie czuje smaku, dotyku, nie słyszy, wszystko jedno. Patrzy, patrzy na Pabla. Pablo wie, że Pat się domyśla, zwłaszcza że wyciera usta ręką, a rękę o jego nogę. A czas i akcja, które już trochę pokolegowały się z państwem i bohaterami, schylają się i wylizują spod siebie soki, mlaszczą! I od tej pory będą się do Pat krzywić, a z pewnością Pat już nie nałoży tego ślicznego podkoszulka i nie pójdzie grać z tatusiem w tenisa oraz nic już nie będzie takie, jak bywało za lasami. Albo wręcz będzie z tym jeszcze gorzej, lecz przynajmniej kort mogą państwo wykluczyć. Różnie to bywa, a historie są podstępne i sporo biegają na wyścigi, aż im idzie krew z nosa. W punkcie kulminacyjnym czas ściska całe swoje ciało, jak tylko może, sznurem i taśmą, a oko jego napięte i wyłupiaste spogląda chytrze, i oto, co widzi. Akcja jest taka, że Pablo jednak sika Pat do ust, czego Pat być może nie zapamięta: i cóż z tego?

*

Państwo nachylają się, opierają łokcie na kolanach, brody na dłoniach, aż skrzypi parkiet Mieszkania, ściany jego wciąż jednak są zajęte wstrzymywaniem tych z was, którzy pchają się do środka. Bołą państwa już plecy, lecz zaczyna się szyk i krzyk. Oto widzą państwo wyświetlaną historię i jest ona w każdym zakątku Miasta, powstały o niej komiksy, natychmiast, karykatury, natychmiast, notatki prasowe w dzienniku, natychmiast. I nic nie ujdzie uwadze Miasta. Mówi się trochę o

tej historii w programach publicystycznych, ale są ważniejsze sprawy, np. wszyscy ci ludzie zamieszkujący kraj, co im się, jak twierdzą, nie opłaca lub opłaca, są ważniejsze sprawy. Zaś pod koniec tego momentu kulminacyjnego, do którego właśnie komponuje się muzykę, natychmiast, Pablo dłubie w zębie, podczas gdy Pat zamyka za sobą drzwi łazienki. W wybuchu światła (w rogu ekranu) wyraźnie widać bohaterkę, która w dodatku się uśmiecha, araczniej ma w ten sposób otwarte usta. Wysypuje z torebki drobne przedmioty i się wywraca, i tak dalej.

389

Nowa Pat przemyka właśnie przy oknie, a udaje, że nie. Brawa na zachętę? Państwo mogą sobie darować. Nowa Pat nie chce nawet spojrzeć w dół, a wręcz odmawia brania udziału, gdyż to wiąże się z widokiem: ludzi, głów, oczu, palców, a zwłaszcza dźwiękiem słów, którymi ci ludzie nieustannie kruszą, żarłoczni. Lecz państwo patrzą i wciąż tu są razem ze swoimi ciałami, a kamery czujne, stabilne i szybkie. W dzień to gorsze niż sen, Nowa Pat się tak nie bawi. Jednak zabawa trwa, bez względu na jakieś fochy, są państwo wciąż zaproszeni na emocje: żeby nie było wątpliwości. Nową Pat się schwyta, to przecież kwestia tego samego od zawsze czasu, nic nowego.

390

Nowa Pat się więc wypręży w tej historii, jeszcze i jeszcze, a to jest w cenie, jak widać. Zwłaszcza jak jej od tego napięcia „pęknie serce”.

Ludziom z samochodu bije prąd liczony w cyfrach i cały ich czas. Nawet nocą, bo kamery nie śpią, jedząc kilogramy watów. Ciepło ich pracy ogrzewa chodnik, a w nim kałuże, o tym już mówiono, skąd się biorą. A tymczasem Nowa Pat wciąż ukryta, pokaż no się, wołają, lecz ona nie chce. Ludzie już wiedzą, co z niej za człowiek, dlatego przyszli pod okna po najświeższe i marudni. Chcieliby szczegółów, są więc do Nowej Pat kierowane podchwytliwe pytania: czy tamtego wieczoru nie wypiałś przypadkiem za dużo? Tak/Nie. Alkoholu? Tak/Nie. Czy tamtego wieczoru to nie twoja wina i wcale nic ci nie dosypano? Tak/Nie. Nowa Pat natomiast udaje, że jest kimś innym niż wcześniej i zawsze. Udaje też, że nie słyszy i że w ogóle jej tu nie ma. Jeżeli to państwa nudzi, to zajmijcie się sobą.

*

Mogą przecież państwo pójść do ciasnych tanich drogerii, lecz i do drogerii droższych, gdzie zapytają państwa: w czym mogę pomóc, a Pan/Pani odpowie: tylko oglądam. I do piekarni z kawą oraz ciastkiem i również pod te sprzedające przez sklejkowe okienko najgorszy chleb Miasta. Ten najgorszy chleb Miasta nabity jest mięszem i nierozpuszczonymi grudami soli. W tej właśnie budce, przy pętli tramwajowej, obok drogi wylotowej z Miasta na południe, tam właśnie dostaną państwo taki zły chleb. A nad budką pnie się do słońca komin fabryki opon. Mogą też państwo sobie pójść do tych sklepików maleńkich z maleńkim asortymentem, niezbędnym każdemu domowi, gdzie: wycieraczki, kubki, drapaki do naczyń i dla kota, szczotki do kibli, a także deski do prasowania i rządki brokatowych lakierów do paznokci, również chińskie długopisy w kolorowych plastikowych koszyczkach, no i wody toaletowe pt. Paris, Bari, Costa Rica. „Wie pani, też ładna, o, ta, ta”, piłując paznokcie, opowie o nich Pani Ekspedientka, i podniesie

buteleczki w górę, a twarz jej narysowana w mięsku pełna jest lat pracy na tym stanowisku. Obciąga sweter i z nim biust, lecz nawet zakup polecanego produktu jej nie cieszy, co gasi klientkę, która ma być może dobry humor i chciała się z kimś podzielić. „Za siedemnaście, nie dostanie pani taniej”. Woda toaletowa zostaje kupiona, mimo że klientka będzie się jej wstydzić, lecz przecież nikt nie musi wiedzieć, co to naprawdę jest, można trochę skłamać, jak ktoś zapyta, a państwo udadzą, że nie słyszeli. Klientka wraca do domu i psika wodą pod pachami i we włosy, a kiedy koleżanka z kasy obok zapyta, co to tak pachnie pięknie, klientka wymieni jedną z kilku nazw, które obie znają. I dalej, dalej biją obie pieczętkami w cyfry.

180

Pat leży w knajpie Stal, jest śliska i śmierdzi. Leży głęboko w środku, nikt jej tu nie znajdzie, w prywatnej sali z poduchami i o zapachu magnolii. I ratuje ją tylko to, że ma okres: od czego jeszcze ratuje?

181

„Pij więc, pij”, i Pablo wsuwa Pat do ust butelkę, aż Pat nie może, choć wszystko wydaje się raczej śmieszne, nawet to, że jednak na wprost rzyga, gdyż więcej nie może. Lecz nadal znajduje dość siły, żeby wybuchnąć śmiechem, zuch dziewczyna. Pablo wykazuje się za to refleksem, doprawdy, musiał go gdzieś trenować. Raz, dwa odwraca Pat, głową za łóżko, trzyma jej kark i nawet dociska plecy kolaniem, żeby rzygała tam, gdzie nie będzie widać, skoro musi. Prosto do dziury, za

łóżkiem, przy ścianie. Obsługa rozpozna najwyżej po zapachu, ponieważ się wnet zakryje poduszkami, a one są w końcu piękne i drogie, bo to nie byle lokal. Ponieważ za bajzel Pablo już nie chciałby płacić, a na dodatek on z tym lokalem ma umowę w ramach City Scene i pierwszy raz mu się zdarzyło nie zjeść kolacji z właścicielem. Kiedy Pat już się uspokaja, niestety siada na kieliszku, gdyż te walają się wszędzie. I ponieważ zbliża się kelnerka, Pablo szybko pcha Pat na łóżko, na drzazgi, niech się do czegoś przyda i je zakryje. Natomiast Pat jest rozebrana, brudna, rączki ślizgają jej się panicznie, lekkie i blade po atłasowych narzutach i prześcieradłach. Ale się w końcu kładzie, a zwoje materiałów są zimne i ciężkie.

182

Pablo opiera łokieć na gardle Pat, druga ręka co prawda dzieli jego ciężar, lecz tylko ona. Nic w Pat jednak nie pęka, chociaż zsiniała, lecz jest ciemno, więc czy na pewno? Wszystko sobie wytłumaczą państwo na spokojnie lub zapomną, a teraz Pat się uśmiechnie, kelnerka idzie.

183

Pablo chyba jej dotyka, wyszarpując z bezpiecznej równowagi, którą Pat łapie jak powietrze. W tym czasie głos Pat umiera w jej ustach, a ona zatrzymuje wzrok na resztkach światła, które błyskają do niej tym mocniej, im bliżej łóżka jest kelnerka z lśniąca tacą. Pat chwytą co popadnie, ale tylko wzrokiem i na dodatek we fragmentach, które nie znajdują wspólnych krawędzi. Pokój opada dookoła jak w studnię, a taca

niesiona opalonymi rączkami świeci z daleka jak srebrne słońce. Gdzieś tam są otwarte drzwi, zza których rozlega się huk, lub to tylko noc.

184

Pablo nakrył właśnie Pat pospiesznie i krzywo atłasową fioletową płachtą, pcha w dół jej ramiona. Cisza! Do pokoju weszła kelnerka, niesie tacę, na której leciutko drżą szkiełka kieliszków, połyskuje folia na pudełku z papierosami i popielniczka. Kelnerka rozgląda się przy tym dyskretnie, szukając szkła, które mogłaby doliczyć do rachunku, ponieważ słyszeli, wszyscy słyszeli za drzwiami, co tu się wyrabia. Ale szkło Pat już dobrze schowała pod plecami. Leży oto skulona Pat pod śliską narzutą i wychyla tylko buzię. Następnie zapewnia promiennym głosem, że wszystko w porządku, taca błyszczy. Bo doprawdy, ma prosić teraz kelnerkę, zarzygana i goła, przytrzymując przy piersiach lśniąca poduszkę i ocierając spocone skronie, odgarniając białą rączką kosmyki. Ma więc prosić, moja droga, przynieś mi proszę kompres i wezwij policję, bo czuję się gwałcona. No więc raczej nie, widzą państwo przecież, jak świetnie się bawi, wręcz szampańsko. Szpilki po kątach, spodnie wykopane pod ścianę, kieliszki się turlają, powietrze zapchane upałem i perfumami. A Pablo Pat przyjemnie obejmuje i gładzi po dłoni. No więc raczej nie, wszystko w porządku, Pat poprosi tylko wodę mineralną.

185

I znów Pat opada na poduszki. Od razu czuje coś śliskiego na plecach, jakby mokre igły. To z pewnością frędzle poduszek, to z pewnością

dreszcze, podczas gdy szklane drzazgi pękają i trzeszczą.

186

Pablo nalewa jej wodę mineralną i kiedy jest pewien, że Pat trzyma szklankę mocno, zajmuje się wreszcie sobą i wiąże krawat oraz zapina rozporek, którego (ma nadzieję) nie zauważyła kelnerka. A poza tym jest śpiący i głodny. Pat natomiast połyka wodę i kostki lodu. Za chwilę Pat wyciera usta, strzepuje z pleców igły. Wstaje i trzymając się łóżka, maca przed sobą i do przodu, a tam wciąż niewiele więcej. Ledwo rozróżnia kształty mimo miliardów czerwonych światełek rozhuśtanych na ścianach, Pablo jednak obejmuje ją ostrożnie, jak staruszkę, i prowadzi do łazienki. Łazienka jest osobna dla gości pokoju i super. Pat ciągnie za sobą również: nóżki, majtki i odnalezioną pod kołdrą torebkę. Kruszynka, miła dziewczynka, pijana w sztok, odebrało jej władzę rąk, a także ma spory skurcz mięśni. Proszę państwa, ona naprawdę nie czuje, że krwawi jej tyłek.

187

Zamyka się w łazience i otwiera pękatą kosmetyczkę. Chłód potrząsa Pat od stóp. Podświetlone akwarium w podłodze rzuca krople tęczy na sufit, a Pat kołysze się ślicznie, oczy ma wzniesione i jest to prawie romantyczne. Budzi ją po kilku minutach uderzenie skronią o pojemnik z papierem toaletowym, lecz sprzęt jest wytrzymały i designerski. Uderzenie tylko wytrąca ją z rytmu, ponieważ ból pojawi się jutro. Zaczyna więc Pat ładnie ustawiać kosmetyki, na podłodze. Powtarza na

głos, żeby nie zapomnieć: muszę poprawić makijaż, oraz szuka lusterka, a ono pękło. Rozstawiając puderniczkę, kredkę do oczu, tusz i róż, przygląda się wielkim żółtym rybom, połyskującym pod szklaną podłogą, i być może śmieje się, a nawet robi to w sposób histeryczny, co w dodatku słyszy Pablo, no tak.

188

Pat stawia potłuczone lusterko na pojemniku z papierem toaletowym. Ściąga z włosów zakrzepłą maź, krew to czy ślina? Rozciera w palcach, wyciera w ścianę. Jednak odnalezienie odbicia nie jest proste, gdyż kilkoro oczu patrzy na nią z lusterka, a Pat, kucając, szuka. Pudruje więc czoło na wyczucie, przeciąga gąbką po nosie (poślizgnęła się). Elektryczny odświeżacz zasyczał zapachem moreli. Przecież Stal jest polecana w przewodnikach, obok mydła stoi wazonik, w wazoniku gałązka magnolii, na czubku jej pąk, a w nim pęk różowych słupków. Słupki te pachną, że aż kręci się w głowie, dobranoc drogie dzieci. Zapachy przeżerają nos, perfumowany chlor dostaje się we wszystkie kanaliki w głowie, w twarzy Pat, i jakby krztusiła się na basenie.

189

Pat wyjmuje telefon z torebki, dopiero po użyciu szminki. Przecież pamiętam, gdzie mam usta, maca nad brodą, delikatnie, palcami, których nie czuje, a wargi znikają zagryzione. Patrzy więc na swoje dłonie, ręce (Pablo zaczyna dobijać się do łazienki), i nawet kiedy mocno chwyta nadgarstek lewej ręki, lewa dłoń nie przestaje się trząść. Roznosi się to

trzęsienie na powietrze i kształty (dałaby sobie uciąć). Ciało Pat wciąż dotyka ścian, zimno, a światło jeszcze popycha na boki, można się było tego spodziewać. Pat depcze plastikowe opakowania kosmetyków. Ryby pod podłogą nie są mniej spokojne.

190

Więc Mikołaj się obraził. Pat wybucha śmiechem, który to raz jest jej tak wesoło, a krew płynie, czyżby z nosa, ależ zewsząd. I wybuch ten trwa od dłuższego czasu. Pat chwyta więc szyję, wewnątrz niej wdech ostrzy pazury, i czuje tam śmiech, a oprócz śmiechu również gorące serce, nieładnie z jego strony.

191

Pat siedzi skulona w kiblu 28/29 lipca i próbuje dodzwonić się do Mikołaja, jednak jest już po wszystkim. Mikołaj nie odbiera, a Pat nie potrafi nawet trafić do wyjścia, choć Pablo dobija się. Lecz na razie to tyle.

*

Nic się nie stało, bo czy nie jest tak na co dzień: o co Pat ma pretensje? Obudź się, obudź, mówią do Pat państwo, nie ma czego żałować, rwać włosy. Przecież każdy ma takie chwile, że mu jest dobrze i źle naraz. Państwo wycierają ręce. Co ta Pat sobie wyobraża! Przecież bywa tak, że ma się i deser, i gówno w sobie, proporcje w sam raz, dość już. Może i to była przykrość, ale czy rzeczywiście? Nie bawiła się Pat chociaż troszkę

dobrze tamtego wieczoru? Niech przyzna. Państwo otrzepują ręce.

391

Bo to przecież wciąż ta sama Pat, nawet jeżeli jakaś inna, to nadal ona, ta cicha kurwa, która od dwóch miesięcy pokutuje tu i jeszcze nie odpokutowała, która od dwóch miesięcy czyści siebie i jeszcze nie wyczyściła. I przy okazji żyje, co właściwie państwa najbardziej obchodzi. Co też tam ta (Nowa) Pat sobie prywatnie robi. Lecz ona wchodzi pod kopiec śmieci i ani stamtąd drgnie, a światło jest słabe, więc ludzie z samochodu się wściekli, bo nic nie widać, nic nie widać!

392

Kamery ludzi z samochodu poruszają się więc żywo i robią to zgrabnie, choć i tak wzburzają złogi porannej mgły i zapachów. Przede wszystkim jednak nagrywają wszystko i wciąż, obojętnie co. Skąd się wzięła ta historia? No właśnie. Rejestrują więc kamery przy okazji huk Miasta, w którym zostały dotychczas umieszczone wszystkie sceny dialogowe; a Nowa Pat wciąż siedzi cicho.

393

Nowa Pat w garść zbiera popiół po swoim starym ciecie, brzegiem dłoni zgarnia w kupkę i maczając w niej koniec palca, wciera ten popiół, wacha i smakuje. Następnie spokojna Nowa Pat wietrzy i wyrzuca popiół

na Miasto, a on wybucha w czystym powietrzu, a przynajmniej przezroczystym. I kiedy Nowa Pat zamyka okno, popiół osiada na Mieście. A Miasto strzepuje go ze swoich bujnych włosów: głęboko w ziemię.

*

A naprawdę okrągła cisza przetacza się właśnie ulicami. Jest sam środek nocy i bezpański szatan rozpędza się na trawniku, szczeka i ma czarną sierść. Rozgrzebuje resztki kebabów swoim długim nosem, i nawet mu smakują, chociaż tyle cebuli i papierosów. I nikt o Pat nie myśli, naprawdę, naprawdę w chwili, kiedy w czystą śmierć karetką wiezie mamę. Która ma przecież tak stare dłonie i zbieleńcze oczy, że należałoby się tego spodziewać, a jednak nie. I nikt o Pat nie myśli, opierając się wytartym łokciem o rozświetloną ladę, patrząc w czarne okna w oczekiwaniu na dzień i tramwaj do domu po nocnej zmianie w pustym sklepie całodobowym. W którym zawsze z nudów można umyć podłogę, okręcając ciało w białym fartuchu w niebieskie kropeczki, lub poustawiać piramidy z paczek herbatników. A fartuch zbiera na plecach włosy poddane trwałej męczarni, aż sztywne i nieżywe. Ewentualni klienci zataczają się pośród snu i płacą tu drogo za drogo. I nikt o Pat nie myśli, kiedy chowa zmiętą resztę w kieszeń ciasną, siateczki nie trzeba. I nikt o Pat nie myśli, przeszukując śmietniki. Kto by tam wtedy myślał o Pat! Bo po co niby ma myśleć o Pat, czekając z bolącym zębem w szpitalu jasnym jak żarówka, kiedy wokoło kolebią się smętni ludzie o ciemnych oczach, wybici z rytmu. Za kilka godzin nie wstaną do pracy, a przynajmniej się spóźnią, szukając w drodze językiem tego zęba i macając końcem dziurę, śliską i aż wypukłą od niespodziewanych przygód. Nie myślą o Pat też dzieciaki, które wrzeszczą tu z bólu, strachu i gorączki, która rozszerza ich gołe dziąsła lub ślady po ukłuciach. Po

nocnym dyżurze pełnym łez i dreszczy dobra mamusia na pocieszenie kupi miękką rozpuszczalną gumę i dziecko będzie mogło zatopić się w jej zapachu aż do rana. Poczytaj mi albo puść mi bajkę, ale jeszcze posiedź ze mną mamó. I nikt o Pat nie myśli również na tym ciasnym dworcu, który zapisany trwa w remoncie i przy życiu, pełen barów i ławeczek obsadzonych przez zakonnice. One przecież nie mają o Pat pojęcia. Zakonnice tulą się do siebie na zimnym dworcu. Są senne i porządnie trzymają swoje czarne sztywne torby na kolanach, silną dłońią, żeby nikt nie ukradł. Czekaają i wkrótce odjadą. Są nawet niektóre uśmiechnięte lub przynajmniej poważne, jednak nigdy smutne, bo dość tego smutku wszędzie na świecie, dość. A przecież mają tak brzydkie męskie buty, że nic by się nie stało, gdyby z tego powodu posmutniały troszkę ich gładkie buzie o jedwabistych powiekach i suchych wargach. Ich wrażliwe do czerwoności policzki opadają z roku na rok, ale wciąż są jak mleko, przynajmniej w tym Mieście, gdzie nikt nie myśli o Pat. Być może myśli ktoś jednak o Pat, ale tylko przełączając lśniące dupy na ekranie telewizora, który można wyciszyć, że nikt nie usłyszy, nawet sąsiad za ścianą. Lecz niekoniecznie. Sąsiad ten zresztą otwiera właśnie szafę, a szafa skrzypi. Za oknami jest np. głośna ulewa lub głuchy mróz i zawsze ostra czerń. A potem sąsiad stuka w podłogę jakby obcasami w rytm i tańczy, i cichutko się śmieje, a więc nawet ściszony telewizor zamiera w nasłuchiowaniu (i już z pewnością nie myśli o Pat). Nikt zresztą nie myśli o Pat, a zwłaszcza jeżeli boi się dostać rozpędzonym kablem w twarz, stojąc gdzieś w środku lasu i przemarzając wilgocią, bo w taką ulewę las namaka aż do kamieni, a kto widział kurwę z parasolką? A jeżeli zobaczą państwo teraz również dziecko. Dziecko umoczone we krwi, śluzie i wodzie lub nawet suche, a i tak czerwonosine i wykończone przez to całe życie, to czy ktoś w ogóle przejmie się Pat? Dziecko wszak chwilę temu

przedarło się przez matkę, pchane i ściskane, chociaż zaplatało pięści. A głowa tego dziecka jest miękka i tak jak cała reszta jego ciała może rozsypać się w dłoniach. Wracając zaś do karetki przewożącej umierającą mamę warto zauważyć, że matka zaczyna charczeć, a jej włosy wyglądają jak sztuczne, twarde nici, wplątane w bukiety. Natomiast jej córce, która czuwa, to się wciąż wydaje niemożliwe, a także wydaje jej się, że życie wkrótce wróci do siebie i do domu. Jednak jak państwo wiedzą swoje oraz kiwają ze zrozumieniem głowami: jeszcze się córka przekona. Tylko noc wciąż jest na swoim miejscu i nikt nie myśli o Pat.

192

Pablo nic innego nie robi, tylko krzyczy, czyżby zrobił Pat krzywdę? Pat opiera się o drzwi, Patricia, Patricia, otworzyć! Pat dzwoni do Mikołaja, udaje jej się odszukać jego numer, choć telefon ślizga się w mokrych palcach. A Mikołaj się obraził i nie odbiera. Pablo i kelnerka walą w drzwi, Pat ma dreszcze. Rozlega się krzyk zza łomotu, proszę pani, proszę pani, nic pani nie jest, kelnerka troszeczkę piszczy, Pablo próbuje wyjąć drzwi z zawiasów, nic z tego: ależ wydarzenie. „Zamknij się ty, kurwa mać!”, wrzeszczy Pat i zatyka uszy, ponieważ światło krzyczy głośniej i pali się, pali.

193

Pat zamyka usta, serce jest ciszej, więc może usłyszeć ostatnią sylabę swojego wrzasku. Opiera się o drzwi, po drugiej stronie cisza. Pablo

przestał uderzać, Pat przykłada policzek do framugi, podsłuchuje i wszystko płonie.

194

Pablo każe wreszcie wyjść kelnerce, to jego głos. Pat schyla się po torebkę, jednak nogi nie utrzymują brzucha, na dodatek obciążają je ramiona, ta wata nasiąkła. Zgięte pod własnym ciężarem uda, jakby nie miały dość, mają też kolor gruszki. Lecz z dupy przestało już kapać, szkoda, że jeszcze nie wyschło. Upadając, Pat wślizguje się elegancko między ścianę a kibel, jednak pozostaje podparta łokciem, leży sobie. Podnosi się na kolana chwileczkę, kiedy Pablo znów szarpie za klamkę, pora już skończyć, wpuszczę go, czemu nie, a więc przekręca zameczek. I wnet ukazuje się Pablo i jest wysoki jak czerń nad nim.

195

Pat jest zachrypnięta, lecz szepcze do Pablo: „uratuj mnie!”. Po czym już nie ma siły i tylko się uśmiecha. A kiedy Pablo podnosi ją jak dziecko z okopów piaskownicy, Pat zaplata mu rączki wokół szyi i przytula się do jego ciepłutkiej skóry, która jest też gruba. „Uratuj mnie”, szepcze, szepcze, a Pablo trzęsie nią, jakby wytrzepywał piasek z rowków jej spodni i sandałków, chociaż jest raczej naga (za to rączki latają jak szalone). „Nie będę rzygać, obiecuję”, Pat radośnie spogląda na Pablo, nadchodzi rozrywka, drodzy państwo. Mięśnie Pat puszczają wodze wyobraźni, a uśmiech wypłynął na szerokie wody. Pat czuje, jak wiertło przechodzi przez jej mięśnie, od nóg po uszy (rozgrzane wiertło). I nic a

nic nie boli, a więc chciałam sobie jeszcze potaćzyć, „Pablo, chooodź, no chooodź”, i ciągnie Pablo całkiem naga w kierunku wyjścia, w kierunku ścian, gdzie tu jest klamka, gdzie tu jest klamka!? Pablo biega za nią, w końcu ją dopada, wykręca jej ręce i sadza na łóżku, uderza w policzek, najpierw lekko, jakby tylko sprawdzał, czy trafi. A później na całego: ależ! Aż Pat wreszcie kładzie się z hukiem i już nie wstaje, a więc można ją ubrać.

196

Pat leży więc na łóżku z baldachimem, a wystraszony Pablo odgarnia jej włosy poprzylepiane do twarzy. Pat zauważa krótkie i grube palce Pablo, a przy okazji to, że sama jest nieźle spocona, brudna od krwi i roztrzaskanych kosmetyków. Włosy dostają się do ust, wślizgując na język z każdym słowem, chce jej się rzygać, lecz wytrzymuje (no cóż: brawo). Po chwili Pat odpycha troskliwe palce Pabla, nie rozmazuj mi makijażu, wyciskając z siebie resztę siły i na zawsze. Język jest suchy i język jest mięśniem, który wykończony, nabrał ciężaru oraz nie ma ochoty.

197

Oczy Pablo są wilgotne. Odbijają punktowe światła, a palce ma spocone i różowe. To światło pochodzi z lampek, które oblażą ścianę, ściany, sufit, mieniąc się na czerwono, i ciekną po kasetonach i czarnym szkle. Odbija je też taca, którą przyniosła kelnerka. Tu przecież nie ma okien. Ślina mieni się jakby tęczowo, a i zęby mogłyby w razie uśmiechu

lub rozbudowanych słów: jednak nie. Panuje więc cisza, a zęby pozostają ukryte: może i lepiej.

198

199

Kelnerka widziała większość lub się domyśla. Pat śmieje się do kelnerki, kiedy Pablo wyrwa telefon z rąk Pat i zaczyna z niego dzwonić do siebie. Zapisuje numer Pat i zatrzaskuje telefon, proszę, weź sobie z powrotem. Pat wzrusza ramionami, a jej spojrzenie jest uśmiechem, który kelnerka odwzajemnia (ponieważ jest przyzwyczajona). Wyglądają jak koleżanki, które rozumieją się na oczy, chociaż kelnerka widziała niejedną kurwę, taką droższą. Wśród nich Pat jedyna ma warkocz i pantofelki.

200

Pablo zapisuje numer Pat i zaciera ręce. Pat nie może jeszcze tego wiedzieć, ale oto pojawia się kadr, którego ostrość rośnie. Wszystkie drogie kosmetyki, którymi Pat poprawiała makijaż w łazience, leżą teraz rozrzucone na szklanej podłodze, obok pachnącego kibla, a pod nimi pływają żółte ryby.

201

Pat otwiera oczy, ocknęła się, no, nareszcie, ale dopiero, zauważcie

państwo, po szarpnięciu za włosy. Pablo ma więc rację w swojej metodzie, a przecież nie. A przecież nie, gdyż Pat zaczyna nagle oddawać i w ogóle się nie śmieje, chociaż na śmiech jest Pablo przygotowany. Pat okłada Pabla rękami i kopie go w kolana, a kiedy Pablo ją uspokaja i przetrzymuje w uścisku, patrzy na niego skupiona i głośno oddychając, tego to już naprawdę za wiele. Wtedy dopiero Pat zauważa ludzi na ulicy i się wstydzi, Pat nie powinna mieć pretensji, zwłaszcza publicznie. Przecież Pablo wielokrotnie pytał, państwo świadkami, czy zamiast do Stali nie wolałaby Pat czegoś zjeść. Pablo też właściwie zgłodniał. Tylko że to nie ma znaczenia, więc sorry, Pablo, nie przechodzisz do następnej rundy.

202

Było to „przykre”, kiedy Pablo wykopał Pat sprzed nosa skotłowane spodnie, tylko po to, żeby musiała po nie zejść z łóżka. Jeżeli chciała się ubrać, to na kolana. Jakkolwiek było to „przykre”, nic nie zmienia faktu, że Pablo jednak wyprowadza Pat ze Stali, uspokaja i troskliwie oddaje w ręce taksówkarza, a nawet głaszcze po włosach na rogu świętego Brunona. Pat całuje więc Pabla w policzek (ludzie się patrzą), bo nie chce wyglądać jak kurwa, tylko jak dziewczyna, którą Pablo mógłby kochać. Nie za dużo tego, Pat?

203

204

Pablo się wysikał, cóż miał zrobić, żeby dziewczyna wreszcie

przestała klęczeć ośliniona, gdyż się widocznie uparła, bardzo śmieszne. Zwłaszcza że chyba chcieli zamykać, dochodzi przecież czwarta rano. Tarcza zegarka lśni, zegarek poprawia Pablo na nadgarstku, zegarek ciśnie coś. Pół godziny temu Pablo wyprowadził Pat na świt i świeże powietrze, pod ramię i obejmując ją w talii, Pat wydawała się ciężkim babskiem, a takie ma przecież szczupłe plecy, drobne kosteczki. Tym razem Pat w ogóle nie trafiała stopami: nigdzie. I na dodatek te włosy jej: wilgotne. Niosło się ją niełatwo, niemniej Pablo ma świetnie skrojony garnitur, a fryzura jego jest wciąż nienaganna, więc tylko z bliska i kiedy się nie uśmiecha, można dostrzec: krew, plamy potu (oraz poczuć smród). Nie tylko nieumytych, lepkich zębów, choć to, to na pewno. I już doprawdy nie interesu ją Pabla plecy Pat najeżone szkłem, jeszcze by miał tu do rana z nią zostać, no nie. Poradzi sobie Pat, zwłaszcza że śmiała się, śmiała się, śmiała się na całego. A Pablo sen będzie miał twardy, gdyż wsadził Pat do taksówki, dał nowiutki banknot i ma numer telefonu, więc jutro, nawet dziś po południu, sobie zadzwoni, zapyta, jak się Pat czuje. I może zaprosi ją tym razem do siebie i na wódkę. Ma tu całkiem niedaleko apartament, do którego właśnie odbywa pieszą wycieczkę, a ptaki zaczynają już wariować na drzewach osłaniających przed porannym upałem główną ulicę Miasta. Jeden cichy i pusty autobus rusza z przystanku. Śmieci leżą na chodniku i są zmęczone i blade, a i Pablo też całkiem opadł z sił.

*

Jakże silnie i dokładnie Miasto mieli nawet najmniejsze fakty, plotki i foteczki, ma niespożyte pokłady energii, co chwila dorzuca więc bogactw historii do swojej maszyny. Ten dzień lipca jest więc dla Miasta dniem pracowitym, do świtu dnia następnego, kiedy to Pat dopiero kładzie się spać po całonocnych przygodach. Śpi jak zabita i jest w tym sporo

prawdy, ślinka wszak Miastu cieknie na myśl o bogactwach jej historii, a jest to mięso najwyższej jakości. Piękne, doprawdy, zwierzę zabito, doskonale odżywione, zadbane i z naturalnej hodowli, nikt go nigdy nie stresował. Tymczasem mieszkańcy Miasta biorą z bogactwa historii co popadnie, po gryzie, po dwa kęsy: są nierozważni. Żują i śmieją się z pełnymi ustami, aż im się ulewa, plami spodnie i piersi, wątroba z keczupem, jak się potrze solą to zejdzie. Miasto, więc siada na Pat okrakiem i bierze, żre, bierze i żre, Tak, o tym już było w tej historii i to na samym początku. A dziewczyna wszystko słyszy, zwłaszcza że Miasto nie załuje huku, choć zbierają się nad nim chmury.

394

Ale tam, w jamach ziemi Miasta, rosną z popiołu szczury, które są ciche, nocne i szybkie. Pełne swoich brzuchów, podchodzą pod okna Nowej Pat, a ona już wie, co robić. Zastawia pułapki, aby szczury dały się w spokoju pogłaskać, wciąż ciepłe. A ich ząbki, drobniutkie i żółte, wychylają się z pyszczków i Nowa Pat sobie te ząbki ogląda z bardzo bliska, między kciuk i palec wskazujący chwyta ich szyje, a sierść szczurów delikatnie szemrze pod jej oddechem. Pułapki trzaskają tu jak szalone.

395

Nowa Pat musi poznać teraz nowe ciało, w którym pojawiła się na świecie pełnym kopców i much. A dzień niedługo wstanie, świeżutki i promienny, i co go to będzie obchodzić. Lampy palą się jeszcze i parzą

siatkówkę, którą Nowa Pat ma porysowaną i gołą. Czuć tu również spaleniznę, ale być może tak bywa również zaraz po wyjściu z matki. Szerzy się ciężki zapach mięsa i żywej krwi, która umiera, nie mając dokąd płynąć. Lecz zostaje chwilę później wyprana, aż zbieleje. Nowa Pat liże swoje ciało, a język ma szorstki, koci. Następnie przewraca się na plecy i zauważa zgrabne, delikatne mięso upchane w ręce przewieszanej przez wannę. Jest ta ręka jeszcze ciepła, a jasnobrązowe włoski stoją na niej dęba. W każdym razie wystaje z wanny i krople spadają na podłogę oraz nie rusza się. Pat skrada się cichutko, węszy, ale kiedy próbuje odgryźć kawałek mięsa, strzępy prądu kłują jej buzię, ucieka więc podkulona i piszczy. *

Nowa Pat to całkiem ładne zwierzę i dość ciche, a skaleczenia na jego ciele są liczne, lecz zasychają, zasklepiając rozlewisko wnętrza, wszak jest to zwierzę upolowane, rozprute i wciąż dyszy. Jednak to w niczym Nowej Pat nie przeszkadza, że taka z niej ohyda, jest w pełni zadowolona. Leży na grzbiecie, rozpostarła w dawnej Pat swoje łapy i ciepły brzuch. Wabi się Nowa Pat i niech ją ktoś pomasuje po żołądeczku.

205

206

Kiedy następnego dnia Pat wstaje, ma burzę poplątanych włosów, które wysunęły się z warkocza, a rzęsy wciąż długie. Ależ ładnie, lecz bez szminki. Wstaje i upada na łóżko, leży na wznak i niczego już się nie spodziewa po swoim ciele: tym bardziej. Ma jednak rumieńce po dobrym śnie z wódki i jest śliczna jak jabłko. Pieką ją plecy, pieką ją oczy i głęboko oddycha, bardzo po cichu czekając na znaki od swojego ciała,

zaczajona na kolejny ból, a więc się jednak czegoś spodziewa.

207

Pablo zaczyna dzwonić po południu, a Pat chce odebrać, lecz nie, chociaż przeciera kciukiem migoczącą szybkę. Pat przypomina sobie, że Pablo wsunął jej pieniądze w pięść, kiedy wsiadała do taksówki, i zapytał, kiedy się znowu spotkają. I ona wtedy chyba odpowiedziała: nie wiem, może za trzy dni.

208

Nie uchodzą Pat na sucho te fanaberie. Dzień właśnie rozpoczął się rozdarcie hałasu od wnętrza, po jego rogi. A upał też nie jest cicho i brzęczy. Pat budzi stukot obcasów sąsiadki wychodzącej do pracy. Pablo zapinał mi guziki koszulki, przypomina się Pat, kiedy odkręca kurki nad wanną. Za chwilę obraca się plecami do lustra, żeby dokładniej obejrzeć, ponieważ nie może odkleić przyschniętej do ciała bluzki.

209

Pat ogląda swoje plecy w lustrze, a one pękate, ledwo otwarte. Jest już za późno. Pat natomiast ogląda szramy wokół swoich łopatek, przypadkowe i sine, i długo jeszcze będzie odkrywała znaki po Pablo, jakby śledziła pamięć, idąc za kruszynkami. Lecz to nie koniec, choć brzmi w tym stylu.

*

Październik jak co roku zstępuje do piekła i urządza bure przyjęcia. Przerzuca liście, które tracą kolory, gniją podczas nieustającego deszczu – przyklepione do szyb trzymają się ich jak mokry papier. Aż ktoś weźmie je w dwa palce i zdechłe wyrzuci. Opadają wtedy ciężko na ziemię, gdzie już całkiem tracą kształt. Mieszkańcy mają grube plastikowe podeszwy lub gumowe. Poza tym nic nie widzą, nic nie widzą, tratuja więc gnijące liście, aż te znikną w ziemi. Liście zostały jednak dwa tygodnie wcześniej porządnie uprażone, gdyż pod koniec września wybuchł upał – tylko na chwilę, być może przez pomyłkę, albo dla zabawy. Co roku meteorolodzy nazywają ten czas „ostatnimi ciepłymi dniami”. Słońce śmiało się wówczas chrapliwie z porozbieranym mieszkańcom, aż mu przeszło. Za to w październiku ci sami mieszkańcy są już owinięci w płaszcze i bluzy, pomiędzy którymi pracowicie gromadzą ciepło – warstwa po warstwie. Wchuchują je też w szaliki, a skóra pod nosami ocieka parą. Katar uderza w czoła, głowy rozpoczynają swój ból i kołatanie. Każdy z mieszkańców usilnie odbywa swój samotny pochód w poprzek wiatru. Oto Miasto szykuje się do mrozów i zapala światła. Październik zaraz zgrubieje od wełny i obtoczy się szronem, a czas zacznie mieścić się w dłoni i zapadać w noc. Mieszkańcy już teraz snują wizje, siedząc w drewnianych barach pod ćmiącymi lampami. Wyobrażają sobie swoje dalsze życie i kolejną zimę stulecia. Kulą ramiona, gotowi chorować, ziewać i garbić się, a nawet bez żadnego wstydu ogrzewają dłonie kubkami, które parują, i wygląda to tak prześlicznie, że brakuje tylko łyżew. (Łyżwy jednak dopiero w grudniu i przed ratuszem, gdzie dla wszystkich państwa otwiera swe królestwo jarzeniowe lodowisko, które słyhać z oddali: ileż tam muzyki, i to tej w najgorszym gatunku). Tymczasem gniazda barów zapełniają się głosami, ruchem i ogniem, a ludzie zamknięci za szybami

zachowują się, jakby ożywiały ich tylko ukłucia ostrzy mrozu, który od teraz będzie długo, długo krzepł, aż pęknie i rozleje wodę.

396

To brzydkie zwierzę poznaje też nowe ciemne terytorium, tłukąc się jak oparzone od ściany do ściany. Ból, pieczenie + inne dolegliwości ciała, które można połknąć z tabletką lub opłakać u lekarza, są teraz częścią Nowej Pat i zmuszają do ustępstw. Szczęście wszak kluje się w prostocie, jak mawiają święci bohaterowie, którzy są pełni obojętności na doczesne, a przy okazji: nie istnieją naprawdę i nigdy wcześniej też ich nie było.

397

Nowa Pat, postać z tej opowieści, jest wręcz wniebowzięta oraz ciekawa i rozgląda się wśród kolorowych stert, które butwieją, jednak można się na nie wspiąć. Nowa Pat oddycha i na dodatek czuje głód i ciepło, i zimno, i słyszy przeróżne dzwonki, dochodzące z zewnątrz, oraz głos kobiety i mężczyzny, to pewne. Więc chyba wszystko jest dobre i skończy się śmiercią: nic pomiędzy. Nie ma Nowa Pat nawet zapasu łez, doskonale, to ciało dopiero uruchomiło swoje życie, czyżby coś mogło zostać zapisane w tej rozplątanej rybie: ani śladu!

*

Miasto natomiast zachowuje się wobec Pat jak zamknięty w skrzyni lew, który nic dziś jeszcze nie jadł. Miasto ma także syreny. I ma migające auta, które są kolorowe, i ma też blaszane małe tablice z wypisanym

menu. Stoją te tablice na dwóchnogach i właśnie przewraca je wiatr, buch! Oraz ma symfonie alarmów samochodowych, które nocą z głębi gardeł wyją do księżyca, aż zgasną, oddając głos psom. Oraz stukot obcasów i świst wichury, który powstaje, kiedy wiatr przedziera się przez załamania ulic, a jeżeli jeszcze natrafi na drzewo, to już szał. Za oknem Pat wiszą ogromne ludzkie twarze, mają usta i zęby i są z tego zadowolone, dopóki ich nie zedrą. A Miasto, swoją drogą, wzbiera wokół Pat. Jego mieszkańcy biją w szyby, mury i drzwi, czym się da. Czują, że dzieje się coś, o czym nie wiedzą: a chcieliby.

210

Pat kładzie się w wannie pełnej ciepłej wody i czeka, aż zlepek krwi, skóry, szkła i ropy zmięknie i bluzka odklei się od pleców. Na balkonie sąsiadki wyje pies, a powietrze tężeje. W środku Pat uderzają fale zimna. Wyciera się wreszcie z piany, przesuwając powoli dłonią od karku w dół, po plecach. Zbiera w garść, spokojnie, resztki skóry i zaczątki strupków, skrzepów, spokojnie, nitki wplątane w ranki, a także szklany pył: i co jeszcze? Spokojnie. Jest spocona od nowa i czuje to, wacha. Płucze dłonie z brudu, a uda drżą mocniej i mocniej. Trzęsą nią tak, że nawet gdyby usiadła, zsikałaby się i musiałaby wyczołgać, sięgnąć po ręcznik i podłożyć go pod siebie. Woli chwiejnie oprzeć się o wannę i całą nadzieję mieści w silnych dłoniach zaciśniętych na umywalce, czeka więc na poprawę.

211

Po zestawieniu strat i zysków otrzymuje Pat wyjątkowo kiepski

bilans, może lepiej, że Pat nie ma teraz głowy do rachunków. Została naruszona skóra właściwa, bogactwo naturalne, nieodnawialne źródło energii, a w zamian Pat może kupić tani tusz do rzęs, bo przecież z pieniędzy na taksówkę co nieco zostało.

212

Mikołaj postanawia przyjść do Pat i wyjaśnić wszystko, dzwoniła w nocy, pewnie pijana i z tymi swoimi koleżankami z realistyki, tępe larwy, na pewno się chciała pogodzić. Mikołaj wiedział, że wygra, wystarczyły dwa dni i Pat wraca skruszona: proste. Mikołaj jest więc dziś pełen energii i uśmiecha się do siebie, jedząc śniadanko, a wręcz truskawkowe musli.

213

O piętnastej Mikołaj jest już u Pat i nawet kupił jej bukiet u babci wysiadującej pod bankiem. Drzwi są otwarte, Pat naga i mokra, plecy ma w strzępach, a słowa to już całkiem. Słowa, które wciąż ciekną z Pat, są nieskończone, przedziela je tylko oddech i przełykanie śliny, ale z tym to też nie do końca, bo przecież struga na brodzie. Pat rozciąga te słowa raz w krzyk, raz w śmiech i bezustannie toczy z siebie. Natomiast kiedy zauważy Mikołaja, uparcie wpatruje się w jego usta. A to Mikołaja doprawdy denerwuje.

214

Mikołaj i tak przestał się uśmiechać pięć minut wcześniej, i tylko łodygi kwiatków zmiążdżył, ma teraz zieloną dłoń. Trzy złote pięćdziesiąt groszy, babcia spod banku schowała pieniądze do foliowej torebki po mleku.

215

Mikołaj przesuwa zieloną dłoń po ustach, myśli, że czymś się ubrudził, bo Pat nieustannie patrzy na jego wargi i nagle jest tak rozbawiona, że sika. Leje na panele, na które wcześniej chuchała, i zrywa się, przestępuje z nogi na nogę, aż wreszcie cofa się do kąta. Tam, jak gołąb, mości się i wtula w załamanie muru. Ciało i fragmenty pamięci uderzają o siebie, aż Pat ma gęsią skórkę. Błyskają światła i pachnie potem. To wszystko jest dla Mikołaja trochę straszne, a najbardziej, że Pat mówi do niego w sobie tylko znanym języku: „co, proszę?!”.

216

To wszystko jest dla Mikołaja potworne, a co gorsza język Pat brzmi jednak znajomo. Tylko że płynie i zawraca jak krew, ale też niczego sobą nie znaczy. Miesza się nieustannie w swoich korytarzach i mnoży, a kiedy natrafi na dziurę, wypływa, dopóki nie zakrzepnie. Mikołaj próbuje to zahamować, ale jedyne, co może zrobić, to zakryć Pat usta. Jednak zabiera dłoń, robi krok w tył, dwa, trzy, „co ja robię”, cztery, „co ja robię”. Ucieka. A przynajmniej chciałby, bo Pat trzyma go mocno za koszulę: drze. A to nie jest znowu taka zwykła koszula.

Dylematy, ach, dylematy, pojawiają się w splekanej głowie Pat, kiedy ranna i słaba, spogląda na Mikołaja, wszedł sobie, zapomniała zamknąć, kiedy w nocy dotarła wreszcie na pierwsze piętro i zdołała nawet wejść do Mieszkania. „Chciałem cię przeprosić, nic ci się nie stało, co ci się stało, co się stało?”. Przecież nieopatrzenie lub celowo każdy mógłby roznieść wieści o Pat szeroko i głośno, ten taksówkarz, który ją wiozł, kelnerka, która się uśmiechała, a Mikołaj to już na pewno. Dylematy, dylematy, czy więc zostawić chociaż Mikołaja dla siebie, w Mieszkanii, ukrytego, czy zaryzykować i pozwolić mu uciec, żeby szerzył plotki. Dylematy, dylematy, ale w końcu Pat rozcina ten supeł.

*

Pat jest poszarpana i pewna, że nie pozwoli Mikołajowi na rozrzucanie kawałków jej historii. Należy chłopca zatrzymać czym się da, ponieważ Miasto niecierpliwie czeka z rozwartą szczęką na jego opowieści, umówili się, „dam sobie rękę uciąć”, mówi Pat, a niech państwo wezmą pod uwagę, że w jej uśmiechu jest sto procent gotowości. Miasto chce wiedzieć o Pat jeszcze, jeszcze więcej. Jeszcze! Miasto ma przecież dużo czasu, który przeznacza na rozrywkę, a tej wciąż nie wystarcza. Miasto chce się śmiać, zresztą kto nie, a i tak już rzuca twardym światłem w okna Pat, kiedy Pat najmniej się tego spodziewa (aż podskakuje, biedna, i jej serce). Od tego światła szyby pękają w Mieszkanii, a z pewnością drżą, i to również bawi Miasto. Ponieważ Miasto także miewa nastroje, czemu by miało nie miewać, i krzywy uśmiech łobuza tym bardziej. Pat nie może dopuścić, żeby jej historia rozmnożyła się, bo uwięziona w Mieszkanii Pat nie będzie w

stanie opanować słów, które Miasto chce do zabawy.

398

Nowa Pat zasypia pod kopcem szmat, przytulona do Karola, którego ciało jest już dość nieprzyjazne, ale nie stawia oporu. Jest im razem ciemno, ponieważ stos Pat wykonała gęsty i ciężki. Usypała go z prezencików: złote łańcuszki, tacki na lód i te książki, które Karol z okrzykiem nazwałby „rewelacyjnymi”, wciągał się w nie, oparty o poduszkę, nocą i z lampeczką. Jakże Pat naszukała się tych książek po śmietnikach, czasem zabierała walizkę na kółkach i pędziła z nią chodnikami jak z psem. Walizka nieustannie podskakiwała i wywracała się, chyba że warczała lekko na gładkim klinkierze i wtedy Pat nie nadażała za jej pędem. Obfite horrory, fantastyka, stal kastetów i knowania oraz ciemną nocą ukryte zamiary, a papier tych tomów równy i pełno go. Setki kartek, wytartych na brzegach i złożonych w amen, miękkie jak mokra aspiryna, zwilżone palcami rogi stron i beżowy papier. W stosie są również: koszule i koszulki, wszystkie zrobione w dalekim USA, na sto procent właśnie tam, co ważne, w swoim czasie były przecież najnowsze. Oraz: spodnie i żele do kąpieli. Butelka po perfumach, wykonana z grubego szkła stacza się jak klocek po stosie, ale nie tłucze, jednak pachnie, tak jak pachnie stara elegancka kobieta, starannie usmarowana szminką i zużyta na dłoniach. Zapach w szkle zbiera się w ostatniej, ciężkiej kropli, tłoczony z miazgi korzeni, pękających cytrusów i dymu. I pachnie z całych sił. Mamusia Karola wtarłaby ją za uszkiem. Kolorowe okładki książek oraz wesołe nadruki na koszulkach piętrzą się teraz wokół Nowej Pat i Karola, a zapachy (najróżniejsze) wzbijają się i opadają wraz z oddechem Nowej Pat. W

stosie również: trochę agrestu, rąbek prześcieradła gdzieniegdzie oraz prezerwatywy, które Pat wyciągała na palcu ze śmietników, a były dobrze pochowane. Jednak czego się nie robi dla Karola, a na koniec to tym bardziej. Karol jest taki niegroźny dziś, a Nowa Pat zmęczona. Natomiast kopiec bogactw, które zdychają i tracą swoje iskry, osiada na zasypiającej powoli, ale skutecznie. Jedynie na oddech wyźłobiła sobie Nowa Pat nosem otwór, podczas gdy dookoła miarowo pohukuje szósta rano.

399

Mikołaj leży w sąsiednim Pokoju Pierwszym, a on czysty, już po wszystkim. Na środku tylko kopiec kabli, styropianu i wełny, o czym była mowa. Wybudzona w nocy, Nowa Pat obchodzi ten stos dookoła i w ciemności, która jest jedna i ciężka (ciasto rozrabiać tak długo, żeby nie miało grud). Czerń lepi się do Nowej Pat i wchodzi we wszystkie skaleczenia, obudził Nową Pat szcęk klamki. Również: szarpanie, jednak nie kroki, ponieważ jest porządnie zamknięte. Nowa Pat wysunęła się z kopca, opuściła Karola, po czym na czworaka przemierzyła korytarz i pokoje. Sierść podniosła się i była ostra, Pat dotarła w końcu do Mikołaja, którego przed zasypaniem jego ulubionymi kablami w różnych kolorach Pat przede wszystkim uczesała. A także: ułożyła palce w dłoniach prosto, ręce wzdłuż ciała, a nawet zamknęła oczy. Teraz Nowa Pat podnosi się i próbuje złapać równowagę, w kolanach strzelają stawy. Skóra zamiera pod wyschniętymi rankami, a stopy od guzów kuliste. Nowa Pat się przewraca, no pięknie, tym bardziej że kolana także puszczają sok. Chwieje się więc na nogach, ale odmierza, odmierza kroki, wreszcie, brawo, tresowana małpa, opiera się dłońmi o stos, chwyta równowagę i

szuka w nim Mikołaja, jednak ani palca. A to przecież jej trofeum, „gdzie ja zapodziałam mój skarb, moje złotko”. Mikołaj jest dobrze zakryty, należy się dokopać, a na razie Nowa Pat płoszy tylko drobne robaczki, które szemrzają i wyślizgują się jej przez palce, samochód natomiast przejeżdża i ma jasne, jasne światła, dzięki czemu widać tu wszystko.

*

Posłuszne powietrze i wścibskie języki przenoszą dźwięki do granic Miasta i wszędzie już brzmi bogactwo: rozlega się echem, wrzaskiem lub pioseneczką, jakaś pani się śmieje. Miasto wybucha okrzykami ze wszystkich paszcz, naraz! I kiedy mu wygodnie. Z łatwością wchodzi też w uszy Pat: o! Do Pat dociera szybciotko, cel, pal! Ha, ha. Jednak zbierają się chmury nad Miastem.

218

Nie ryzykujemy. Pat obmyśla plan pod schyłym czołem i fragmenty tych myśliwy dostają się teraz z niej: ustami, śmiechem i przez palce, ale się przecież nie rozdwoi, żeby się kontrolować. Mikołaj wychodzi, pełen żalu i złości, lecz również się boi. A to wszystko, jak się wydaje, przez fakt, iż Pat podarła Mikołajowi jego koszulę Burberry, rzucając się na niego ze szponami.

219

Zawiedziony Mikołaj próbuje uspokoić Pat trzy razy, ścisną jej nadgarstki, „nie szarp się”, i krzyczy do jej skrzywionej twarzy, „spokój,

już dobrze, tylko weź mi się uspokój”. Ale Pat tylko wybucha śmiechem wobec słów otuchy, a potrafi tak się wygiąć, że palce Mikołaja nie wytrzymują. Tym bardziej że go kopie i pluje, a ma wiele energii. Kiedy uwalnia się z jego uścisku, biegnie, biegnie co sił, Mikołaj bowiem właśnie rezygnuje z „ich miłości” i chce już tylko uciec, „chuj z tym, idę”. Za nim zrywa się Pat, za nim, dalej! A Mikołaj przyspiesza kroku.

220

Mikołaja boli, lecz żeby go odciągnąć od ucieczki Pat ciągnie coraz: mocniej, sprytna, brutalna i mściwa bohaterka. Tadam! Aż ją Mikołaj musi kopnąć kolaniem w brzuch, żeby się odczepiła wreszcie. Co wychodzi mu znakomicie, bo Pat sturlała się właśnie w pisku.

221

Musi jej przyłożyć raz a dobrze, dwa, trzy, cztery. Bo i spodnie poszłyby, to żenujące, ale czy Mikołaj ma wybór, mimo wszystko jest to sytuacja krańcowa. Pat za to nogawkę jego trzyma w szponach i nadgryza, a następnie rwie. Szaleńczo ją to bawi, Mikołaj rzadko się boi, ale teraz tak, jest cokolwiek krwawiący.

221

Musi jej przyłożyć raz a dobrze, dwa, trzy, cztery. Bo i spodnie poszłyby, to żenujące, ale czy Mikołaj ma wybór, mimo wszystko jest to

sytuacja krańcowa. Pat za to nogawkę jego trzyma w szponach i nadgryza, a następnie rwie. Szaleńczo ją to bawi, Mikołaj rzadko się boi, ale teraz tak, jest cokolwiek krwawiący.

222

Nie ryzykujemy, Pat wstaje z podłogi i podwija rękawy, a ślina leci jej zewsząd, poniekąd też cudza krew.

223

Mikołaj natomiast nerwowo wysuwa łańcuszki przy drzwiach, haczyk po haczyku, a są trzy, i widzą państwo przecież, jest wkurwiony oraz czerwony, lecz wciąż blondyn. Szacuje on, mili państwo, te strzępy na około cztery tysiące, bo i podkoszulek zniszczony, choć z przeceny. Oczywiście Mikołaj stara się panować nad sytuacją, nie takie rzeczy przeżył w swoim dwudziestosześcioletnim życiu. Raz nawet miał wypadek samochodowy, o czym opowiedział Pat kiedyś w kawiarni, i wziął jej dłoń w swoją alergiczną dłoń, a nawet w obie. Na przemian ścisnął i gładził, a Pat była cierpliwa. Niech więc państwo odczują szacunek, bo się wylizał Mikołaj z tamtego wypadku, ale szramę w sercu zyskał, bo zginął jego pies, a zdychał długo. Później tę szramę Mikołaj smarował u psychologa, aż całkowicie zbielała i mniej ją teraz widać, chociaż z kolanem nie idzie tak łatwo i nigdy już Mikołaj nie będzie mógł zjeżdżać na desce. Temu blondynowi o delikatnej skórze Pat wkłada więc palce w usta i na boki rozciąga wargi, coś takiego! Boli go, prawie pękają, ach, boli go!

*

Uczuć! Tak bardzo by się chciało, tak bardzo by się państwu ich chciało, że je sobie państwo wymyślają z detalami i na bogato, tak, że stają się one w końcu państwa najukochańszym przedmiotem, któremu należą się brawa, i państwo biją. Pokazują sobie państwo również te uczucia, a nawet budują dla nich podest. Szarfa dla Wrażliwości oraz medal i sprawdzają państwo zębem, czy świeży. Wartość takiej Wrażliwości jest bezwzględna, co w pewien sposób gwarantuje jej nieskończoność: jak bardzo możnawiec w nią wierzyć, skoro państwa przeżyje? Nie bardzo, nie bardzo, nieprawdaż? Nie precyzują państwo jednak miejsc typu: nieskończoność, żeby nie popaść w szal. Skoro już rozmowa zeszła na temat liczb.

400

Przejeżdża samochód i Nowa Pat widzi swoje szpony zaciśnięte na śmieciach, reflektory auta dają wszak długie światła. Ten moment zostaje wyrwany nocy i wstrzymuje oddech, sam sobą przerażony, choć jak zwykle niepotrzebnie. W Nowej Pat za to marznie krew i jej tłoki, a w głowie przeciera się co nieco, przede wszystkim: wstręt. Pamięć przecież sobie stąd nie poszła i wcale nie zamierza. Właśnie oddaje się rozrywce, mianowicie: ściera nerwowymi, zgrabnymi palcami cienką warstwę sreberka w proszku, odkrywa niespodziankę na losie, który wydrukowało Miasto, i to w milionach egzemplarzy. Jeszcze tylko chwileczka i będzie wiadomo, popatrz, Pat... No niestety. Pamięć przysuwa Pat los pod oczy: serce/koniczynka/moneta, również tym razem się nie udało. Nie będzie bogactwa, los pusty jak wszystkie,

przecież Miasto musi zarabiać na tej loterii. Nic z tego, kochanie, nie będzie żadnej Nowej Pat, co ty sobie wyobrażasz, aż taka telenowela to nie jest, żebyś mogła stracić pamięć. Bez przesady, i przestań udawać, że mnie nie pamiętasz, pamięć uśmiecha się zalotnie i obchodzi Pat dookoła, ociera, ociera się.

401

Pat pociera dłońmi twarz, aż bolą policzki, bo nawet jeżeli umniejszy tego znaczenie, poudaje Nową Pat, wysprząta i się uspokoi, to i tak pozostanie w niej kropla potu i sików tamtego Pana Dyrektora, który był w Mieście przejazdem, przelotem, z innej strefy czasowej i z całkiem innego miasta, i sobie tam wrócił.

*

Ale jakże się państwo zapalili, choć po ciemku, że takie rzeczy w ogóle są możliwe. Że w światach zapośredniczonych słowem/obrazem pojawi się i jakaś wersja inna niż wszystko, tj. nowa. Nowa Pat – na przykład. Państwo są niezadowoleni jednak, że ich oszukano i że to wszystko takie na pół gwizdka: niby tak – niby nie, a wszystko po staremu. No a czego państwo tak naprawdę by chcieli? Herbaty.

224

Przez następne dwa dni Pat wciąż wymiotuje, jakby jej ciało pozbywało się wszystkiego, co przyjęło. Prawie wyrzuje z siebie migdałki oraz zęby do miski i zawsze trafia, nigdzie się z Mieszkania nie

rusza, podobnie jak Mikołaj, któremu to nawet lepiej wychodzi. Pat je i pije na siłę, jakby tłumiła ciśnienie korkiem: jednak fajerwerki, dość tego. Och, jaka biedna, szkoda jej. Pablo nasikał Pat w usta i ona nie może tego przeżyć. Niech lepiej idzie do jakiejś pracy lub się umyć.

225

Pat kładzie Mikołajowi na piersi jego skórzany portfel, w którym jest sporo kart i pieniędzy, a wszystkie w rzędkach i sztywne. Mikołaj zmarnował sporo czasu na układanie przedmiotów w równych odstępach, więc bez przesady: niech ma ten portfel w widocznym miejscu. Lecz ta symetria dokumentów nie robi na Pat tak dużego wrażenia, jak odkryty właśnie tajemniczy kiel Mikołaja, który można wyjmować i wkładać, a podczas jedzenia przecież nie wypadła, zauważyłaby. Pat wkłada go na miejsce i wyciera dłonie w koszulę Mikołaja. Poza tym Pat wreszcie wie, jak Mikołaj ma na nazwisko. Do tej pory obsesyjnie je chronił, tak jak wszystkie inne dane, to jest imiona rodziców, miejsca zamieszkania i swojego dziewictwa, do którego się jednak przyznał tydzień temu, sądząc, że Pat jest miłością jego życia i nikomu nie powtórzy. Pat sięga jeszcze raz po portfel i sprawdza nazwisko, które potwierdza tylko, że Mikołaj był, być może, jedynie równaniem, na co mogą wskazywać symetrycznie ułożone litery w zamkniętym w sobie słowie. Mikołaj Nikin jaki by był, teraz już nie jest. Jest za to rozchełstany i nie ma nic do powiedzenia.

*

Ciało to więc wszystko, na co państwa stać, jak widać. Trzeba państwu powiedzieć wreszcie coś miłego. Troszkę skubania siebie

nawzajem oraz być może rozmów w gronie, a wprawia to w zakłopotanie, ponieważ więcej już nie można robić z tym ciałem, a głód krzyczy. Można za to mniej. O! Tu rozciągają się wielkie terytoria! A na nich nic innego, tylko ciała, inne ciała, co za bogactwo, dziękuję bardzo.

402

Podskakują kable uderzone prądem i sprzęty podejmują swój szum. Lodówka otrząsa się, a kamery rozpoczynają odgarniać ciemność w poszukiwaniu Pat: hura! To tutaj się schowałaś!

403

Spójrzcie państwo dookoła, jak to Mieszkanie wygląda, no jak?! Podobnie do utyłanej Pat, do Pat, która ma w ustach pajęczynę (zbliżenie), między palcami pajęczynę (zbliżenie), na ścianach pajęczynę, jazda kamery, no ładnie, ładnie, dosyć. Ale jest to w głębi duszy swojej i na zawsze ta sama szalona Pat, czy są państwo skłonni uwierzyć? Pamięć natomiast patrzy uważnie w rozszerzający się obiektyw (lub państwa oczy), następnie się odwraca i bierze w dłonie brzydką twarz Pat. Halo, kochanie, obudź się, mam ci tyle do opowiedzenia! Następnie pamięć się odwraca do państwa, następnie pamięć się odwraca do Pat, następnie pamięć się odwraca.

*

Jeżeli występowały tu oczekiwania na zmianę bohaterki, drodzy państwo, to nic z tego, gdyż wszystko, co jest, nie przestanie, i to nie jest

dobra wiadomość. W dodatku mnożą się warstwy: atmosfery, gleby, opowieści, ziemi, ubrań, śmieci, skóry, a włosy rosną. I warstwy kładą się na sobie i nic nie da się spod nich wydobyć, rosną i idzie im świetnie. Natomiast na samym spodzie pamięć i jej człowiek grzezną głęboko, serduszko puka.

226

Pat wybiera się do tego samego salonu fryzjerskiego, gdzie Pablo pokazywał jej naklejkę City Scene. Salon jest pełen gęstej bieli i lekkich luster. Z pokaleczoną buzią i nieumyta, bo plecy powinny się wreszcie zeschnąć, drepcze żwawo pod drzwiami, raz przebiegnie się za róg ulicy, raz wraca. Podskakuje przed witryną oklejoną wielkimi twarzami pięknych kobiet i przegląda się w nich, zagląda też do środka. Udaje co prawda, że rozmawia przez telefon, lecz bada miejsce okiem. Potem zapala papierosa na progu salonu i zaczyna nerwowo stawiać kroczyki, spoglądając wciąż na zegarek, który został zdarty z Mikołaja. Jak dziewczynka zakochana w nieznanym, zaczaja się na Pabla, drżąc i oczekując. Chociaż nikt nie mówił, że Pablo zajrzy akurat tu i teraz. Oraz że w ogóle jeszcze jest w Mieście. Pablo ma jednak jakiś związek z tym miejscem, a Pat chwyta się strzępów. Może, może, może – dudni w Pat jak radio – może mnie tu Pablo spotka i „coś” się wyjaśni, stanie się „coś innego” i to rozwarte okno zostanie wreszcie zamknięte, można przecież zwariować od tego przeciągu. Wszak bogactwo jest teraz proszkiem, roztrzaskane na drobinki, popiół, kurz i krople, wirują. I wirują wokół siebie te cząstki, przylepiają się gdzie popadnie. Bogactwo jest teraz niczyje i wszędzie, jakież apetyczne, okrągłutkie są te kuleczki, a w dodatku wszystkie w zasięgu każdej ręki. Oto wielka likwidacja ich

pieczołowicie uzbieranej kolekcji i żer, więc państwo są jak najbardziej zainteresowani. Dla każdego coś się znajdzie. Tyle tego było w Pat, niezliczona ilość kadrów i obrazków zasilających wciąż maszynę, i już nie ma. Nazajutrz po spotkaniu Pabla, bogactwo Pat zostaje rozrzucone po całym Mieście i pachnie nim na kilometr, co Pat od razu wyczuwa. A kiedy wychodzi z Mieszkania do fryzjera, pełne dwa dni później, jest już całkiem oszalała i nic się z tym nie da zrobić. Pat to już wtedy jedynie ciało, skądinąd krnąbrne, nie wiadomo czemu, gdyż bezużyteczne. I nikt go przy życiu przecież nie będzie trzymał za darmo. Więc ekipa krzyczy: rusz się, dziewczyno, to jest właśnie atrakcyjne!

227

Pat jednak roi sobie, że może, może, może gdyby stanęła przed Pablem i w nim błysnęłyby strach i obrzydzenie: bzdury. Skąd ona się wzięła taka durna, ta Pat? Chwieje się tam więc samotnie, zmięta i śmierdząca, chora, spuchnięta, raczej nieuczesana. Krew za paznokciami jednak nie jest jej, bo przecież z Mikołajem wcale nie było tak łatwo, mimo że Pat miała przeróżne narzędzia.

228

Zainteresowane fryzjerki trzymają dystans, chociaż obserwują Pat zza szyb i chcą nawet wzywać policję, kiedy Pat siada, opie rając się plecami o witrynę, a koszula przyciśnięta do szkła zaczyna oddawać krew. Pani Szefowa puka jednak w szkło i pokazuje Pat plamę na szybie, a Pat rozmawia przez telefon na cały głos. Pani Szefowa puka więc w

czoło i znów pokazuje na witrynę, a Pat z okazji tych wszystkich gestów grzecznie wstaje, a w dodatku jest zdziwiona, lecz wciąż rozmawia przez telefon i z czymś się najwyraźniej nie zgadza, bo aż wściekła zaciska zęby, i nie zwraca już uwagi na Panią Szefową.

229

Po dwóch godzinach Pat wchodzi do salonu Arpeggio, gdzie pachnie jedwabiem w płynie i owocami. Kiedy za Pat zamykają się drzwi, w powietrzu wzbijają się cisza i resztki niezmięcionych włosów. Pat od progu zachowuje się jak czyściutka i milusia, krok ma lekki, więc fryzjerki o włosach równych i gładkich niepewnie i bez słowa splatają dłonie na czarnych fartuchach. Wymieniają tylko krótkie spojrzenia, trąc bucikami podłogę z beżowych kafli. „Chciałabym ściąć włosy”, zamyka milczenie Pat, a normy wracają do życia, przynajmniej na chwilę. „Tak, już, oczywiście, proszę panią, z myciem i modelowaniem, pro szę pani, czy dużo ścinamy, ale ta pogoda to, że też, co za upał, słyszałam w telewizji, że w niedzielę ma być trzydzieści dzie więc stopni, Paulina, przygotuj mi ręcznik, pani sobie wyobra za, proszę odchylić głowę, czy woda ma dobrą temperaturę?”

230

Z myciem i modelowaniem, ściąć do ucha. Pat siada na fotelu, odchyła się tak, że włosy już namakają w umywalce, a długie palce zajmują się jej ciężką głową, mokrą i ciepłą. Pat tłumi ziewanie, pociekło po karku. Siada wreszcie przed lustrem i pierwszy raz od trzech dni widzi w nim oczy.

Czarne dziury w różowej twarzy i wśród rozrzuconych gęsto niebieskich si niaków. Mikołaj się przecież bronił i przez kilka chwil myślał, że góruje i się uwolni. Pat w tym czasie charczała o oddech, ależ to państwa bawi, jednak: ten się śmieje, kto się śmieje. I tak, rozmyślając sobie o śmierci Mikołaja, Pat w uśmiechu odsłania zęby do odbicia fryzjerki (której przez chwilę drżą wargi). Ale zaraz fryzjerka bierze oddech i wraca do pracy, chociaż zrobiło się zimno.

231

Fryzjerka zapina Pat pod szyją płachtę białoniebieskiej folii. Pat patrzy na delikatne rączki rozczesujące jej włosy i reaguje dopiero, kiedy fryzjerka trzyma gęste pasmo włosów między dwoma palcami (ostrza nożyczek) i pyta: to o ile będziemy ścinać, tyle? Na pewno chce pani tyle, przesuwając opuszki wzdłuż włosów. Dużo wycieniować? Pat patrzy na ten obrazek w ramach lustra, nieprzytomna i zdziwiona. Podnosi się powoli z fotela, rozglądając za wyjściem. Pochyla się, garbi i jest wściekła. Jedna z fryzjerek zastyga przed nią jak przed groźnym psem, a za plecami Pat nieruchomo oddychają po zostały trzy śliczne panie, opalone i w legginsach. Wszystkie trzy patrzą też na dzwoniący telefon, który leży na stoliku między magazynami o życiu, które toczy się daleko stąd, np. w wywiadach. Aż cichnie. Obserwują też Pat, ale ostrożniej, a ta sunie wzdłuż ściany i w witrynie próbuje znaleźć klamkę, żeby wyjść. Aż wreszcie dociera do drzwi i wysuwa się przez nie cichutko, na palcach. Fryzjerki obracają za nią główki, bezradne i przerażone, po czym podbiegają do szyby, aby dalej patrzeć: coś takiego! Kiedy Pat znika im z horyzontu, oddają się zmiataniu podłogi i wymianie zdań, co czynią tak długo, aż serca uspokajają oddech, a wręcz niesmak, po czym wysyłają

jedną spośród siebie po pepsi, a drugą do umycia szyby z krwi Tylko żeby ta pepsi była z lodówki!

232

Na ulicy słysząc grających przy ogródkach Cyganów, ich skrzypiące akordeony i dawno nieostrzone szare głosy o sze rokich gardłach. Pat natomiast biegnie, strzepując kropelki z mokrych włosów, i widać ją z daleka, bo na szyi wciąż ma uwiązany śliniak z folii. Wiatr dmie w tę pelerynę, a ona wzbi ją się dookoła głowy Pat, czuć szamponem. Coś się teraz dzieje, jakiś festiwal teatralny? Pytają się nawzajem studentki kultury ralistyki, patrząc na Pat z jednego z ogródków i znad kanapek i koktajli. Czekają na cień, właśnie sobie kupiły letnie sukienki. Nie wiem, może, nie wiem, może jakaś akcja – mówią sobie i nic ich to nie obchodzi, w Mieście wciąż są jakieś festiwale (jak już państwo wiedzą). Miasto przecież tętni rozrywką.

*

Resztki ze stołu Miasta to ciche sklepy papiernicze, które były radością dzieci przed laty, gdyż tamagotchi, lego, blok rysunkowy i naklejki. Teraz nikt do nich nie zagląda, chyba że można wstąpić podczas spaceru latem i kupić balon za dwadzieścia groszy, to sobie dziecko poskacze. Chyba że bibułę podczas przerwy, dzień dobry, poproszę tamto i to. Zasmarkane ośmioletki przebiegają do sklepu przez ulicę i oto już są powrotem w szkole. Spóźnione i rumiane kleją witraże. Pomarańczowe są kąciki ich ust, niespodzianki dla dzieci grzechoczą w chipsach. Czy należałoby wsadzić takie dziecko do miski z wodą i tak długo szorować, aż dzieciństwo z niego zejdzie? Z kolei poczta obok

oferuje znicze i serię klasyków literatury, „to będzie prio rytet?”.

404

Pamięć wróciła lub wciąż tu była, tylko lekko skołowana, ale było, minęło, jest znowu, w końcu na tym akurat się zna. Nie ma także mowy, nie ma mowy o Nowej Pat, co to w ogóle za pomysł! Pamięć tuli więc Pat, a muchy kołują nad nimi, brzę czą, dałaś się nabrać, mówi pamięć, moja malutka Pat, i to sam na sam z szaleństwami. Nie bałaś się, Pat? Oczywiście, że tak i nie, odpowiada Pat, i się poddaje lub po prostu milknie, wreszcie. Samotność nie jest kanałem, który sobie przepły niesz, pobijesz rekord, w żadnym razie, opowiada bajkę pa mięć, lecz Pat nie chce, bo wolałaby już spać, Dobrze, dobrze – pamięć zanuci tylko kołysankę (a głos ma zdarty): samotność, jak się okazuje, jest wręcz strumyczkiem, ale żeś się zeszczęła, Pat, tylko nie płacz, lililililaj. Pamięć głaszcze więc jedną rącz ką Pat, a drugą przywołuje kamery, podejdźcie i sobie weźcie, tylko cicho. Pat układa głowę na brzuchu pamięci, a on wciąż rozwarty i chłonie. Jest Pat wygodnie, miękko i ciepło, choć pod tymi warstwami szmat, warstwami wspomnień upchanymi w brzuchu, żeby zatamować krew, wciąż tkwi odcisnięty kontur bogactwa, które zżarto i sprzedano. Kamery pokracznie i po cichu wchodzą na swoich długich nogach, z balkonu, przez framugi, na paluszkach statywów, myk, myk, po podłodze. I na chylają się nad Pat w objęciach pamięci.

405

Pamięć kiwa się i przytula Pat, opowiada co niemiara, aż język nie

mieści się w słowach, a słowa zdają się nie kończyć, za to nieraz krzyczy. A krzyk jak perełki po podłodze. Skąd państwo to wszystko znają?

*

A właśnie że państwo się nie znają. Pamięć, jak się okazuje, nie siedzi w ciele i jego porachunkach. Zachciało się państwu diagnoz. Zachciało się państwu map lub przynajmniej humoru, co jeszcze, może cytatów? No to gratulacje. Owszem, pamięć znika np. podczas wypieku pracochłonnych ciast i krojeniu ich w wymyślne kształty lub podczas mycia okien lub w podróży (u niektórych). Grzegorz, jak państwo może pamiętają, aplikował sobie takie rozwiązanie, sądząc w dodatku, że to w ogóle jest rozwiązanie. Na chwilę tak, lecz ostatecznie nie. Aby pamięć na tę chwilę zniknęła, może być też hałas i robienie go, sprzętanie po nim, obmywanie pach, smarowanie ust, golenie nóg, spłucz wannę, zszywanie rozprutego, remont, pranie i praso wanie, wyrzucanie śmieci, o, właśnie: generalne porządki. A nawet, proszę państwa: rodzina. Rodzina przede wszystkim ułatwia uciekanie od pamięci, cokolwiek jest pomocne ona jest najpomocniejsza. Jej kopytka i skwarki i jej niedzielne spacerki, jej porady i zalewajki, jej imieniny, jej choroby i jej pieniądze, jej smutki i wesela, czyż nie? Z pomocą rodziny pamięć można traktować tak, jakby jej nie było. Mogą być pomocne w zapominaniu również zakupy lub wyrywanie wąsika i regulacja brwi. Jest wiele możliwych ruchów, które pozwalają ominąć czułą pamięć i nie budzić jej z płytkiego snu. Zajmijmy się czymś, zajmijmy się, aż zdechnijmy, mili państwo, co wy na to? Pamięć przecież upcha się w: święta, zdjęcia, plotki. Więc na co dzień zajmują się państwo, zajmują, aż nie mogą więcej, zajmują się jednak, żeby niczego nie żałować. Lub przeprowadzają i wożą państwo własne ciała, robiąc sobie z nimi wrażenia, emocje oraz wszystkie inne mniejsze sprawki, które później wspominają państwo, aż nie zapomną: święta,

zdej cie, plotki. Do niczego innego zresztą się państwo nie nadają. Pamięć jednak nieustannie ociera się o państwa kostki jak szczur czy pies i wszędzie zostawia sierść. Mogą też państwo zdecydować się na służenie obyczajom i będą państwo za to jeszcze pochwaleni, np. hymnem lub tortem, i na wieki wieków. Gdyż kultywowanie tradycji wszystkim wychodzi na dobre: wygodniej i nie obciera. Tzw. tradycja ma tętno maszyny do szycia i tak też brzmi. Zszywa resztki rozprutego dawno materiału, żeby nie latały wolno i bez sensu, np. w ścierkę, i znów wszystko jest porządnie, obok siebie, a na dodatek wykrochmalone: nic nie może się zmarnować. W ramach tych oszustw i w ramce wieszacie sobie też państwo zdjęcie was w waszym dzieciństwie, o, jacy byliśmy mali. Może i wierzycie, że to wy, ale jedynie na mocy cichego porozumienia z własną pamięcią i sumieniem, które chce mieć trochę spokoju. To z pewnością wy, przecież zostało podpisane. Udajecie więc państwo, że pamiętacie o drobnych zachwytach i smuteczkach sprzed lat, o sprawkach, których nie da się zweryfikować, więc jest to jednak ulga, że nikt państwa nie przyłapie. Kiedyś to były czasy. Oszukiwać można też, bardzo miło i wzajemnie, dzwoniąc do ciotek na urodziny i śląc całusy, pamiętam, pamiętam, moi kochani, podzielmy się opłatkiem, zebraliśmy się tu wszyscy i niech ta wieczerza, święta, zdjęcia, plotki. Tradycja jest doskonałym zamiennikiem pamięci i w dodatku sama siebie obsługuje. Przechadzają się państwo więc np. po obiedzie z krewnymi prosto w państwa i krewnych przeszłość, przez park. Idziecie państwo i krewni po własnych śladach, które zostawiliście w ostatnie urodziny swoje lub panaboga. I są te ślady wyraźne i głębokie, a państwa buty pasują w nie jak gdyby nigdy nic. I krewnych buty też. A przy okazji jest smacznie, ponieważ nie ma jak u mamy.

W ciągu następnego tygodnia Pat odbywa jeszcze dwie wycieczki po Mieście, licząc, że spotka Pabla lub nie wiadomo na co. Szuka naklejki City Scene, uważnie przyglądając się wszystkim drzwiom w centrum Miasta, i znajduje w ten sposób pięć innych miejsc, w których Pablo pewnie kiedyś się pojawił, żeby zaproponować współpracę i kolację. Pat ma więc satysfakcję, że te podchody naruszają prywatność Pablo, że zbliżą ją do niego te przespiewki, chociaż: gówno prawda. Idzie też do Pięknej. Podarta i brudna chodzi między dwoma bogatymi salami o miękkich obrusach i grubych dywanach, a zza wielkich okien pryska słońce. Ludzie pomału i niewielu jedzą szparagi i lśniące różowe ryby w plastrach. Po kilku minutach (wreszcie) gładki, młodszy od Pat kelner wyprasza ją. Bo oprócz zapachu, który zdążył na niej skwaśnieć, Pat zaczyna również mówić i to słowami bez końca, na głębokim oddechu, przerywanym kaszlem i śmiechem. Ale idzie sobie bez szemrania.

Mama Droga mówi dość zaskoczona, lecz nie przestaje pakować mięsa do zamrażarki. Ale jak to, kochanie? Nie rozumiem. Poszłaś z tym panem do baru, nie do baru? No to do klubu, no i co? Ale czemu nie pomyślałaś nawet: nie. Przecież, ale nie, no chyba to nie było nic, wiesz, groźnego. Jak to, przecież jesteś już dorosłą dziewczynką, to nie zdawałaś sobie sprawy? Państwo przysłuchują się Mamuni Drogiej i wstają w płomieniach śmiechu, aż na ścianach wokół Pat zostaje czarny ślad ognia.

No ale coś ci zrobił ten pan? Ręce Mamy Drogiej zaczynają drżeć, więc zamyka lodówkę i odkłada mięso, siada, lecz nie jest lepiej. Rozplata więc dłonie i podnosi je z ud, żeby następnie wykonywać nimi różne chaotyczne ćwiczenia. Krew pulsuje w niej z hukiem i jest jej dwa razy za dużo. Mama Droga dotyka więc palcami twarzy, policzka, później włosów. Wszystko bardzo szybko, ale powtarza tę czynność kilkakrotnie, podczas kiedy Pat mówi i mówi. Raczej monotennie, ponieważ każda zmiana tonu zwiększa częstotliwość uderzeń pręta wewnątrz jej głowy. Pat więc mówi i odrywa z krzesła kolejne drzazgi. Drzazgi wbija za paznokcie, ale chętniej by w język. Gdyż to był zły pomysł, mówić matce, kurwa, no to teraz do śmierci będzie się pytała. No nie, mamo, w sumie to nic mi nie zrobił, ale pójdę już do siebie, chciałam ci, wiesz, tylko powiedzieć, mięso ci cieknie.

Pat w końcu mówi Mamie Drogiej, że wyjeżdża na kilka miesięcy do pracy, a Mieszkanie wynajmuje: nie martwcie się, przecież już wyjeżdżałam, czasem zadzwonię, lecz dajcie mi trochę spokoju. Ach, co za odcinek, państwo zacierają ręce, Pat nawet specjalnie umyła się i uczesała dla miłych wrażeń podczas wizyty u Rodziców Drogich. Następnie bierze Pat w dłonie rączkę Mamusi Drogiej, którą ogrzewa, i nawet uśmiech pojawia się we wzruszeniu, całe szczęście ogień ratuje sytuację i spokojnie dusi mięso na dziś.

Po złożeniu fałszywego raportu Mamie Drogiej, Pat wraca do Mieszkania na dobre. Już od przedpokoju zdaje sobie sprawę, że niestety Mikołaj nie znosi upałów, zwłaszcza w stanie, w którym się znajduje od kilku dni. Natomiast jej plecy nadal mają się kiepsko. Lecz słońce świeci i przynajmniej się uczesała oraz opanowała na te pół godziny, teraz znów może odrobinę oszaleć.

*

Niezależnie od cykli, które Mieszkanie wciąż przechodzi, osiada ono teraz w drewnie i ceglach. Przeważnie trwa w głębokim śnie, a usta ma otwarte i wydobywa się z nich kurz, ale tego nikt nie zauważa, zajęty np. własnymi zachciankami. W ciele Mieszkania dzieje się więc na pozór niewiele, choć w Pokoju Pierwszym wyrósł już spory guz i daje o sobie znać, m.in. zapachem. W podłodze pęka klej, ściany otrzepują się z pyłu, Mieszkanie sprytnie wtapia się w ciało Pat. Dotyka jej, kiedy tylko ma okazję, więc ona nie pozostaje mu dłużna i zaciska w dłoniach klucze do wszystkich jego zamków. Wówczas dzwoni cichnie chociaż na chwilę, ale spod niego wychyla się już znany państwu szum kamery. Gdzieś tu państwo są, podgryzają Pat, a raczej to, co z niej zostało. A przecież nikt z ekipy nie został przez Pat wpuszczony do tego doskonale zabezpieczonego lokalu.

Pat mogłaby, owszem, być przyjemna i sobie ze wszystkim i wszystkimi radzić oraz iść na rynek, poproszę kilogram jabłek, plasterki goudy, szczypiorek. Poproszę chleb krojony, mydło i mogłaby

robić sobie np. spaghetti, pranie, suszenie, prasowanie, peeling, wypastować pantofelki, przypominając sobie dziadka, i ubrać się ładnie, a także zgodnie z: kolorem, krojem i pogodą. Iść na przegląd zębów i kontrolę u ginekologa, porozmawiać z koleżanką przez telefon, zapalić z inną koleżanką papierosa na ławce w ostatnim w tym roku ciepłym słońcu, pod parasolem czekać na tramwaj i pojechać do kina. Owszem. Mogłaby pójść do rodziców, a tam byłby kurczak i woda mineralna. Po obiedzie tata zasnęłaby w fotelu, jak zwykle chrapiąc pod ostrzyżonym krótko wąsem, i byłby tata wykończony, a Pat w tym czasie siedziałaby z mamą w kuchni i rozmawiałyby o planach lub życiu, miarowo ruszając kapciem na stópce (noga na nodze). Łyczkami piłyby czerwoną od malin herbatę i byłoby to nie do zniesienia. Pat mogłaby przecież zrobić się taka przyjemna kiziamizia, załóż szalik, buty ci nie przemokły? Nic prostszego, mama kupiła Pat wizyty u Pani Psycholożki, żeby jakoś opanować szaleństwo i pamięć – tak to się robi. Jednak nie. W Mieszkaniu oczekuje na Pat trzech chłopców, którymi nieustannie trzeba się przecież zajmować, dokładając do stosów, tak to się robi.

407

Gdyż skończył się kinderbal, obowiązki czekają, marzenia za to sobie poszły, zabierając pelerynę nakrapianą srebrnym pyłem, a brokat spod niej buchnął jak w bajce. Odwróciły się jednak na pięcie i poszły marzenia, nie będzie nowej pamięci, Nowej Pat też, i nie będzie oczyszczenia, pewnych rzeczy nie można wyjąć z pani organizmu, pani Patrycjo, żebro to jeszcze, ale nie nerwy. Kamery utworzyły krąg nad Pat, a ona leży sobie w samym środku i na boczku: gwiazda! Po podłodze przesuwając palcem klawisz esc, który wypadł z klawiatury, specjalnie tu

przyniesionej dla Mikołaja, na stos. I sobie mówi, szepcze Pat, nie wiadomo co: ale. Ale rejestruje to ekipa, nigdy nic nie wiadomo. Wszelkie informacje lepiej brać jak leci, niż się o nie później prosić.

*

Ludzie z samochodu są wyraźnie ostrożniejsi, od kiedy zobaczyli na własne życzenie Karola ciągniętego pod stos szmat. Usta mają jednak wciąż mokre na myśl o efekcie końcowym tego programu. Ileż bogactwa! Być może w Mieszkaniu leżą jeszcze jacyś inni zakopani, tylko nie wiadomo gdzie: to takie ekscytujące. Śmierć i miłość splotły się w tym mieszkaniu przy ulicy Flamberra, to właśnie w tych murach rozegrała się tragedia. Ależ rozgośćcie się, państwo, mamy nawet ciasto. Państwo dziękują ekipie, nie, nie trzeba: wystarczy państwu nieustanny obraz, który się rusza. Ludzie z samochodu mają wszystko dla państwa, a nawet, niespodzianka! Jeden dzień dłużej będą kręcić się w kółko historycznego wrzasku o kolejne fakty, obrazy, o więcej liczb, bogactw, wybuchów, ludzi, więcej słów i napinających wykresy statystyk. Dawać to! Od tego są, żeby brać. Ekipa śmieje się oraz je, je, je i pogryza, i sięga po następne. A talerze z wydarzeniami tyją, aż pękają ich dna. Pat tu leży całkiem nieżywa, choć jej oczy się poruszają. Trzeba to wszystko zjeść, ludzie z samochodu są przecież od tego, aby się nic nie zmarnowało, a na dodatek im za to płacą. Ludzie z samochodu muszą przecież mieć energię, żeby dźwigać obrazy wyposażone w głos. I rzucać nimi jak oszczepem, najdalej. Bić rekordy! Nic ludziom z samochodu nie można zrobić, ale oni z obrazami mogą dużo. A więc filmują wciąż, to jest w końcu sprawa całego Miasta. Nie dość tego: sięga ona coraz dalej, na okoliczne terytoria, i głębiej też. Wszędzie zbiera entuzjastów relacji na żywo, w tym państwa. A więc ludzie z samochodu nadal kroją reportaży w talary, aż pryska. Fanfary! Pat tymczasem sobie leży i znika, a Miasto

buzuje pod jej oknami. Dajcie mu jeść!

238

„Pablo” wpisane w wyszukiwarce razem z hasłem „City Scene”, obradza nazwiskiem, kilkuletnim dzieckiem, a nawet wielkim białym kotem, którego Pablo hoduje od co najmniej trzech lat i wozi na pokazy po kontynencie, takie jest jego hobby, a żona ma na imię Dominique. Więc w ogóle to mogło skończyć się dla Pat dużo gorzej, nie sądzą państwo?

239

Pat odszukuje Pabla i jego rodzinę, adres, pracę i zdjęcia, a tych w sam raz. Więc sprawdza je Pat, sprawdza, dziś już czwarty raz, czy aby wszystko na nich zauważyła. Ponieważ może coś jeszcze w nich tkwi, co miałyby znaczenie lub mogłoby to znaczenie sobie wziąć. Chociaż i tak Pat nie ma tu czego szukać.

240

Podczas kiedy Pat zbiera informacje o Pablo, Mikołaj leży już spokojny pod tymczasową stertą ręczników. Ręczniki nasiąkają, ale za mało, bo rozlewa się pod nogi: a Pat nie ma kapci.

Dla Mikołaja odpowiedni będzie kopiec z mlecznego szkła, metalu, delikatnej wełenki, a na wierzchu stosu można by nawet ukłęcić z kabli dekoracyjne sploty i ponawlekać na nie płyty, a styropian w wolne miejsca i fragmenty klawiatury komputera. Kartę sim może na język, co już bawi Pat wściekle, więc natychmiast rezygnuje. Pat patrzy teraz z wysokości fotela na ręczniki przylegające do ciała Mikołaja. Im są cięższe, tym mocniej z nich kapie, lecz blond włosy wciąż wystają z lewej strony. Pat planuje małe, eleganckie bogactwo dla Mikołaja, przepiękny stos pożegnalny: niech ma. Być może Mikołaj jeszcze długo oddychał i tylko nie miał siły otworzyć oczu, ust, ale teraz to już na pewno koniec. Nawet jeżeli Mikołaj sam sobie po cichu umarł, to bardzo dobrze, bo Pat już nie miała czasu się tym zająć. Trzeba było umyć podłogę, co i tak niewiele dało. Teraz jednak Pat właśnie porządkuje zdjęcia, utwórz nowy folder, zmień nazwę, „Pablo”. Wstaje, a stopy niestety znowu kleją się do podłogi.

W folderze „Pablo” Pat trzyma więc wszystkie zdjęcia znalezione w internecie i wszystkie są już jej znane lepiej niż właścicielom. Pat ma bogatą kolekcję tych plasterków czasu należących do Pablo i jego rodziny, może sobie tylko wyobrażać, co się dzieje poza. Rano piją kawę, a dziecko je chrupki z mlekiem, jeżdżą dużym samochodem, a Pablo ma odpowiedzialną pracę i zakłada krawat. W tym czasie jego żona, np. artystka, potargana i z chustką na głowie, robi dzbanki i ma pracownię pełną światła, gliny i szkliv, a dziecko klaszcze na widok pysznego

deserku lub siedzi z otwartymi ustami, lekko zaślinione, przed wielką bajką, Mości się więc dziecko na jasnym dywanie przed telewizorem ogromnym jak okno, a za dzieckiem sofa. Na lewo jest taras i świeci słońce. Ktoś krzyczy: honey, lub nie, bo: myje zęby na pięttrze, a gazeciarz sprawnie ciska gazetę na wycieraczkę i (pogwizdując) bierze zakręt na swoim szybkim rowerze. Film dopiero się zaczyna (lub nie). Tak może wyglądać świat znajdujący się pomiędzy zdjęciami, na których też jest go wiele, i to świeżego. Pablo stoi tam m.in. przy grillu lub przy monstrualnej ciężarówce (i również jest z tego zadowolony) oraz ulubione zdjęcie Pat: ślub. Pablo obejmuje pannę młodą i jest przepiękny, gładki, uśmiechnięty, resztę sobie można wyobrazić. Pat przybliża każde ze zdjęć, reguluje ostrość i sprawdza, która godzina jest na zegarku Pablo albo czy Dominique ma odrosty lub pieprzyki, może to tylko światło. Ale tak jak już państwo słyszeli, ileż tam prawdy może być, na tych zdjęciach? No więc: jak państwo sądzą? Na ulubionym zdjęciu Pat, Pablo trzyma kieliszek z szampanem. Fotografia ta pochodzi z czasopisma o bogatych ludziach z Nowego Jorku i ich życiu, które jest jedyne w swoim rodzaju. Tak jak życie wszystkich zaproszonych tam gości. Na tym zdjęciu kąciki oczu Pablo opadają i ma on błyszczące włosy z przedziałkiem po lewej, na sobie granatowy garnitur lub to znów tylko światło.

*

Oto więc obraz w całej okazałości, a jego jelita mogą sobie państwo nawinać na palec, jeden lub drugi, i odwinąć, hop, wejrzeć, zbliżyć, przysunąć, wyciąć, podrzeć. Więc tym bardziej powzdychają lub zapiszczą państwo z radości nad państwa prywatnymi katalogami zdjęć. Są one pełne np. rozrodu rodzin i ich uroczystości, to się chwali i je wspólnie co najmniej raz w roku. Oto są dowody na państwa przeszłość,

krewnych przeszłość, lecz czy ona rzeczywiście lęgnie się podczas wesołych świąt?

408

Pat pod nosem sobie rozważa o sprawach bieżących, czy należy Grzegorza pochować, czy sam zarośnie? Może i zarośnie, jeżeli dodam trochę ziół, wosku i sierści szczurów do tej wanny, która przecież brązowieje i wkrótce się zazieleni, a Grzegorz niebieski jak własne oczy i również z czarnymi obwódkami, taki ładny. Marznie tam, bo przecież jest już październik, i to podmokły i szeroko rozwarty, aż pękają jego brzegi. I zaraz dobiegnie październik końca, a więc i umarli wstaną i rozejdą się po kościach wraz z grypą, chłopcom zapalę świeczki, jak jakieś znajdę w śmietnikach, może być ciężko.

409

Listopad zaczął się minutę temu, a Grzegorz przed kąpielą przezornie odłożył zapalniczkę, żeby nie zamoczyć, i Pat ją właśnie znalazła. Wszyscy więc razem, cała czwórka i po cichutku zwęglają się teraz, i nawet pachnie tu lasem, chociaż jak się pali włosy, to śmierdzi. Ludzie z samochodu wycofują się, lecz robią to z klasą. Obiektyw zachowuje zimną krew i powoli odjeżdża od okna. Oto widzą państwo fasadę budynku i nie mogą państwo przeoczyć pięknego efektu, który został osiągnięty dzięki pracy wszystkich zaangażowanych w produkcję. Światło zapala się naraz we wszystkich oknach i pali się, pali się do świtu.

Bogactwo

Nawet na paragonach, nieustannie drukowanych w Mieście przez kasy i kasjerki, bogactwo historii zostawiło swój ślad. Z niektórych można przecież było odczytać rozmowy Pat z Karolem Złotym albo fochy Mikołaja Nikina i przede wszystkim listy wymyślnych zakupów Grzegorza Duszy. Pat odnalazła te paragony w śmietnikach i spaliła, i to oczywiście w niczym nie pomogło. Miasto i tak użyło przecież bogactwa opowieści przeciwko Pat, rozebrało ten misterny mechanizm, a jego fragmenty podłożyło wszędzie, wetknęło, gdzie mogło, i dlatego teraz lecą skry.

243

Pat przegląda odszukane już zdjęcia Pablo, na które patrzy, jakby mogły być ważne, chociaż wszystkie takie same. I dopiero po godzinie wpada na pomysł szukania filmów z tamtego dnia, oraz tygodnia i jej twarz właśnie kurczy się ze wstydu, aż państwo wpadają w śmiech, bo twarz jej jak plastik w ogniu. Oto znajduje film „polish girl” + „stal club”, lecz byli też szybsi od niej. Kilkaset kliknięć więc już zapadło, bogato płynie czas. I wielu ludzi zasłoniło na świecie usta, śmiejąc się, lub wyłączyli w połowie, ponieważ są obrzydzeni, „ta kurwa reprezentuje nasz kraj” lub „dobre rżnięcie”. Albo też są znudzeni i nic im się nie chce, jednak patrzyli i mogą popatrzeć jeszcze raz i dwa. Jedli więc przy tym obiad lub zsunęli majtki, a Pat, proszę, też sobie włącza, raz po raz, gdyż po to przecież szukała, żeby zobaczyć.

244

Film ten trwa cztery minuty i dziesięć sekund. Pablo ciągnie Pat za włosy i leży na niej całym ciałem, i nie jest znowu taki wysportowany, na jakiego wyglądał w garniturze. Film za to jest świeżutki i chodzi non stop, nie ma jeszcze doby, za to wielu fanów. Nakręcono go z góry i jest czarnobiały, słaba jakość, więc Pat nie widzi raczej swojej twarzy, żadnej twarzy, chociaż jakieś jęki można usłyszeć, jak się podgłośni, i z pewnością są to jej spodnie.

245

Pablo wyjeżdża więc z pozałatwianymi sprawami i wspomnieniem, które przełknął, chociaż było to suche, ogromne i smakowało popiołem. Leci więc z tym wspomnieniem ukrytym w żołądku i krwi aż do dalekiego państwa USA, chociaż kto go tam wie. W podróży chce mu się wymiotować: te upały. W dalekim i prawdziwym domu zapija kamienisty posmak wodą, myje zęby, wklepuje krem, żeby pozostać ładnym. Następnego dnia spuszcza w kiblu, wypłukuje w łazience, wypaca podczas joggingu i zmywa pod prysznicem cały ten popiół, który w/na nim osiadł kilkadziesiąt godzin temu. Później się jeszcze raz myje i pije dużo wody, ponad pół butelki. Odkaszlnie, wypluje, popatrzy nawet: i żaden to popiół, bo żółtawe. Może nawet lepiej. W ściekach chłepcą i gryzą te resztki wielkie szczury wędrownie, a po nich już drepcą w kolejce głośne owady o twardych pancerzach. Bogactwo rozpryskuje się więc na tysiąc ziaren i miesza z piaskiem oraz wodą, nie wspominając tego, z czym już się pomieszało. Tymczasem ślad po bogactwie

intensywnie pachnie, pozostał w Mieście, w Mieszkaniu, w pamięci Pat, i Pat nie może tego zapachu znieść.

246

Pat postanawia rozesłać więc zaproszenia do swoich chłopców, którzy wciąż są w zasięgu, Karol, Grzegorz, Juliusz: cześć, może byś do mnie wpadł, powiem wprost, jestem tu nago i sama, tylko bardzo mocno i wszystko, ale już coś wymyślisz, mogę na ciebie liczyć, jak chcesz, upiekę ci ciasto, przesyłam zdjęcia, żebyś sobie mnie przypomniał. Love. Pat. Po czym biegnie zwymiotować tymi słowami: a co jeżeli nikt się nie odezwie?

247

Mikołaj już tu leży, lecz o tym się chłopcom nie powie. Żeby nie wyczuli podstępny, należy im zaproponować rozrywki niecodzienne, na co również liczą ludzie z samochodu. Widowisko nie będzie tak brzydkie, jak mogłoby i jak się państwo spodziewają, ponieważ chłopcy są ładni i ładnie wyglądają, kiedy są w swoich ciałach ciepli.

248

Wystarcza tydzień i odzywają się chłopcy w sam raz i nawet zaraz, lecz: co się stało, Pat, co ty teraz robisz, co to ma znaczyć, przecież wiesz, że skrzywdzić ja bym ciebie nie. Pytania są pełne troski i mydła, lecz w

niczym to nie przeszkadza, że chłopcy przyjdą czyści, spokojni o swoje obowiązki towarzyskie, które należy mieć za sobą, a dopiero potem przyjemność.

249

Z okazji odwiedzin Karola, który zgłosił się pierwszy, trzy pokoje Mieszkania zostają oznaczone kolejnymi cyframi, żeby Pat nie pomyliła stosów, które zbuduje. A będą wyjątkowe. Plan powstał nagle i jest doskonały. Trzech chłopców odpowiedziało przecież na zaproszenia, a dla ostatniego z nich, Juliusza, może już nawet nie starczyć miejsca, szczęściarz! Cyfry na drzwiach zostają wydrapane znalezionym scyzorykiem, który widocznie wypadł Mikołajowi. Jest to scyzoryk bordowy i połyskuje. Aż dziwne, że Mikołaj go nie używał, a przydałby mu się. Ta stal z pewnością jest szlachetna.

250

Oto Pat zatrudnia się w Mieszkanu po swojej babci, okłamując mamunię, że wyjechała, i zaszywa się w swojej pustoszejącej norze. Nie jest jednak sama, towarzyszy jej zimny Mikołaj, drań, a poza tym oczekuje kolejnych gości. Być może oszczędzi Juliusza. Pat chciałaby jednak mieć również troszeczkę spokoju i czasu dla siebie, zanim przyjdzie Karol, a tu trzeba jeszcze tyle posprzątać i powyrzucać. Jak ona sobie z tym poradzi?

NAPISY KOŃCOWE

I będzie historia Pat zabawiać Miasto, aż mu się znudzi i odda tę opowieść ludziom, którzy będą jej sobie używać, aż się rozpadnie: nic nie może się zmarnować. Zrobią z niej papier, zrobią z niej bajki. I wtedy historia Pat stanie się jedną z wielu, to nic nowego, bo przecież i pożerały piękne królowe dzieci, aby krew krew odświeżyła, lub sprzedaje się ludzi w obce ręce, m.in. na cenne kawałki. Historia Pat uboga wobec takich bogactw i każdemu się może zdarzyć. Oddana Miastu historia Pat jest ciepłutka, świeżutka i dopiero teraz się zacznie. Zawarte w niej informacje rozpoczną między sobą krzyżówki i powstaną w Mieście nowe, nowe słowa, nowe zdarzenia, aby Miasto mogło odczytać historię po swojemu. Historia zostanie więc przetłumaczona na język Miasta i utraci swoją właścicielkę, przechodząc w łapy tych, których są miliony. Składniki tej historii będą przez Miasto rozprzestrzeniane w myśli, słowie, uczynku i będą się każdemu starały przypodobać. Pamięć z zaszytą raną zakręluje i nie będzie już wiadomo, gdzie jest ślad po bogactwie Pat: zbrodnia to doskonała, delicje szampańskie. A historia Pat zacznie być powtarzana i im dłużej to będzie trwać, tym grubszym futrem obrośnie i stanie się w końcu tylko ziarnkiem prawdy pod warstwami ciepłych ludzkich skór. A państwo już wiedzą, że z tego ziarnka raczej nie urośnie prawda, a przynajmniej nie tylko. Historia Pat będzie się więc pałętać po Mieście i gdzieniegdzie pogrozi palcem oraz da przestrożę, morał i tym podobne. Za górami, za lasami słodkich snów, drodzy państwo, ależ macie wielkie oczy, ależ macie wielkie uszy, ależ macie wielkie zęby.